

MIESIĘCZNIK

9(24) WRZESIEŃ 1984 CENA 50 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631



BILEWICZ

W NUMERZE:
FANTASY



Jakby specjalnie do fantasy

Znakomicie korespondują z tekstami gatunku fantasy, z tymi baśniowymi opowieściami współczesnej, romantycznej fali dzisiejszej fantastyki – teksty i ikonografia innych epok romantyzmu. Podczas tegorocznego pobytu w Anglii, na światowej konferencji SF – jak wielu innych przyjezdnych z różnych zakątków globu – miałem możliwość zwiedzić w słynnej Tate Gallery w Londynie, jak gdyby specjalnie z okazji zlotu fantastów urządzono wystawę romantyków angielskich. Pisano o niej wszędzie.

Szczególnie bliskie naszej współczesności wydały mi się, eksponowane osobno w kilku salkach, niewielkie rozmiarami obrazy Williama Blake'a. Ten malarz, grafik, a także i poeta, który żył w latach 1757-1827, w swoich akwarelach i kolorowych miedziorytach nawiązywał – podobnie jak to się działo i dzieje w każdej fali romantyzmu – do pełnych grozy legend starożytnych, do opowieści biblijnych i do fantastycznych dzieł literackich.

Powyżej przedstawiamy jeden z jego obrazów. Ilustrujemy nimi również (s. 64) neoromantyczne wiersze Tadeusza Micińskiego – poety z fin de siècle'u.



17

Fantasy bez zwykłych akcesoriów – fantastycznych światów, smoków i demonów. Zamiast tego świetnie uchwycona atmosfera arystokratycznego Londynu z XVIII wieku i zgrabnie zarysowane sylwetki utytułowanych bohaterów. Akcja ma posmak thrillera. A rozwiązanie zaskoczy zapewne niejednego czytelnika.

Peter S. Beagle: „Śmierć na balu”.

Opowiadania i nowele

Ursula Le Guin
Reguła Nazwisk

5

„Czarnobrody już tam nie stał. W jego miejsce gigantyczny tygrys o barwach nocy i błyskawic odbił się od ziemi na spotkanie lwa... Ale lwa już też nie było...”

Robert E. Howard
Królestwo cieni

9

„Widmo szło prosto, nie zwracając na nich uwagi. Kulę odsunął się, kiedy przechodziło obok, czując na twarzy jego oddech. Łodowały jak północny wiatr. Cień szedł naprzód cichym powolnym krokiem, jakby nogi pętały mu kajdany wszystkich epok...”

Peter S. Beagle
Śmierć na balu

17

„Lordowe i damy zaszeptały między sobą, gdy dziewczyna ujęła dłoń starej kobiety i złożyła przed nią ukłon, pochylając się i unosząc w jednym harmonijnym ruchu – jak fala – Jesteś lady Neville – powiedziała – Bardzo dziękuję za zaproszenie...”

Powieść

Anne McCaffrey
Jeźdźcy smoków(2)

23

Druga część opowieści o fantastycznym świecie Pernu, o smokach i ich jeźdźcach, niosących ratunek zagrożonej planecie.

Z polskiej fantastyki

Jan Lubos
Mutant

43

„Sześciomiesięczny nr 761 był wspaniale rozwiniętym dzieckiem. Już chodził, próbował mówić, fizycznie odpowiadał dobrze rozwiniętemu, dwuletniemu dziecku. Jednakże – jego postanowiono zgładzić...”

Dariusz Romanowski
Świat za szkłem

44

„– Więc za tym szkłem nie ma nic? – usiłował jeszcze nie dowierzać. – Nic. Wszystko co widzisz, to taki sam film jak w kinie, tylko bez porównania bardziej nudny i monotony...”

Jacek Martynik
Okrag czasu

46

„Wobec orzeczenia lekarskiego szef został wypuszczony, a Beaucurta odwieziono do kliniki. Dalsze dokładniejsze badania potwierdziły, że Beaucurt żyje, jednak jego organizm jest pogrążony w letargu, serce uderza raz na mniej więcej 82 sekundy...”

Short stories
po polsku

48

Dziesięć krótkich opowiadań, które wyszły spod pióra: Eugeniusza Dębskiego, Andrzeja Drzewińskiego, Leszka Kraskowskiego, Tomasza Małkowskiego, Przemysława Skulskiego, Pawła Tomczyka i Rafała Ziembkiewicza.

Dział krytyki

Baśń a fantasy

51

Szkieł Grażyny Lasoń ukazujący genealogiczne związki między tradycyjną baśnią a współczesną fantastyką. Wyrazne pokrewieństwo gatunku nie przesądza jednak o nieistnieniu różnic...

Recenzje

54

Leszek Bugajski – o wznowionych „Dialogach” Lema, Dorota Walasek – o „Salamandrze” Pedro Berroeta i Macieju Parowski o „Fenomenie Kosmosu” Czesława Chruszczewskiego.

Słownik polskich
autorów fantastyki

56

Pisarska sylwetka Adama Hoffmanna i fragment jednej z jego wcześniejszych powieści – „Katastrofa na „Stoncu Antarktydy”...”

Nauka i SF

Nieśmiertelność w pojemniku

58

Embryon ludzki przekroczył „granice nieśmiertelności”. Czyżby był to początek drogi?

Czas mózgów

59

Od holograficznego modelu mózgu może prowadzić droga do „bionicznego” człowieka.

Któż lepiej, jak my, fani, rozumie zabawę w antycypowanie przyszłości, w układanie obrazów jutra, zastanawianie się nad tym, kto i co ma szansę – lub nie ma szansy – przejść do historii. Zresztą każdy, czy prawie każdy, człowiek żyje niemal nieustannie z myślą o tym co będzie. To znacznie ważniejsze niż rozważanie tego co było, a nawet tego co jest. „Przeszłość i teraźniejszość to kanwy, na których wyobraźnia haftuje obrazy jutra”. Ktoś to tak, bardziej barokowo niż ja to mam w zwyczaju, wyraził. I trudno mu odmówić racji.

Wiele, nieraz pragnęłoby się narzucić nasz sposób widzenia przyszłości samym jej uczestnikom. Jest to oczywiście jakże naturalna próba przedłużenia własnych naszych spraw. Przedłużenia jak gdyby naszego istnienia w przyszłe pokolenia. Toteż z dużym zainteresowaniem śledziłem, podobnie jak i inni miłośnicy literatury, powstawanie na łamach wielu pism literackich różnych tabel, w których wyznaczano niejako reprezentację na dziś i jutro pisarzy ostatniego półwiecza. Ileż w tej tabelomani sportowego zacięcia, sportowej pasji. Mój mistrz, twój mistrz, jego mistrz. Każda tabela jest konglomeratem poglądów, gustów i mniej lub bardziej pobocznych życzeń. Cała Polska jak na dłoni. Jeden do Sasa, drugi do lasa, jakby to określono w dawniejszych epokach.

I w naszym piśmie próbowaliśmy sondażować opinie, przede wszystkim czytelnice, przez długi czas drukując listę bestsellerów science fiction. A także rozpisaliśmy nawet sondażową ankietę wśród Czytelników, prosząc m.in. o podanie najpopularniejszych tytułów i nazwisk autorskich. Czytelnicy chętnie biorą w takich przedsięwzięciach udział i nie skąpią swego zdania, swoich opinii. Tylko, że już samo dotarcie do Czytelników za pośrednictwem pisma, wychodzącego w określonych terminach, nakładach i dla określonych środowisk – określa i zamyka krąg zainteresowań. Jak również wiadomo, z czasopismami i gazetami koresponduje tylko cząstka ich stałych odbiorców, tych, którzy w ogóle odwiedzają się względnie czasem wprost lubią wymienić z redaktorami poglądy. Reszta, czyli większość, akceptuje profil danego pisma milcząco, po prostu je kupując. To więc trzeba brać zawsze pod uwagę, gdy się żąda głosu opinii publicznej przez czasopismo. Następnie – jeśli rzecz dotyczy literatury – należałoby także zapoznać się z opiniami czytelników, biorąc pod uwagę nasz dość specyficzny rynek wydawniczy, a więc przede wszystkim bardzo zróżnicowane nakłady książek (jedne wielkie, drugie małe, nigdy nie zaspokajające



potrzeb). Trzeba też uwzględnić słabości ruchu recenzenckiego: krytycy piszą najczęściej o ludziach najbardziej znanych i uznanych, rzadziej sięgają do ciekawych zjawisk peryferyjnych. Zresztą, jak to już kiedyś pisałem, krytycy tkwią w historii po uszy, a ona każe im doszukiwać się i poszukiwać całych ciągów wydarzeń tworzących wzajemnie od siebie zależnych. Jeśli coś jest poza tradycyjnym ciągiem, może pozostać nie zauważone. Tradycyjne bywają również hierarchie nazwisk i zjawisk. Pragnę tu zwrócić uwagę na sprawę w tej dziedzinie bardzo, wydaje mi się, charakterystyczną. Gdybyśmy zaczęli dyskutować o rodzajach twórczości pisarskiej najbardziej wziętych, najbardziej poszukiwanych, literatura piękna nie miałaby wielu szans w rywalizacji z powiędzmy encyklopediami czy różnego rodzaju leksykonami. Nikt mi jednak nie wytłumaczy popularności tego typu wydawnictw autentycznymi potrzebami. Chyba że znajdziemy się w gronie hobylistów – krzyżowców. Wtedy co innego. Snobizm, oczywiście, tkwi u podstaw wielu zjawisk zbierackich i wielu opinii o sztuce. Tak dzieje się zarówno w przypadku runu na leksykony, jak i runu na twórczość np. Joyce'a lub innych uznanych albo tylko obcmokanych wielkości. Zjawisk kulturowych nie da się i nie powinno się oceniać w sposób powierzchowny. Mnie się wydaje, że od tabel z reprezentacjami książek i nazwiskami twórców wiedzie prosta i jakże konieczna droga do pogłębionych badań nad faktyczną poczytnością różnych typów literatury i różnych pisarzy. Ogromnie przecież zmienił się w ciągu ostatniego półwiecza zarówno krąg czytelników, jak i ich skład społeczny, a więc także i ich gusty i wyobrażenia o ulubionym literackim dziele. Zmienił się również obraz naszego narodu

w oczach tych, którzy patrzą na nas z zewnątrz, spoza granic. Znakomity twórca najlepszej polskiej książki science fiction z okresu modernizmu, Jerzy Żuławski, nie miał w swojej epoce najmniejszej szansy na sławę światową. A przecież to, co stworzył było podówczas bardzo nowatorskie również w skali europejskiej, ale wtedy liczyły się tylko ogromne i bardzo koturnowe dzieła H.G. Wellsa, a nie przepojone neoromantycznymi nastrojami, znerwicowane utwory polskiego autora.

Nie było mody na science fiction. Jeszcze perspektywy sukcesów nauki górowały w marzeniach ludzkich nad wysokimi wyobraźni. Jeszcze wierzone w cuda techniki, których podszewkę i skutki działania opisał z gorącością Żuławski w powieści „Na srebrnym globie”. Światową sławę zdobywa dopiero w następnym stuleciu, w jego drugiej połowie i u schyłku, Stanisław Lem, najczęściej obecnie tłumaczony pisarz naszego kraju. I śmiem twierdzić, że swoją sławę zawdzięcza nie ucieczce od science fiction, którą obecnie na każdym kroku manifestuje, lecz przede wszystkim temu gatunkowi, którego stał się europejskim, i nie tylko europejskim, głównym filarem. Najczęściej drukowane jego książki („Astronauta”, „Obłok Magellana” i „Solaris”) to przecież właśnie SF – czy On to lubi, czy nie. Na nich wyrosła Jego popularność na Wschodzie i na Zachodzie. A także i w kraju.

Jest to sprawa, która nie powinna się wyrywać z pola widzenia naszym socjologom kultury ani krytykom. Bez zrozumienia istoty zmian, jakie zaszły w ciągu ostatniego stulecia w literaturze i czytelnictwie nie tylko polskim, ale i europejskim i światowym, między tym co tworzył nasz Żuławski a piśmo obecnie Lem – nie może być mowy o właściwym rozeznaniu tego, co się dzieje we współczesnej kulturze. I to bez względu na to jak w hierarchii krytyków kształtuje się pozycja literatury SF u nas i gdzie indziej. A zwłaszcza u nas, gdzie tak radykalnie uległ zmianie profil czytelnictwa. Są to jednak zjawiska tak oczywiste, że wiele osób piszących o kulturze czy badających wydarzenia kulturowe straciło je z pola widzenia. Jak nie widzi się właściwie identycznej kamienicy sąsiadów z przeciwka z domu, w którym się mieszka, i w gruncie rzeczy nic o nich nie potrafi się powiedzieć. A w wielu znanych pismach literackich znani recenzenci pouczają biednych twórców „za co się powinni chwycić”. O, tempora! O, mores!

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redakcja: Adam Hollanek (red. nac.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędziński, Andrzej Krzepkowski (kier. działu publicystyki kulturalnej), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Małski (sekr. red.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Anna Szubka, Darostaw J. Toruń.

Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalewski.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, I^a centr. 25-72-91 do 93.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok na następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Skład: Zakłady Włósnodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P. Z. Graf. RSW Łódź.

Nr indeksu 35839. Zam. 2400 84r T-70. N. 140000

PL ISSN 0209-1631

LĄDOWANIE XIX

W dalekim Kapsztadzie...

...podarowany wraz z innymi pismami, trafił mi do rąk egzemplarz Waszego pisma. Pismo jest zaiste fantastyczne – więc telegraficznie, via USA, zlecilem prenumeratę: na Montarę (USA), gdzie przebywam czasowo, i na Gdańsk, gdzie mieszkam. Swój do swego. Przecież tylko fantasta można nazwać faceta zeglującego na dziewięciometrowym jachcie (najmniejszy polski jacht, jaki opłynął solo świat) z kotem, gitarą, mikroskopem i mapą nieba... Opłynął, bo wiem przebyłem już 3 oceany i wyruszywszy z Ameryki, do Ameryki już powróciłem. Oczywiście dokończę rejs do San Francisco. Taki rejs to przede wszystkim orgia nieba. Sputniki, meteory, złom kosmiczny lecący niemal na głowę, zielone promienie słońca, nocne tęcze. Nie wiem czy figuruję w Waszych aktach, ale wśród moich 14 książek (zasadniczo morze i żeglarsstwo) jest i zbiór sprzed lat plus kilkanaście opowiadań rozproszonych po czasopiśmie i zbiorach (głównie NK). Pamiętacie więc taskawie, gdy w chwale dociągniecie Wasze noty bio do U (jak Umiński), by i o mnie linijki trzy zamieścić. Przyszła mi do głowy taka koncepcja: czy ciekawilaby Was krótka rozprawka-esej, no powiedzmy, „Gdy życie stało się SF”. Otóż jacht, którym płynę, zbudowany z tworzywa teflon („kosmicznej” stali SIT), jest prowadzony (pod dakronowymi żaglami) przez nawigację satelitarną TRANSIT, czerpiąc energię z krzemowych ogniw słonecznych. Osmoza dostarcza mi wody, liofilizowane są moje zapasy. Gdy się nudzę, rozgrywam partię szachów z elektronicznym przeciwnikiem, Borysem. Radarowy reflektor strzeże mnie nocą, w dzień chłodzi freonowa sprężarka...

Andrzej Urbańczyk

Dotugi list, mogłem dać tylko fragment, ale jakie to pasjonujące. Oczywiście zamówiliśmy tekst. Ilekroć sięgam po korespondencję, aby animować dyskusję między Czytelnikami a redakcją, tylokrotnie wyczekuję z biciem serca na teksty ciekawe, pełne fantazji, pełne życia, zadziorne. I zawsze się coś znajdzie. Listem pisarza, podróżnika i fantasty rozpocząłem dzisiejsze „Lądowanie”. Następne fragmenty korespondencji zawdzięczam zadziornym i złośliwym miłośnikom i krytykom naszego pisma.

Marnujecie papier na Seksmisję

...Ewidentnie marnujecie panowie papier na lotosy z filmów typu „Seksmissja”. Film ten zapewne obejrzy każdy fan. Więc po co – reklamy obraz nie wymaga, miejsca w numerze nie ma za dużo, dlatego lepiej byłoby dać nam jakąś ilustrację, grafikę, komiks, coś w każdym razie do czego nie ma dostępu na co dzień... Drukowanie fragmentów większych utworów i tylko fragmentów jest najlepszym sposobem na zwiększenie liczby wrzodowców i zawałowców w PRL. A druk fragmentu „Odysei 2001” jest zupełnie pułdem. Kto widział film – ma w nosie ten króciutki urywek, kto nie widział – i tak niczego nie zrozumie...

Barbara Walicka z Żor

Traciecie dużo miejsca w piśmie na nędzne bazgroły. Dawajcie znanych rysowników polskich i zagranicznych, dużo częściej niż co kilka numerów. Także te plakaty w kioskach mogłyby być lepsze.

Paweł Ostaszczka z Garwolina

Nie lubię komiksu i M. Parowski nie przekonał mnie do niego.

Marek Wierzbicki z Łodzi

Chciałbym się wypowiedzieć w sprawie plakatów, których numery 1,2,3,5 można już kupić. Otóż są one brzydkie. Dlaczego wybrałście takie rysunki? Czy mogę je pokazać znajomym, nie znającym fantastyki? Toż ośmieszę galunek i siebie. Proszę, aby następne plakaty przedstawiały sceny z fantasy lub z dobrej fantastyki naukowej. Podaję pozytywne przykłady z Waszego miesięcznika: str. 1 nr 4/84, str. 5 nr 3/84, str. 35 nr 11-12/83, str. 79 z 11-12/83, str. 22 nr 10/83, str. 16 nr 9/83 i str. 47 nr 2/82. Uff, przekartkowałem wszystkie wydane dotychczas „Fantastyki” i tylko tyle ilustracji powiesiłbym na ścianie. I jeszcze jedno: poezja zniknęła – przywrócić!

Marek Osipowicz
(student, lat-21) z Rzeszowa

Zaczęły się pokazywać plakaty „Fantastyki”. Zbyt podobne do siebie kolorystycznie i w sumie dość niskich lotów. Brawa jednak za inicjatywę. Zamiast plakatów czy nie lepiej byłoby drukować okładki książek tych powieści, które drukujecie? Piękne z pozytecznym.

T. Szymański z Pińczowa

Nareszcie postery czy alisy. Tylko że trochę za małe, ale niektóre interesujące. Najpierw wybrzydzałem, potem próbowałem powiesić, przykleić do ściany. I – czekam na dalszy ciąg serii! Zawsze tak będzie, że jedno lepsze, a drugie gorsze. W tym wypadku pierwsze były gorsze, każdy następny już lepszy.

Jacek Rajtoch z Krakowa

Z plakatów jedynie dwa zasługują na pozytywną ocenę – 1 i 5. Moze jeszcze egzemplarz z siedzącym człowiekiem z otwartą klatką piersiową i elektronicznymi mechanizmami zamiast płuc na coś się nadaje...

Piotr Ulos z Wesolej k. Warszawy

Więc zaczyna się ostra dyskusja w sprawie posterów, alisy, czy plakatów – jak kto woli. Podjęliśmy próbę urzeczywistnienia obietnicy danej Czytelnikom zaraz na początku naszej egzystencji na rynku. Jak się okazuje, sprawa nie jest prosta. Oczywiście, wszystkim nie dogodzimy. Następne egzemplarze naszej serii będziemy jeszcze staranniej dobierać, a dobór dotychczasowy był również ostry. Miał cechy zamkniętego konkursu, rozpisanego między tymi artystami, którzy decydują się na ilustrację typu fantastycznego. Różne z tego rzeczy wyszły. Jedne lepsze, drugie drażniące. Dyskusja będzie trwać.

Nowy klub – brawo!

Kierownictwo Referatu Kulturalno-Oświatowego Wojewódzkiego Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej Chorób Płuc w Sokołowsku uprzejmie informuje, że w dniu 3 maja 1984 r. na posiedzeniu Młodzieżowej Rady Kultury został utworzony Klub Miłośników Fantastyki. Tym samym deklarujemy swoją chęć współpracy z Waszym miesięcznikiem, jednocześnie zwracając się z prośbą o przesłanie informacji organizacyjnych. Klub Miłośników Fantastyki skupia w chwili obecnej 6 osób, które były stałymi czytelnikami Waszego miesięcznika. Wśród nich jest również osoba parająca się twórczością pisarską oraz 3 osoby należące do Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej. (...) Ponadto od 22 maja br. pragniemy wydawać gazetę zakładową „Eskulap”, w której m.in. jeden dział poświęcamy fantastyce. (...)

Ewa Szychowiak i Arkadiusz Bożek

Przyjmujemy Was oczywiście serdecznie do rodziny miłośników SF i zwolenników naszego pisma. Witamy. Współpracę z Waszym autonomicznym klubem wyobrażamy sobie jako uwagi pod naszym adresem (o tym co wam się podoba, a co nie w miesięczniku), jako notatki o waszym życiu klubowym – zebraniach dyskusyjnych poświęconych książkom, które czytacie, utworom jakie sami pisujecie. Ciekawi nas również dział fantastyki w waszej zakładowej gazecie „Eskulap”. Myślę również, że od czasu do czasu będziemy się mogli z Wami spotkać, że nasz przedstawiciel Was odwiedzi. Prosimy o kontakt.

Redaktor



W polskiej krytyce literackiej pojęcie „fantasy” po prostu nie istnieje. Co prawda, pisał o nim przed laty Stanisław Lem, później Marek Wydmuch, Andrzej Zgorzelski, Maria Edelson – jednak były to krótkie wzmianki, prace rozpoczęte i nie dokończone. W „Słowniku terminów literackich” nie ma definicji „fantasy”; jest „fantazja” i „fantastyka”, ale przecież nie o to chodzi.

FANTASY

Tymczasem w krytyce anglosaskiej o „fantasy” mówi się pełnym głosem. Bibliografie notują kilka książek poświęconych choć w części temu gatunkowi: „Theological Essay on Festivity and Fantasy” (1970) Harvey Coxa, „The Game of the Impossible: A Rhetoric of Fantasy” (1976) W. R. Inwina, „Introduction” in „The Moonlight Traveler: Great Tales of Fantasy and Imagination” (1943) Ph. Van Doren Sterna, „Modern Fantasy” (1975) C. N. Manlove’a. O „fantasy” piszą teoretycy science fiction: Robert Scholes, Eric Riakbin, Sprague de Camp, Sam Moskowitz, Brian Aldiss, Sam Lundvall i Marc Angenot. Ale mają też o czym pisać. Dość powiedzieć, że nader pobieżna, niepełna lista autorów anglosaskich obejmuje około 80 nazwisk. Są wśród nich prawdziwi potentaci gatunku, którzy stworzyli w sumie kilkaset utworów: Edgar Rice Burroughs, James Branch Cabell, Lyon Sprague de Camp, Philip Jose Farmer, Robert Ervin Howard, Katherine Kurtz, Fritz Leiber, Patricia A. Mc Killip, Michael Moorcock, Andre Norton, Ernest Bramah Smith, Thomas Burnett Swann, John Reuel Tolkien i Twence Hanbury White. Są również inni – znani lub mniej znani z historii science fiction: Brian Aldiss, Poul Anderson, James Blish, Italo Calvino, Gordon Dickson, James Gunn, Robert Anson Heinlein, Frank Herbert, Tanith Lee, Ursula Le Guin, Robert Silverberg, Clifford Simak, John Vance, Alfred Van Vogt, Roger Zelazny.

No dobrze, ale czym jest właściwie gatunek „fantasy”? Fantasy to rodzaj „baśni literackiej”, w której, jak twierdzi Lem – rozwijając tezę Rogera Callois – „dopuszczalne są zastrzyki losowości naruszające schematy dobra i zła, schedę baśni klasycznej”. Jest to świat, w którym zdarzają się przypadki, tak jak w rzeczywistości, gdzie zły los nie jest przesłanką rychłej naprawy. „Fantasy to taka baśń, której mechanizm nie musi być deterministyczny, jest to gra o niezerowej sumie, baśń, w której odnaleziony skarb może okazać się fałszywy, a sierota wygnana do lasu przez macochę pojedzie do kryminału za podrabianie pieniędzy”.

Mniej sugestywnie, ale równie wymownie definiuje „fantasy” amerykański krytyk Robert Scholes: „Fantasy to rodzaj fikcji, która oferuje nam świat prosty w regułach i radykalnie odmienny od naszego, lecz zarazem umożliwiający lepsze poznanie świata istniejącego”. I dalej: „Wielu ludzi sądzi, że „fantasy” to rodzaj nierzeczywistości. Zgoda. Ale przecież cała fikcja literacka jest rodzajem nierzeczywistości. Chodzi o coś innego. Świat „20 000 mil podwodnej żeglugi” mógłby w zasadzie istnieć. Fantasy – w żadnym wypadku. Kiedy Alicja odkrywa, że kwiaty mówią, stwierdza, iż znalazła się w świecie fantastycznym. Powieść Verne’a to science fiction, książka Lewisa Carrolla to fantasy. Prawdziwa fantasy korzysta z fantastyki w sposób nieukrywany, prosty, bezpośredni”. Scholes nie jest w swoich wywodach osamotniony. Sekunduje mu Tolkien, ów szacowny brytyjski literaturoznawca, który „zharbił się” kiedyś publikacją najstydniejszej „fantasy” świata. Autor „Władcy Pierścieni” pisze: „Fantasy to naturalna forma aktywności ludzkiej”. Mocne słowa. Zwazmy jednak przez kogo wypowiedziane.

gatunku uznaje się czasem Poego, Lovecrafta... Twana, Voltaire’a, Shendana Le Fanu. Anglosaskie narodziny „fantasy” przypadają na lata dwudzieste i przebiegają pod dyktando literatury popularnej. Tworzą wówczas: Edgar Rice Burroughs – autor opowieści o Tarzanie („The Mars or Barsom Series” – seria przygód Johna Cartera na Marsie składająca się z 11 utworów pisanych w latach 1917–1940), James Branch Cabell („The Biography of the Life of Manuel” – 20 utworów datowanych na lata 1919 – 1922) i Ernest Bramah Smith (cykl przygód o Kai Lungu działającym w fikcyjnych Chinach zamieszkałych przez smoki, upiory i magiczne postacie – 7 utworów z lat 1900–1940). Wymienieni autorzy znajdują licznych naśladowców, którzy dają początek heroicznej odmianie fantasy („heroic fantasy”). Jej akcja opisuje przeżycia człowieka o ogromnej sile fizycznej, rozgrywa się na Ziemi i innych planetach, bądź w przestrzeni międzyplanetarnej. Prawdziwym mistrzem „heroic fantasy” był niedługo Robert Ervin Howard (1906–1936), autor cyklu o barbarzyńskim herosie Conanem żyjącym w mitycznej Anglii (cykl ten doczekał się również ekranizacji: „Conan der Barbar” (1982) – rez. John Milius). Kontynuowali go później tak znani autorzy, jak L. Sprague de Camp i Lin Carter, a po wielu latach został sparodiowany przez Poula Andersona.

Fantasy to jednak nie tylko przygody dzielnych supermanów, którzy wnoszą ład w niezmierzony chaos Wszechświata. Feenia rekwizytów i kostiumów składa się na odmianę „Swords and Sorcery” („miecza i czarów”) rozstawioną „Władca Pierścieni” J. R. Tolkiena. Czary i magia wykorzystywane w zmaganiach Dobra i Zła nie mają nic wspólnego z motywacją naukową. Laser zostaje zastąpiony przez miecz, naukowcy przez czarodziejów. Przykładem może służyć cykl Fritza Leibera: „Swords Against Wizardry”, „Swords in the Mist”, „Swords of Lankmar” (1968).

I wreszcie najciekawsza odmiana „baśni literackiej”, tzw. „science fantasy”, która używa rekwizytów baśniowych tłumaczy przestankami naukowymi. Autorkę znamy doskonale – jest nią Ursula Le Guin, córka Theodory Kroeber pochodzącej z polskiej rodziny Krakowów (zob. „Fantastyka” 8/84). Powieść „Czarnoksiężnik z archipelagu”, będąca pierwszym tomem trylogii „The Earthsea”, to rodzaj „fantasy utopijnej”, w której magia – wykorzystana nieświadomie – może wyrządzić więcej szkód aniżeli pożytku, a czarodzieje nierzadko przegrywają walkę o życie powodowani wygórowaną ambicją, chęcią przewodzenia światu. Zbliżenie science fantasy do literatury nurtu głównego sprawia, że może ona przejmować funkcje hipoteczotwórcze opisując prawdopodobne losy człowieka w przeszłości (A. Rosny – „Walka o ogień”, powieści Hamiltona). Umiejętność „czarów” wynika częstokroć z różnego rodzaju mutacji – ingerencji kosmicznych przybyszów (opowieści E. Lewellina i in.). Zdaniem Heinleina ten typ „fantasy” bliski jest prozie science fiction, choć różni się od niej w kilku zasadniczych punktach – wątpiąc nie tylko w hipotezę (SF), co w stwierdzone fakty, zaprzeczając rzeczywistości naszego świata.

Gwoli sprawiedliwości odnotujemy, że wewnątrz-

nych podziałów gatunku jest znacznie więcej. I tak na przykład autorzy antologii „Dark Imaging” (1978) – Robert H. Boyer i Kenneth J. Zahorski wiążą „baśń literacką” z powieścią grozy pisząc o „gothic high fantasy” (R. E. Howard, C. L. Moore, F. Leiber, P. Anderson, U. Le Guin) oraz „gothic low fantasy” (A. Conan Doyle, A. Blackwood, H. P. Lovecraft, R. Bradbury, P. Beagle). W innej antologii „high fantasy” tych samych autorów („The Fantastic Imagination”, 1977) znajdujemy nazwiska pisarzy operujących „wątkami kosmicznymi i silnymi charakterami”: C. S. Lewina, S. Warnera i... Johana Ludwiga Tiecka. Niepoważne? Być może, ale pamiętajmy, że do grona science fictioneistów zalicza się czasem Bruno Schulza, Franza Kafkę i Tomasza Manna (tego ostatniego za... kreację diabła w „Doktorze Faustusie”).

Czy warto pisać o „fantasy”? Sądzę, że tak. Trzeba pisać o „fantasy” jako o pewnym zjawisku socjologicznym, którego zasięg przekracza granice wybranego obszaru językowego. Antologie gatunku idą dzisiaj w dziesiątki. Mało tego – to co wydaje się ostatnio pod hasłem „SF” jest nierzadko zasztyrowaną odmianą „fantasy”. W wielu krajach powstają kluby zwolenników tej prozy, które dysponują niezłym rozpoznaniem w fantastycznej rekwizytorni – mają swoje symbole, kolekcje, ekspozycje.

Dlaczego? Co decyduje o szalonym powodzeniu zjawiska? Czy jest tak, że literatura współczesna nie może uporać się z problemami, które doprowadziły ludzkość na krawędź zagłady grożącej wszystkim – natychmiast i nieodwołalnie? Czy w obliczu owej katastrofy wszelkie przewidywania, prognozy straciły sens? Powróćmy do naszej historii zaczęliśmy z jakąś podejrzliwością przypatrywać się samym sobie: wszak „fantasy” sięga przede wszystkim do legend, mitów, sag, opowieści heroicznych – a dopiero później do baśni ludowych. Literatura zmierzchu XX stulecia? Votum separatum wobec mocy kreacyjnych nauki? Rozczarowanie wobec jej perspektyw, jakże często zawodnych i iluzorycznych – wypowiedzenie służby scenyżmowi, który zachwał systemem norm, spowodował spiętrzenie pytań, a jednak nie rozwiązał „przeklętych problemów filozoficznych”? Nauka nie stanowi dziś systemu integrującego – raczej rozbija niż scala, potrzeba syntezy jest jednak niestęchające silna. Człowiek poszukuje Absolutu i jeśli nie może go znaleźć zadowala się jego namiastkami. Konieczność scatenia to nie tylko próba powrotu do magii będącej odmiennym sposobem poznawania świata, ale także do źródeł ładu moralnego, triumfu dobra nad złem. Nieprzypadkowo drobna, lecz silna dłoń Alicji przeciąga „biedny, udręczony glob na drugą stronę rzeczywistości”.

A może... sprawa jest znacznie prostsza? Może współczesna fantasy to tylko wspaniały relaks po śmiertelnie poważnym okresie dominacji science fiction? Może jest odpowiedzią na znużenie, przesyconie cudowną techniką, patosem wykładów dobiegających z kabin Kosmokratorów? W jednej z książek Strugackich widnieje Żelazny Mur, który oddziela Świat Wyobraźni Humanistycznej od Świata Strachu Przed Przyszłością. Może fantasy upała się, aby ten mur zburzyć? Zstąpmy na ziemię. Literatura nurtu głównego ignorująca historie o księżniczkach i herosach Kosmosu, literatura zaangażowana, wysłorowana naprzód w swym awangardyzmie stała się nazbyt trudna dla wielu czytelników spragnionych prostej fabuły, przygody, nowego „mitu pogranicza” na miarę XX stulecia. Baśń literacka jest rodzajem kathartycznego oczyszczenia po codziennym piekle udręki, wiecznym kotowrocie wydarzeń. Jest jedyną nadzieją, że życie ma swój sens, a dobro w końcu zatrumfuje.

Andrzej Niewiadowski

Reguła Nazwisk

(The Rule of Names)

Ursula Kroeber Le Guin

Pan Podgórny uśmiechając się i dysząc ciężko wyszedł spod swojego wzgórza. Każdy oddech wydobywał z jego nozdrzy strumień pary, tworzący w promieniach porannego słońca biały obłoczek. Podniósł oczy na jasne grudniowe niebo i uśmiechnął się szerzej niż zwykle, ukazując śnieżnobiałe zęby. Ruszył w dół do miasteczka.

- Dzień..., Panie Podgórny - pozdrawiali go mieszkańcy, gdy mijal ich na wąskiej uliczce pomiędzy dwoma rzędami domów, pokrytych stożkowatymi, przypominającymi czerwone kapelusze muchomorów dachami.

- Dzień..., Dzień! - odpowiadał wszystkim. Życzenie komukolwiek dobrego dnia mogłoby przynieść pecha - w miejscu takim jak Wyspa Sattins, jakże podatnym na Wpływy, niefortunnie dobrany przymiotnik mógł zmienić pogodę na cały tydzień. Proste określenie pory doby było całkowicie wystarczające.

Wszyscy mu odpowiadali - jedni z szacunkiem, inni z szacunkiem i lekceważeniem zarazem. Był dla tej wsi kimś w rodzaju czarnoksiężnika, a zatem należało mu się poważanie - ale jakże można było poważać małego, grubego, pięćdziesięcioletniego człowieka, który chodził stawiając stopy do wewnątrz, kołysząc się jak kaczka i z nieodłącznym uśmiechem na ustach wydychał strumienie pary? Jako człowiek czynu także nie był doskonały. Jego ognie szluczne były rzeczywiście wspaniałe, ale już eliksiry jego wyrobu - słabiutki. Kurzajki, które odczyniał, często wracały już po trzech dniach, a pomidory, które zaczarował, rosły zaledwie do wielkości kantalupa. Zawsze jeśli jakiś obcy statek zawijał do portu na wyspie, a zdarzało się to nieczęsto, Pan Podgórny zawsze chował się pod swoim wzgórzem - z obawy przed urokiem, jak powiadał. Innymi słowy był tak dobrym czarnoksiężnikiem, jak dobrym cieślą był zezowaty Gon - był nim z braku innego. Wszyscy pogodzili się zarówno z tym, że drzwi w ich domostwach nie pasują do otworów wejściowych, jak i z tym, że zaklęcia Pana Podgornego są nieskuteczne i jedynie swym zachowaniem wyrażali rozdrażnienie, traktując go poufale jak zwykłego wiesniaka. Zdarzało im się nawet zapraszać go na obiad.

Pewnego razu on sam zaprosił kilku z nich i podał im wspaniałą posiłek - wśród zastawy ze srebra i stali damasceńskiej i kryształowych naczyń ugościł ich pieczoną kaczką i musującym Andradem rocznik 639, a na koniec sliwkowym budyniem z sokiem. W trakcie posiłku był jednak tak niespokojny, że pozbawił swych gości całej przyjemności jedzenia. Ponadto, już w poł godziny po obiedzie wszyscy byli głodni. Zwykle nie życzył sobie, by ktokolwiek odwiedzał jego jaskinię - nawet jej przedśionek, którego jeszcze nikt nigdy nie przekroczył. Zawsze gdy spostrzegł, że ktoś zbliża się do wzgórza wybiegał truchtem na jego spotkanie. „Usiądźmy sobie pod tymi sosnami!” - zwykł mówić z uśmiechem, machając dłonią w kierunku gaju jodłowego. Gdy padał deszcz proponował: „Chodźmy do karczmy na jednego, co?” - mimo, że wszyscy wiedzieli, iż nie pijał niczego mocniejszego od wody zrodlanej.

Zamknięta jaskinia podrażniła ciekawość kilkorga malców z miasteczka i kiedy Pana Podgornego nie było w pobliżu, wybrali się do jego siedziby i usiłowali przeniknąć wzrokiem w głąb jaskini, ale małe drzewczki broniące dostępu do pomieszczenia wewnątrz jaskini były zamknięte czarami i były to chyba jedyne skuteczne czary Pana Podgornego. Innym razem dwaj chłopcy, przekonani, że czarnoksiężnik udał się na Zachodnie Wybrzeże, by leczyć chorego osła pani Ruuna, przyniesli ze sobą żelazny tom i siekiere, ale już po pierwszym uderzeniu w drzwi posłyszeli dochodzący z wewnątrz gniewny ryk i ujrzeli wydobywającą się zza drzwi chmurę purpurowego dymu. Pan Podgórny musiał wrócić wcześniej, niż się spodziewali. Chłopcy uciekli w popłochu. Nic im się nie stało, ale potem upierali się, że nikt, kto sam tego nie usłyszał, nie uwierzyłby jaki straszny, jęklivy, syczący, gwizdzący ryk ten mały tłusty człowieczek potrafił z siebie wydać.

Miał dziś kilka spraw do załatwienia w miasteczku: kupno trzech tuzinów świeżych jaj i funta wątroby, wizyta w domu kapłana żeglugi morskiej, gdzie zamierzał ponowić próbe odczarowania choroby oczu tego starca (beznadziejny przypadek odklejenia siatkówki, niemniej jednak Pan Podgórny robił, co w jego mocy), i w końcu pogawędka ze starą Goody Guld - wdową po wytwórcy harmonii ręcznych. Jego przyjaciółmi byli w większości ludzie w podeszłym wieku. On sam czuł się niepewnie w towarzystwie młodych, silnych mężczyzn, a z kolei młode dziewczyny ogarniała niesmiałość na jego widok. „Denerwuję się, gdy go spotykam; on się stale uśmiecha” - mówiły z kwaśną miną, owijając wokół palca kedziorek połyskliwych włosów. „Denerwować się” było nowym wyrażeniem i wszystkie matki komentowały ponuro: „Denerwować się! Coś takiego! Głupota jest tu najodpowiedniejszym słowem. Pan Podgórny jest niezwykle godnym szacunku czarnoksiężnikiem!”

Rozstawszy się z Goody Guld, Pan Podgórny przechodził obok szkoły. Zajęcia odbywały się na błoniach. Ponieważ na Wyspie Sattins nikt nie umiał ani czytać, ani pisać, nie istniały żadne książki do nauki, żadne ławki z pulpitemi, na których można by wydłubać swój monogram, żadne tablice, które można by wycierać i w zasadzie żaden budynek szkolny. W dłuższe dni dzieci spotykały się na poddaszu Stodoły Komunalnej, gdzie zdźbła siano czepiały się ich portek. W dni słoneczne nauczycielka Palani zabierała je, gdzie jej się podobało. Dziel, otoczona przez trzydziestkę zainteresowanych nauką dzieci poniżej dwunastu lat i czterdziestkę nie zainteresowanych nauką owieczek poniżej pięciu lat, uczyła niezwykle istotnego zagadnienia ujętego w programie szkolnym: Reguły Nazwisk.

Uśmiechając się nieśmiało Pan Podgórny zatrzymał się, by popatrzyć i posłuchać lekcji. W promieniach zimnego słońca Palani, pulchniutka i ładniutka dwudziestolatka wyglądała jak z obrazka - z gromadką owieczek i dzieci wokół siebie, z beznadziejnym debem ponad głową, z wydmami i morzem za sobą i na tle czystego, bladego nieba. Jej twarz pokryła się rumieńcem na skutek smagnięcia wiatru i treści wypowiedzianych z namaszczeniem słów.

- Poznałyście już Reguły Nazwisk. Istnieją dwie i są takie same na każdej wyspie świata. Jaka jest pierwsza z nich?

- Nieladnie pytać kogoś o nazwisko - krzyknął bystry grubasek, któremu natychmiast piskliwie przerwała mała dziewczynka.

- Mama mówi, że nie może się mówić nikomu swoje imię.

- Tak, Suba. Tak, Popi kochanie, nie wydzieraj się. Dobrze. Nigdy nie pytaj nikogo o imię. Nigdy nie podawaj swego. A teraz pomyślcie minutkę nad tym i powiedzcie mi, dlaczego nazywamy naszego czarnoksiężnika Panem Podgórny. - Uśmiechnęła się ponad kedzierzawymi głowami i welnistymi grzbietami do Pana Podgornego, który rozpromieniał się i nerwowo schwycił worek z jawkami.

- Bo mieszka pod górką! - odparła połowa dzieci.

- A czy to jego prawdziwe nazwisko?

- Nie - odparł grubasek, a mała Popi zawtórowała piskliwie: - Nie!

- A skąd wiecie, że nie?

- Bo przybył do nas samiutenki, więc nie było nikogo, co by mógł powiedzieć jego prawdziwe nazwisko, a on sam nie mógł.

- Bardzo dobrze, Suba. Popi, nie drzyj się. Bardzo dobrze. Nawet Czarnoksiężnikowi nie wolno podać swojego imienia. Kiedy ukończycie szkołę i przejdziecie Egzamin, przestaniecie używać swych dziecięcych imion i zachowacie tylko swe prawdziwe nazwiska, o które nie wolno wam nigdy pytać i których nie wolno wam nigdy wyjawiać. Dlaczego to jest reguła?

Dzieci milczały. Owce pobekiwały cichutko.

Pan Podgórny odpowiedział na postawione pytanie:

- Ponieważ nazwisko jest rzeczą - powiedział swym nieśmiałym, cichym, matowym głosem - a prawdziwe nazwisko jest

prawdziwą rzeczą. Wymówić takie nazwisko to znaczy mieć władzę nad tą rzeczą. Czy mam rację, Pani Nauczycielko? Uśmiechnęła się i ukłoniła, wyraźnie speszona jego udziałem w lekcji, a on oddalił się drobnym kroczkiem przyciskając worek z jajkami do siebie. Jakoś ta minuta spędzona na przyglądaniu się Palani i dzieciom sprawiła, że zgłodniał. Zamknął drzwi do wewnętrznej pomieszczenia w jaskini za pomocą pospiesznych zaklepek, ale magiczne słowa musiały być niezupełnie szczelne, bowiem już po chwili pusty przedsionek jaskini wypełnił się po brzegi aromatem smażonych jaj i skwierczeniem wątróbki.

Tego dnia wiał od zachodu łagodny i świeży wiatr i w południe na jego skrzydłach, ślizgając się po potyskujących falach zatoki, przybyła do Portu Sattins mała łódka. Pewien chłopiec o sokolim wzroku spostrzegł ją już wtedy, gdy dopiero opływała odległy cypel i ponieważ, jak każde dziecko na wyspie, potrafił doskonale rozpoznać każdy żagiel i każdy maszt czterdziestu łodzi, należących do floty rybackiej Wyspy Sattins, pobiegł ulicą do miasteczka krzycząc na całe gardło:

- Obca łódź, obca łódź!

Niezwykle rzadko na samotną Wyspę Sattins przybywała łódź z innej, równie samotnej wyspy na Morzu Wschodnim, bądź jakiś żądny przygód kupiec z Archipelagu. Nim łódź dobiła do przystani, połowa mieszkańców miasteczka wybiegła na spotkanie żeglarza. Żaglowka wpływała do portu eskortowana przez łodzie rybackie z wyspy, a pastuszkowie, zbieracze ślimaków i zielarze sapiąc wspinali się na nadmorskie skałki i wyciągali szyje w kierunku portu.

Jednak drzwi do jaskini Pana Podgórnego pozostały zamknięte. Na pokładzie łodzi znajdował się tylko jeden człowiek. Kiedy powiedziano o tym staremu Kapitanowi Żegluga Morskiej Fogeno, ten ściągnął ponad niewidzącymi oczami szczecine siwych brwi i rzekł:

- Jest tylko jeden typ człowieka, który żegluguje samotnie po otaczających nas morzach. To czarnoksiężnik, czarownik albo mag...

Mieszkańcy miasteczka z zapartym tchem czekali na moment, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczą Maga, jednego z tych potężnych Białych Magów zamieszkujących bogate, pełne wspaniałych zamków i gęsto zaludnione centralne wyspy Archipelagu. Jakież było ich rozczarowanie, gdy podróżnik okazał się być dość młodym, czarnobrodym, przystojnym mężczyzną, który po zdrowszy ich radośnie ze swej łodzi, wyskoczył na brzeg, zadowolony, jak każdy inny żeglarz w takiej chwili, że dobił do portu. Przedstawił się jako żeglujący wędrowny handlarz, kiedy jednak powiedziano Kapitanowi Żegluga Morskiej Fogeno, że ma ze sobą debową łaskę, stary wilk morski chrząknął i rzekł:

- Dwóch czarnoksiężników w jednym mieście. Niedobrze! - i zatrzasnął usta jak stary karp.

Ponieważ obcy nie mógł wyjawic im swego imienia, szybko wymyślono dlań przezwisko: „Czarnobrody”. Natychmiast znalazł się w centrum uwagi mieszkańców. Miał ze sobą nieduży ładunek rozmaitych towarów: a to tkaniny, a to sandaalki, a to ptasie

piórka do zdobienia ubrań, a to znowu niedrogie maleńkie i leciutkie kamyczki, jako też cudowne ziola i wspaniałe szklane paciorki z Venway - ot zwykły kupiecki towar. Każdy z mieszkańców Wyspy Sattins przychodził na to popatrzeć, pogawędzić z podróżnikiem i częstokroć kupić coś nieczego. „Ot tak, na pamiątkę jego wizyty!” - gadała Guld, którą, jak wszystkie kobiety i dziewczęta w mieście urzekła śmiałą urodą gościa. Również chłopcy krecili się wokół niego, słuchając chętnie opowieści o jego dalekich podróżach do niezwykłych wysp, o wspaniałych, bogatych wyspach Archipelagu, o redach z wieloma statkami i o złotych dachach Havnoru. Mężczyźni także z ochotą słuchali tych opowieści, ale jednocześnie niektórzy z nich, zastanawiając się dlaczego ten kupiec podróżuje samotnie, z uwagą przyglądali się jego debowej łasce.

Przez cały ten czas Pan Podgórny przebywał pod swoją górą.

- To pierwsza wyspa, wśród tych, które widziałem, nie posiadająca żadnego czarownika - powiedział pewnego wieczoru Czarnobrody do Goody Guld, która zaprosiła go wraz ze swoim bratanikiem i z Palani na filiżankę herbaty z siłowia. - Co robicie, gdy bola was zęby, albo krowa traci mleko?

- Przecież mamy Pana Podgórnego! - odparła stara kobieta.

- A co on jest wart? - mruknął jej bratanek Birt, po czym zaczerpniętą herbatę.

Birt był rybakiem - potężnym, odważnym, niewygadany, młodym mężczyzną. Kochał się w nauczycielce, ale nie śmiał powiedzieć jej o swojej miłości i raz tylko, chcąc dać jej to do zrozumienia, ośmielił się podarować kosz świeżej makreli kucharce jej ojca.

- Och, więc jednak macie czarnoksiężnika? spytał Czarnobrody.

- Czy jest niewidzialny?

- Nie, tylko bardzo nieśmiały - odparła Palani. - Jesteś tu zaledwie od tygodnia, a my widzimy tu tak niewielu obcych... - Ona też zarumieniała się, ale nie wylała swej herbaty.

Czarnobrody uśmiechnął się do niej.

- Jest zatem dobrym Sattinsnianinem, czy tak?

- Nie - odrzekła Goody Guld. - Nie bardziej niż ty. Napijesz się jeszcze bratanek? - zwróciła się do Birta. - Tym razem nie rozlej.

- Nie, mój drogi - zwróciła się ponownie do Czarnobrodego. - Przypłynął w maleńkiej łupinie, będzie jakie cztery roki wstecz, dokładnie w dzień po zakończeniu połowów złotośledzia, o ile mnie pamięć nie zawodzi, bo oni dopiero co wybierali sieci we Wschodniej Zatoce, a pastuch Condi w tamto rano ziałam nogę - to musi być pięć lat temu. Nie, cztery. Nie, pięć, bo to był ten rok, co czosnek nie wzeszedł. Wtedy, płynię w tej swojej łupinie, a ona wyladowana po brzegi wielkimi skrzyniami i pudłami, i mówi do Kapitana Żegluga Morskiej Fogeno, co natenczas nie był jeszcze ślepy, a był już tak stary, że mógł już dobre dwa razy oslepnąć: „Dowiedziałem się - mówi - że nie macie żadnego czarownika ani magika. Może byście chcieli go mieć?” „No pewnie, o ile to biały magik!” - odpowiedział Kapitan i zanim się kto obejrzał Pan Podgórny osiedlił się w jaskini pod wzgórzem i zabrał się do odczarowywania parchów z kota Goody Beltow. To był rudy kot, a futro co odrastało było szare. Dziwacznie to wyglądało. Zdechł w ostatnią zimę w czasie mrozów. Goody Beltow strasznie się martwiła, gdy ten kot zdechł, biedactwo - bardziej nawet niż wtedy, co jej chłop utopił się przy Długim Wybrzeżu w roku długich połowów śledzia, kiedy bratanek Birt był jeszcze w pieluchach.

Na te słowa Birt znowu rozlał swą herbatę, a Czarnobrody uśmiechnął się rozbawiony, ale Goody Guld zupełnie nie zbita z tropu mówiła dalej - aż do zmierzchu.

Następnego dnia Czarnobrody był na przystani i naprawiał uszkodzony pokład, co zabierało mu dość dużo czasu, jak zwykle wciągał małowonnych Sattinsnianinów w rozmowę.

- Którą z tych łodzi to dzieło waszego czarnoksiężnika? - pytał. - A może on ma taką łódź, jaką mają Magowie, to znaczy taką, którą można złożyć i schować do łupiny orzecha kiedy się jej nie używa?

- Ni!... - odparł flegmatyczny rybak. - Ma jom u siebie w groci, pod górą.

- Te łódź, w której przypłynął, zaniósł do jaskini?

- No. Zaniósł. Ja żem pomagał. Była bardziej cienka niż olów. Pełno tam było wielkich kufrów. On mówił, że tam som księgi z zaklęciami. Bardziej cienka niż olów, taka była. - Flegmatyczny rybak odwrócił się i westchnął flegmatycznie.

Bratanek Goody Guld, naprawiający nieopodal sieć, podniósł wzrok znad swego zajęcia i zapytał również flegmatycznie:

- A może chcesz spotkać się z Panem Podgórnym?

Czarnobrody odpowiedział wzrokiem na spojrzenie Birta. Na

Ursula KROEBER LE GUIN

Urodziła się w 1929 r. w Berkeley w Kalifornii. W 1951 r. ukończyła uczenie w Radcliffe uzyskując stopień Bachelor of Arts, a w 1952 zdobyła w University of Columbia stopień magistra nauk humanistycznych (Master of Arts). Podczas dalszych studiów w Paryżu, które odbyła jako stypendystka fundacji Fulbrighta, poznała i poślubiła historyka Charlesa A. Le Guina. Mimo że znana jest przede wszystkim jako pisarka, zyskała też sobie duże uznanie za pracę w charakterze nauczyciela akademickiego w Literackich Warsztatach Pisarzy Science Fiction w University of Washington. Państwo Le Guin mieszkają z trójką swoich dzieci w Portland w stanie Oregon.

Chociaż Ursula Le Guin podkreśla fakt, że zaczęła tworzyć literaturę z gatunku SF i fantazy już w wieku lat sześciu, prawdziwy sukces w zawodowym piśmarstwie przyniosła jej dopiero publikacja jej pierwszej powieści pt. „*Rocannon's World*” (1964). W ślad za nią ukazały się kolejne pozycje min. „*Planet of Exile*” (1966), „*City of Illusions*” (1971), „*The Dispossessed*” (1974), „*The Worlds for World is Forest*” (1976), „*Malafrona*” (1979). Najlepszą rekomendacją wysokiej wartości jej prac z gatunku SF niech będzie fakt, że w 1970 r. „*The Left Hand of Darkness*” została wyróżniona dwiema nagrodami - Nebula Award i Hugo Award - najwyższymi wyróżnieniami, jakie może otrzymać literat z kręgu SF.

W obrębie gatunku fantazy Ursula Le Guin wydała entuzjastycznie przyjętą przez krytykę trylogię „*Earthsea Trilogy*”, na którą składają się: „*A Wizard of Earthsea*” (1968), „*The Tomb of Atuan*” (1972) oraz „*The Farthest Shore*” (1972).

W 1968 r. Ursula Le Guin otrzymała również nagrodę The Boston Globe-Hornbook za mistrzowską beletrystykę młodzieżową.

M.D.



dłuższą chwilę chytre, czarne oczy spotkały się ze szczerym, niebieskookim spojrzeniem, po czym Czarnobrody uśmiechnął się i rzekł:

- Tak. Zaprowadzisz mnie na wzgórze, Birt?

- No..., jak to skończę - odparł rybak i gdy tylko naprawił się ruszyli uliczką wiodącą pochyło w górę ku zielonemu wzgórzu ponad miasteczkiem.

Kiedy wyszli na błonia, Czarnobrody powiedział:

- Zatrzymaj się na chwilę Birt, przyjacielu. Zanim spotkamy się z waszym czarnoksiężnikiem, chcę ci opowiedzieć pewną historię.

- Mów - odparł Birt, siadając w cieniu debu.

- Zaczęło się to wszystko sto lat temu i jeszcze do tej pory nie zakończyło - aczkolwiek skończy się niedługo..., już wkrótce... W samym sercu Archipelagu, gdzie wyspy tłoczą się jedna przy drugiej jak muchy na plastrze miodu, leży mała wysepka zwana Pendor. Dawno, w czasach licznych wojen, jeszcze przed Przymierzem, wyspą władali potężni panowie. Na Pendor napływały łupy, daniny, okupy i zgromadzono tam liczne skarby. Aż pewnego razu z dalekiego Morza Zachodniego, gdzie na pokrytych ławą wyspach żyją smoki, przyleciał potężny smok. Nie jakaś tam wyrośnięta jaszczurka, którą wy tutaj nazywacie smokiem,

ale ogromny, czarny, skrzydlaty, rozumny i przebiegły potwór, pełen siły i wyrafinowania i tak jak wszystkie smoki uwielbiający ponad wszystko złoto i precjoza. Zabił władcę Pendoru i jego żołnierzy, a ludność pod osłoną nocy uciekła z wyspy na statkach. Wszyscy uciekli, zostawiając za sobą smoka buszującego po Wieży Pendor. Przebywał tam przez sto lat, szorując swym pokrytym łuską brzuchem po szmaragdach, szafirach i złotych monetach. Opuszczał Pendor tylko raz, dwa razy do roku, w okresie żerowania. W poszukiwaniu jada napadał sąsiednie wyspy. Wiesz co jedzą smoki?

Birt potaknął i wyszeptał:

- Dziewice.

- Właśnie - powiedział Czarnobrody. - Cóż, myśl o tym, że tak będzie zawsze i o tym, że smok siedzi na tych wszystkich skarbach, była nie do zniesienia. Kiedy więc Przymierze nabrało siły, a Archipelag nie był zajęty prowadzeniem wojen i wypraw pirackich, zdecydowano się zaatakować Pendor, wykurzyć stamtąd smoka i przejąć złoto oraz drogie kamienie na skarb Przymierza. Nigdy im nie dość pieniędzy, mówię o Przymierzu. Przeło z pięćdziesięciu wysp napłynęła połączona flota, a siedmiu Magów stanęło na dziobach siedmiu najpotężniejszych okrętów i popłynęli na Pendor... Dobili do wyspy, zeszli na ląd. Wszędzie panowała

cisza i bezruch. Domy stały nie zamieszkałe, naczynia na stołach wypełniały stuletni kurz. Kości władcy wyspy i jego ludzi leżały rozrzucone po podwórcach zamkowych i na schodach. Komnaty w Wieży cuchnęły smokiem. Ze skarbu nie został ani jeden diament, choćby wielkości ziarenka maku, ani jeden srebrny paciorek – nic... Wiedząc, że nie zdoła sprostać siedmiu Magom, smok wymknął się. Wkrótce znaleźli jego trop i pojeśli, że odleciał na północ, na bezludną wyspę zwaną Udrath. Poszli tym śladem i co znaleźli? Znowu kości. Tym razem jego, smocze kości. Jednak ani śladu skarbu. Zapewne zaszedł mu drogę jakiś inny nieznany czarnoksieźnik nie wiadomo skąd i pokonał go, a następnie dał nogę z całym bogactwem i to tuż pod nosem Przymierza.

Rybak słuchał nieruchomo opowieści, wyrażając uwagę.

– Musiał to być potężny i sprytny czarnoksieźnik skoro najpierw zdołał pokonać smoka, a później uciec, nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu. Władcy i Magowie z Archipelagu nie potrafili go wysledzić. Nie dowiedzieli się ani skąd przybył, ani dokąd uciekł i zamierzali zrezygnować z poszukiwań. W tym czasie, a było to ostatniej wiosny, właśnie wróciłem z trzyletniej wędrowki po Morzu Północnym. Poproszono mnie, bym pomógł im odnaleźć tego nieznanego czarnoksieźnika. Był to bardzo mądry krok z ich strony, albowiem jestem nie tylko czarnoksieźnikiem, co kilku półgłówków na waszej wyspie w końcu pojelo, ale również potomkiem Władców Pendoru. Skarb zatem należy do mnie. Jest mój i wie o tym. Ci głupcy z Przymierza nie mogli go odszukać, bowiem nie jest ich własnością. Należy on do Dworu Pendor, a ogromny szmaragd, gwiazda pierwszej wielkości wśród całego skarbu – Zielony Inalkil, zna swojego pana. Spójrz!

Czarnobrody uniósł debową łaskę i zakrzyknął:

– Inalkil!

Stopka łaski błysnęła zielonym światłem, wściekłym zielonym promieniowaniem, oslepiającą mgłą o barwie kwietniowych traw i w tej samej chwili debowy kostur szarpnął się w dłoni czarnoksieźnika, a jego koniec zaczął chybotać się i pochyłać, aż w końcu zatrzymał się, wskazując prosto na wzgórze nad nimi.

– W Havnorze tak jasno nie błyszczał – mruknął Czarnobrody – ale wskazywał właściwy kierunek. Inalkil odpowiadał na moje zawołanie. Znam więc już rabusia i zwalczę go. Jest potężnym czarnoksieźnikiem, skoro pokonał smoka, ale ja jestem jeszcze potężniejszy. Chcesz wiedzieć dlaczego, półgłowie? Ponieważ znam jego nazwisko!

Kiedy mowa Czarnobrodego sławała się coraz bardziej arogantka, Birt posmutniał i poczuł się wielce zakłopotany, ale na dźwięk pytania drgnął, wytrzeszczył oczy na przybysza z Archipelagu i spytał niesmiało:

– A... skąd?

Usta Czarnobrodego wykrzywił ironiczny uśmiech, ale nie odpowiedział na postawione pytanie.

– Czarna magia?

– A jak myślisz?

Birt zblił i zamilkł.

– Jestem Władcą Pendoru, niezguło, i będę miał złoto, zdobyte przez mych ojców, klejnoty, noszone przez moje matki, i Zielonego Inalkila! Są moje!... A gdy już pokonam tego czarnoksieźnika i odejdę ze skarbem, będziesz mógł opowiedzieć tym cymbałom w miasteczku całą tę historię. Zaczekaj tu albo chodź ze mną, jeśli się nie boisz. Nigdy więcej nie będziesz miał okazji widzieć potężnego czarnoksieźnika, używającego całej swojej mocy. – Czarnobrody odwrócił się i nie oglądając się za siebie, pewnym krokiem ruszył w kierunku wejścia do jaskini na wzgórzu.

Powoli, niepewnie, Birt posuwał się jego śladem. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości od grotu, usiadł pod krzewem dzikiej róży i patrzył co się będzie działo.

Przybysz z Archipelagu stał zupełnie nieruchomo naprzeciw rozdziawionej czeluści w skale – samotna, ciemna sylwetka na tle pokrytego zielenią wybrzuszenia terenu. Nagle zakrecił łaską ponad głową, a szmaragdowe światło błysnęło wokół na dźwięk jego słów:

– Złodzieju, złodzieju Skarbu Pendoru – wychodź!

Z głębi grotu dobiegł trzask jakby tłuczonych naczyń i na zewnątrz wydobył się tuman kurzu. Przerażony Birt padł na ziemię. Kiedy ponownie podniósł wzrok zobaczył nieruchomo stojącego Czarnoksieźnika, a u wejścia do jaskini pojawił się zakurzony, rozczochrany Pan Podgórny.

Wyglądał niedźwiz i żalosnie ze słoparni skreconymi do wewnątrz, na krzywych nogach odzianych w czarne portki i bez łaski. „On nigdy nawet nie miał łaski” – pomyślał nagle Birt.

– Kim jesteś? – spytał Pan Podgórny cichym, ochrypłym głosem.

– Jestem Władcą Pendoru. Złodzieju, wychodź! Przybywam po mój skarb!

Na te słowa Pan Podgórny poróżnował na twarzy tak jak wtedy, kiedy ludzie bywali dlań nieuprzejmi. Wtem zmienił kolor. Stał się żółty. Najeżył włosy, wydał ryk podobny do kaszlu i zamieniwszy się w lwa, skoczył błyskając białymi kłami w dół, na Czarnobrodego.

Czarnobrody już tam nie stał. W jego miejsce gigantyczny tygrys o harwach nocy i błyskawic odbił się od ziemi na spotkanie lwa...

Ale lwa już też nie było. Znienacka tuż pod jaskinią wyrósł wysoki zagajnik, jak czarna plama w zimowym słońcu. Tygrys, nim znalazł się w cieniu drzew, zatrzymał się w pół skoku, zapalił w powietrzu i jako jezor ognia jał smagać suche, czarne galezie... Lecz na zbocz góry, gdzie stał las trysnął niespodziewanie wodospad i jak huk srebrzystej, druzgocącej wszystko wody, grzmiać opadł na płomienie. Ale ogień przepadł już wcześniej.

Na ułamek sekundy przed wytrzeszczonymi oczami zdumionego rybaka pojawiły się dwa wzgórza – zielone, które znał i zupełnie nowe – naga, brunatna góra, gotowa wchłonąć potoki wody z wodospadu. Działo się to tak szybko, że Birt ledwie zdążył mrugnąć, a kiedy mrugnął po raz wtóry, jęknął, albowiem to, co teraz zobaczył, było o wiele straszniejsze. Tam, gdzie przed chwilą tryskał wodospad, unosił się w powietrzu smok. Jego czarne skrzydła rzuciły cień na całe wzgórze, stalowe szpony siegały przed siebie, jakby po omacku, a z ciemnego, odrażającego pyska dobywały się ogień i dym.

Poniżej, śmiejąc się, stał Czarnobrody.

Możesz przybrać dowolny kształt, mały Panie Podgórny – nagrałwał się – i tak cie pokonam. Ta zabawa jednak staje się nużąca. Chce zobaczyć swój skarb i Inalkila. A teraz wielki smoku, mały czarnoksieźniku, przyjmij swą prawdziwą postać! Rozkazuje ci to siłą twojego prawdziwego nazwiska – Yevaud!

Birt nie mógł się ruszyć, ani nawet mrugnąć. Trzesąc się ze strachu patrzył, chcąc nie chcąc, przed siebie. Widział, jak czarny smok wisi w powietrzu nad Czarnobrodym. Widział, jak jezory ognia omiatają ohydny pysk, a strumień dymu pruje z czerwonych nozdrzy. Zobaczył, jak twarz Czarnobrodego blednie jak kreda, a okolone brodą usta drżą.

– Nazywasz się Yevaud.

– Tak – odpowiedział potężny, ochrypły, sykliwy głos. – Moim prawdziwym nazwiskiem jest Yevaud, a prawdziwym kształtem ten, który widzisz.

– Przecież smok został zabity, znaleziono na Wyspie Udrath jego kości.

– To był inny smok – odparł smok i wyciągając szpony, jak jastrząb runął na swą ofiarę.

Birt zamknął oczy.

Kiedy je otworzył niebo było czyste, a wzgórza puste i tylko czarno-czerwona miazga i kilka bruzd po szponach widniało na trawie.

Rybak Birt zerwał się na nogi i jał uciekać. Biegł przez błonia, rozpędzając na lewo i prawo ślady owiec, prosto na uliczkę, gdzie stał dom ojca Palani. Palani pielila w ogródku nasturcję.

– Chodź ze mną – zachłysnął się.

Spojrzała nań pytająco. Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. Pielnola, ale nie próbowała się opierać. Pobiegli prosto na nabrzeże, gdzie Birt wpełznął ją do swej rybackiej łodzi o nazwie „Królewna”. Odcumował, schwycił wiosła i odpłynął wiosłując jak demon.

Patrzono, jak żagiel „Królewny” ginie na horyzoncie, oddalając się w kierunku najbliższej wyspy na zachodzie. Ani Birta, ani Palani nie widziano więcej na Wyspie Saltins.

Mieszkańcy miasteczka myśleli, że nigdy nie przestanie się mówić o tym, jak bratanek Goody Guld – Birt postradał zmysły i odpłynął z nauczycielką tego samego dnia, kiedy wędrowny kupiec Czarnobrody zaginął bez śladu, pozostawiając po sobie wszystkie swoje piorka i paciorki. W trzy dni później jednak przestał o tym rozprawiać. Mieli inne tematy do rozmów, kiedy Pan Podgórny w końcu wyszedł ze swej jaskini.

Pan Podgórny doszedł do wniosku, że skoro jego prawdziwe nazwisko nie jest już otoczone tajemnicą, może równie dobrze zrezygnować ze swego przebrania. Chodzenie było przecież znacznie trudniejsze od lalania, a poza tym od bardzo, bardzo dawna nie jadł prawdziwego dania.

Królestwo cieni

(*The Shadow Kingdom*)

Robert E. Howard



1. Nadjeżdża król

Głos trąb narastał jak fala przypyły, jak szum przyboju uderzającego o białe plaże Valuzji. Tłum wznosił okrzyki, kobiety rzucały kwiaty, a stukot srebrnych podków zbliżał się i pierwsze szeregi wojska ukazały się na szerokiej, jasnej ulicy, okrążającej strzelistą Wieżę Chwały.

Z przodu jechali trebarczycy, smukli młodzieńcy w szkarłacie, trąbiąc w długie, złote fanfary. Po nich łucznicy, wysocy ludzie z gor, za tymi zaś ciężkozbrojna piechota – szerokie tarcze dzwyczały unisono, wólczyście kołysały się w równym rytmie. Dalej jechali najlepsi żołnierze tego świata – konni Czerwoni Zaboicy, od hełmów po ostrogi odziani w czerwień. Spoglądali dumnie z grzbietów swych rumaków, a choć dobrze słyszeli entuzjastyczne ryki tłumu, żaden nie spojrzał w bok. Byli jak posągi z brązu, ani na moment nie zalał ich szary las wólczy nad ich głowami.

Z tyłu, za tym dumnym, strasznym w walce rycerstwem szły pstrymi gromadami oddziały najemników, dzikich wojowników z Mu i Kaa-u, ze wschodnich gor i z zachodnich wysp, zbrojnych we włócznie i szerokie, ciężkie miecze. Zwartą grupą, nieco z boku, szli łucznicy z Lemurii. Na końcu lekka piechota i znowu trebarczycy.

Wspaniały widok, wywołujący dreszcz rozkoszy w sercu Kulla, władcy Valuzji. Nie na Tronie Topazów przed królewską Wieżą Chwały siedział ten władca, lecz w siodle, na grzbiecie potężnego ogiera – prawdziwie rycersku król. Unosił swe silne ramie, odpowiadając na pozdrowienia przejeżdżających pułków. Przelotnym spojrzeniem obdarzył trebarczy, dłużej przyglądał się piechocie. Jego oczy rozjarzyły się, gdy Czerwoni Zaboicy oddawali mu salut, zwestyli się, gdy przechodzili najemnicy. Ci nie pozdrawiali nikogo. Szli dumnie, patrząc na króla śmiało, choć z szacunkiem. Kull odpowiedział im takim samym spojrzeniem. Cenił dzielnych, a w całym świecie nie było dzielniejszych niż oni, nawet wśród dzikich plemion, które teraz nim pogardzały. Zbyt wiele jednak pozostało w nim z barbarzyńcy, by mógł polączyć go z tymi ludźmi choćby cien przyjaźni. Zbyt wielu miał wśród nich wrogów, odwiecznych nieprzyjaciół jego narodu. Choć imię Kulla było teraz przekleństwem wśród gor i dolin jego własnego ludu i choć Kull usunął z serca wspomnienie o swym pochodzeniu, zadawanie urazy i wasnie wciąż żyły. Bowiem Kull nie był Valuzjaninem – był Atlantem.

Wojska skryły się za skrzydłem Wieży Chwały, a Kull zawrócił swego ogiera i lekkim klusem ruszył do pałacu. Po drodze omawiał defiladę z towarzyszącymi mu dowódcami. Mówił mało, lecz jego słowa znaczyły wiele.

– Armia jest jak miecz – powiedział. – Nie można pozwolić, by okrył się rdzą.

Kull nie zwracał uwagi na szept, dobiegający z wciąż kłębzącego się po ulicy tłumu.

– To Kull widzi? Co za władca! Co za mężczyzna! Spojrz na jego ramiona! A jakie muskuły!

I cichsze, lecz groźniejsze pomruki:

– Kull! Przeklęty uzurpator z pogańskich wysp!

– Tak. To hanba dla Valuzji, ten barbarzyńca na tronie...

Kull nie reagował. Twardą ręką zagarnął chylące się u upadkowi królestwo, jeszcze twardszą utrzymywał je, człowiek przeciw narodowi.

W pałacu spędził nieco czasu w sali przyjęć, gdzie, starannie kryjąc znużenie, odpowiadał na konwencjonalne pochlebstwa książąt i dam. Potem, kiedy panowie i damy odeszli, rozparł się na obitym gronostajowym futrem tronie i zamyslił nad sprawami państwa. Przerwał mu ktoś ze służby, anonsujący, po otrzymaniu pozwolenia na zabranie głosu w obecności króla, przybycie posłańca z ambasady Piktów. Kull z wysiłkiem oderwał się od splecionych labiryntów valuzjańskiej racji stanu i spojrzał na Piktów bez sympatii. Był to wojownik o szerokich ramionach, średniego wzrostu, o charakterystycznej dla całej jego rasy ciemnej cerze. Z nieruchomej twarzy spoglądały na króla nieprzeniknione, ciemne oczy.

– Wódz Rady, Ka-nu, prawa ręka króla Piktów, śle ci pozdrowienie i wiadomość: przy uczcie pod księżycem jest miejsce dla Kulla, króla królów, pana panów, imperatora Valuzji.

– Dobrze – odrzekł Kull. – Powiedz Ka-nu Sedziwemu, ambasadorowi zachodnich wysp, że władca Valuzji napije się wina przy jego stole, gdy tylko księżyc wstanie nad wzgórzami Zalgary. Pikt jednak zwlekał z odejściem.

– Mam wiadomość od króla, a nie – tu wzgardliwie machnął ręką – dla tych niewolników.

Kull odprawiał służbę i uważnie spojrzał na posłańca. Ten podszedł bliżej i zniżył głos.

– Przyjdź sam na ucztę, o panie. Taka jest wiadomość od mego wódcy.

Oczy króla zaśniły blaskiem zimnym, jak stał miecza.

Sam?

– Tak.

Patrzeli na siebie w milczeniu, pod płaszczykiem etykiety kiplala wzajemna plemienna nienawiść. Wypowiadali gładkie frazy, konwencjonalne, dworskie zwroty cywilizowanej rasy, która nie była ich rasą, lecz w oczach lśniła dawna, żywiołowa dzikość. Kull mógł być władcą Valuzji, Pikt mógł być posłem na jego dwór, lecz w sali przyjęć spotkali się dwaj barbarzyńcy, słyszający w uszach szept upiórów dawnych wojen, nienawiści starej jak sam świat.

Przewaga była po stronie króla i rozkoszował się nią w całej pełni. Z głową wspartą na dłoni przyglądał się stojącemu jak posąg posłowi. Po chwili uśmiechnął się drwiąco.

– A więc mam przyjść... sam? – cywilizacja nauczyła go tonu, na dźwięk którego oczy Piktów błysnęły groźnie. Nic jednak nie odrzekł. – A skądże mam mieć pewność, że istotnie przysyła cię Ka-nu?

– Powiedziałem – zabrzmiała ponuro odpowiedź.

– A odkąd do Piktów mówią prawdę? – Kull wiedział doskonale, że Piktowie nigdy nie kłamią, lecz chciał zirytować rozmówcę.

– Wiem, co zamierzasz, panie – odparł posel, niewzruszony. – Chcesz, bym się rozniewał. Na Valke, nie musisz próbować dalej. Jestem wystarczająco zły. Wyzwam cię na boj, z włócznią, mieczem lub sztyltem, pieszo lub konno. Królem jesteś, czy mężczyzną?

Kull spojrzał z podziwem, jaki każdy wojownik musi odczuwać dla odwagi, nawet u wroga. Nie przepuścił jednak okazji, by jeszcze mocniej zdenerwować Piktów.

– Król nie przyjmie wyzwania od bezimiennego dzikusa – rzekł drwiąco. – Ani też nie naruszy nieetykalności posła. Możesz odejść. Powiedz Ka-nu, że przybędę sam.

Oczy Piktów zabłyśły morderczym blaskiem. Drżał cały od pierwotnej żądzy krwi. Jednakże bez słowa odwrócił się i przeszedł przez salę przyjęć, by zniknąć za ogromnymi drzwiami.

Kull zamyslił się. Wódz Rady Piktów pragnął, by przybył sam. Ale dlaczego? Czyżby spisek? Kull dotknął rekojesci długiego miecza. Lecz nie, Piktowie zbyt sobie cenili przymierze z Valuzją, by je zrywać dla jakiegś zadawnionego urazu. Kull mógł być wojownikiem z Atlantydy, odwiecznym wrogiem wszystkich Piktów, lecz był również władcą Valuzji, najpotężniejszym sojusznikiem Ludzi Zachodu.

Długo myślał nad dziwnym biegiem zdarzeń, który uczynił z niego wroga dawnych przyjaciół i sprzymierzeńców dawnych wrogów. Wstał i miarowym krokiem zaczął przechadzać się po sali. By zaspokoić swe ambicje zerwał wiezy przyjaźni, rodu, tradycji. I, na Valke, boga morza i ładu, zaspokoił je. Był królem Valuzji – Valuzji zdegenerowanej, Valuzji chylącej się ku upadkowi, Valuzji żyjącej tylko wspomnieniami dawnej chwały – a jednak ciągle potężnej, najpotężniejszej z Siedmiu Imperiów. Valuzja – Kraina Śnow, tak ją nazywano w jego plemieniu i często zdawało mu się, że naprawdę żyje we śnie. Zdumiewały go dworskie intrzygi i pałace, armia i lud. To było jak maskarada, kiedy prawdziwa oblicza skrywają się pod uśmiechniętymi maskami. A przecież tak łatwo było zdobyć tron – wystarczyło śmiało skorzystać z okazji. Potem tylko świst miecza, upragniona przez wszystkich śmierć tyrana, umiejętne rozmowy z ambitymami, a pozbawionymi łask u dworu politykami – i Kull, wedrowy awanturnik, wygnaniec z Atlantydy, wspiął się na niebotyczną wysokość – był władcą Valuzji, królem królów. Dopiero teraz wyraźnie wiedział, że o wiele trudniej jest utrzymać tę władzę, niż ją zdobyć. I znowu odczuł dziwny niepokój. Kim właściwie jest on, prostak z gor, by rządzić rasą, posiadającą niezwykłą, straszliwą wiedzę odwiecznych tajemnic? Prastara rasa...

– Jestem Kull! – powiedział, butnie wznosząc głowę. – Kull! – Obiegi wzrokiem salę i pewność siebie opuszczała go. A w ciemnym kącie obicie na ścianie poruszyło się – minimalnie.

2. I przemówiły milczące dworce Valuzji

Księżyc nie wszedł jeszcze i ogród oświetlały tylko płonące w srebrnych uchwyłach pochodnie, kiedy Kull zajął miejsce przy stole Ka-nu, ambasadora zachodnich wysp. Sedziwy Pikt siedział po jego prawicy, zupełnie niepodobny do posła owej dzikiej rasy. Ka-nu był przebiegłym dyplomata, zestarzał się wśród politycznych rozgrywek; żadna pierwotna nienawiść, żadne plemiennie tradycje nie wpływały na jego sąd. Lata całe obcując z przedstawicielami bardziej cywilizowanych narodów, nauczył się zrywać sieci przesądów. To nie „Kim i czym jest ten człowiek?” było pytaniem, które zajmowało jego umysł, lecz „Czy, i jak, można go wykorzystać?”. Tylko dla realizacji własnych planów używał starych, plemiennych uwarunkowań.

Kull krótko odpowiadał na grzecznościowe pytania Ka-nu, zaskanawiając się, czy kiedyś stanie się taki sam, jak stary Pikt. Ka-nu był tłusty i zniewieściały, wiele lat minęło od chwili, gdy ostatni raz trzymał w ręku miecz. Był stary, to prawda, lecz widział wielu starszych od niego, walczących w pierwszym szeregu. Piktowie byli długowieczną rasą.

Za plecami Ka-nu stała dziewczyna niezwyklej urody, która napelniała jego puchar. Trzeba przyznać, że nie miała czasu na odpoczynek. Przy tym Ka-nu jak z rekawa sypał żartami i anegdotami, a Kull, pogardzając w duchu nadmierną gadatliwością, nie przepuszczał ani jednego słowa z jego ciętych dowcipów.

W uczcie uczestniczyli także inni wodzowie i politycy Piktów. Ci ostatni zachowywali się z niewymuszoną swobodą, podczas gdy żołnierze, na pozór uprzejmi, wyraźnie tłumili w sobie stare urazy. Mimo to Kull z zazdrością obserwował panujące tu obyczaje, tak różne od obowiązujących na dworach Valuzji. Taka swoboda królowała w prymitywnych obozowiskach, na Atlantydzie... Kull wzruszył ramionami. No cóż, Ka-nu, który zdawał się zapominać, że jest Piktom, ma rację, a on, Kull, powinien nie tylko z nazwy stać się Valuzjaninem.

Kiedy wreszcie księżyc stanął w zenicie, Ka-nu, który zjadł i wypił więcej, niż którychkolwiek trzech gości razem wziętych, rozparł się na sofie i odetchnął z ulgą.

- Teraz odejdźcie, przyjaciele - powiedział. - Król i ja mamy do omówienia sprawę, o których dzieci wiedzieć nie powinny. Tak, tak, ty też odejdziesz, moja piękna, niech tylko ucałuje twe słodkie usteczka... o, właśnie, a teraz zmykaj, mój pączku rozy.

Ka-nu znalazł swej siwej brody badawczo spoglądał na Kulla, który siedział sztywno, z ponurą miną.

- Tak więc sądzisz, Kullu - rzekł nagle stary polityk - że Ka-nu to bezmyślny, stary rozpustnik, który potrafi tylko złapać wino i całować dziewczki?

Kull drgnął z zaskoczenia. Ta uwaga dokładnie pokrywała się z tym, co myślał w tej chwili.

- Wino jest czerwone, kobiety delikatne, ale - ha! ha! - nie myśl, że stary Ka-nu pozwoli, żeby którakolwiek z tych rzeczy zaważyła na jego interesach.

Zarechotał głośno, aż zatrzęsł się jego wielki brzuch, a Kull poruszył się niespokojnie. To wyglądało na zabawę i oczy króla zaczęły rzuć groźne błyski.

Ambasador slegnął po dzban, napelnił swój kielich i pytająco spojrzął na gościa. Ten pokreślił przecząco głową.

- No cóż - stwierdził nie spieszony Ka-nu - trudno starej głowie wytrzymać mocne trunki. Starzeje się, Kullu, czemuż więc miałbym zostawić młodemu te nieliczne przyjemności, które my, staruszkowie, możemy jeszcze znaleźć? Tak, tak, robie się stary, zmęczony, opuszczony i smutny.

Jego wygląd przeczył tym słowom. Rumiana twarz aż isniła, oczy błyszczały tak, że siwa broda wyglądała nieco nieśmiało. Rzeczywiście świetnie wyglądał, pomyślał Kull, czując się trochę urażony. Ten stary lajdak zatracił wszystkie pierwotne cechy swojej - i Kulla - rasy, a mimo to miał starość przyjemniejszą, niż którąkolwiek inną.

- Posłuchaj zatem - powiedział w końcu Ka-nu, unosząc znacząco palec. - Ryzykowna to rzecz, wychwalać młodzieńca w jego obecności. Muszę ci jednak powiedzieć, co naprawdę o tobie myślę. Inaczej nie zdobędę twojego zaufania.

- Jeżeli chcesz je zyskać pochlebstwem, to...

- Spokojnie. Kto mówi o pochlebstwach? Pochlebiam tym, których chce zmylić.

Oczy Ka-nu zabłyśły chłodnym blaskiem, nie pasującym do kpiącego uśmiechu. Stary lis znał ludzi i wiedział, że jeśli chce osiągnąć swój cel, musi z tym barbarzyńskim tygrysem postępować otwarcie. Tamten bowiem jak wilk, wietrzący pułapkę, natychmiast wyczuje każdy fałsz, skryty w popłatanej pajęczynie słów.

- Masz dość siły - powiedział, dobierając słowa ze starannością większą nawet, niż w czasie posiedzeń Rady - by stać się najpotężniejszym z królów, by odbudować - przynajmniej częściowo - dawną potęgę Valuzji. Tak jest. Valuzja mnie nie interesuje, choć wino i kobiety są tu wspaniałe, a jeżeli, to tylko dlatego, że im jest silniejsza, tym jest silniejszy naród Piktów. Więcej nawet, z Allantem na tronie może zjednoczyć nawet Atlantydę...

Kull zaśmiał się gorzko. Ka-nu dotknął starej rany.

- Atlantyda przekleła moje imię, kiedy wyruszyłem po sławę i szczęście do miast tego świata. My... oni są odwiecznymi wrogami Siedmiu Imperiów, a jeszcze bardziej sojuszników Imperiów. Sam powinienś o tym wiedzieć.

Ka-nu poglądał brodę z tajemniczym uśmiechem.

- Zostawmy to. Ale wiem, co mówię. Każda wojna wygasa, kiedy nie przynosi korzyści. Widzę przed nami erę pokoju i dobrobytu, ludzi kochających swych bliznich, zwycięstwo dobra nad złem.

Ty możesz to wszystko zrealizować... Jeżeli będziesz żył.

- Ha! Kull chwycił rekojęcie miecza i wstał z tak oszalamiającą szybkością, że Ka-nu, oceniający ludzi tak, jak niektórzy taksują konie, poczuł przyspieszone bicie serca. Valko, cóż to za wojownik! Nerwy i ściegna ze stały, doskonała koordynacja ruchów, instynkt walki - wszystko to, co czyni wojownika strasznym w boju.

Zadna z tych myśli nie uzewnętrzniała się w chłodnym, pełnym sarkazmu tonie Ka-nu.

Spokojnie. Usiadł i popatrzył dookoła siebie. Ogrody są puste. Przy stole nie ma nikogo, prócz nas. Chyba nie boisz się mnie?

Kull usiadł, rozglądając się badawczo.

- Odezwał się w tobie dzikus - stwierdził polityk. - Pomyśl, gdybym naprawdę coś zamierzał, to czy wybrałbym miejsce, gdzie wszystkie podejrzenia muszą paść na mnie? Ech, wy młodzi, wiele jeszcze musicie się uczyć. Siedzieli tu moi dowódcy i czuli się źle, jako że ty przyszedłeś na świat posród wzgórz Atlantydę. Ty z kolei pogardzasz mną, ponieważ jestem Piktom. A ja widzę w tobie Kulla - władcę Valuzji, a nie Kulla - lekkomyślnego Atlantydy, wodza najeźdźców, którzy kiedyś spustoszyli zachodnie wyspy. Ty też powinienes zrozumieć, że jestem człowiekiem bez nacji, obywatelem świata. A wracając do rzeczy - gdybyś zginął jutro, kto zostałby królem?

- Kaanub, baron Blaal.

- No tak. Mam wiele zastrzeżeń do jego osoby, a najważniejsze z nich to to, że jest tylko marionetką w cudzych rękach.

- Jak to? Był najbardziej liczącym się z moich przeciwników i nigdy nie przypuszczałem, że reprezentuje jakiekolwiek interesy, prócz swoich własnych.

- Noc słyszysz - odparł Ka-nu, na pozór bez związku. - Istnieją światy we wnętrzu tego świata. Mnie jednak możesz zaufać, możesz zaufać również Brule Włocznikowi. Spójrz.

Na jego wyciągniętej dłoni leżała bransoleta w kształcie trzykrotnie zwiniętego, skrzydlatego smoka, z trzema rubinowymi rogami na głowie.

- Przyjrzyj się jej dokładnie. Kiedy Brule przyjdzie do ciebie jutro nocą, będzie miał tę bransoletę na ramieniu. Po tym go poznasz. Ufaj mu, jak ufasz sobie samemu. Uczyni wszystko, co ci powie. A na dowód zaufania - patrz!

Z błyskawiczną szybkością wyciągnął spod rękawy swój szaty coś, co rozbłysło magicznym, zielonkawym blaskiem i co natychmiast schował z powrotem.

- Skradziony skarb! - zawołał zdumiony Kull. - Zielony klejnot ze Świątyni Weża. Na Valkę! A więc to ty! Ale dlaczego mi go pokazujesz?

- Żeby uratować ci życie. Żebyś mógł mi zaufać. Jeżeli zawiodę to zaufanie, zrobisz co zechcesz. Moje życie jest w twoich rękach. Teraz nie mogę cię już oszukać, gdyż jedno twoje słowo będzie dla mnie wyrokiem śmierci.

Mimo tych słów stary lis promieniował samozadowoleniem, najwyraźniej bardzo z siebie dumny.

- Ale dlaczego oddajesz się w moje ręce? - Kull był z każdą chwilą bardziej zdumiony.

- Już powiedziałem. Teraz widzisz, że jestem z tobą uczciwy. A jutro w nocy, kiedy Brule przyjdzie do palacu, postąpisz zgodnie z jego radą, nie obawiając się zdrady. Dość na tym. Panie, eskorta czeka u bramy, by odprowadzić cię do palacu.

Kull wstał.

Przecież właściwie nic mi nie powiedziałeś.

Och, jakże niecierpliwi są młodzi! Ka-nu bardziej niż kiedykolwiek przypominał grubego, rubasznego elfa. - Idź już, śnij o tronach, armiach i królestwach, a ja będę śnił o winie, kobietach i rozrachunkach. Niech szczęście ci sprzyja, królu.

Wychodząc z ogrodów Kull obejrzał się raz jeszcze. Ka-nu, rozparty wygodnie na sofie, promieniował życzliwą jowialnością.

Konny wojownik oczekiwał go już przy wyjściu. Kull zdziwił się nieco zobaczywszy, że to ten sam, który przyniósł mu zaproszenie na ucztę. Nie zamienili ani słowa, kiedy wskakiwał na siodło, ani później, gdy jechali przez puste ulice.

Barwy i hałasy dnia ustąpiły miejsca tajemniczej ciszy nocy. W srebrnym świetle księżyca bardziej, niż kiedykolwiek wyczuwało się wiek miasta. Potężne kolumny w rezydencjach i pałacach sięgały gwiazd. Schody, ciche i puste, wznosiły się coraz wyżej, by zniknąć wśród cieni sfer niebieskich. Schody do gwiazd, pomyślał Kull. Tajemny splendor tej sceny silnie pobudzał jego wyobraźnię.

Klik! Klik! Klik! Srebrne podkowy dzwoniły na zalanych księżycowym światłem ulicach. Poza tym panowała absolutna cisza. Niewyobrażalny wiek miasta przyniósł. Kull niemal słyszał, jak potężne, ciche budynki śmieją się z niego bezgłośnie, drwiąco. Jakie tajemnice skrywały?

Młody jesteś – mówiły pałace, kaplice, świątynie a my stare. Młody był świat, kiedy nas budowali. Przeminięsz ty i twoje plemie, a my będziemy trwać, niezniszczalne, niepokonane. Stałyśmy nad dziwnym światem, zanim Atlantyda i Lemuria wynurzyły się z oceanu. Będziemy trwać, gdy zielone fale wielomilową warstwą pokryją wieżycę Lemurii i wzgórza Atlantydy, a wyspy Ludzi Zachodu staną się gorami na tajemniczym lądzie. Wielu władców przejeżdżało tędy w czasie, gdy Kull z Atlantydy był tylko snem w duszy Ka, Płaka Tworzenia. Jedź, Kullu z Atlantydy, wieksi przyjdą po tobie, wieksi byli przed tobą. Teraz zapomnieli, są tylko prochem – my stoimy, trwamy, wiemy... Jedź, jedź, Kullu z Atlantydy. Kullu głupiec!

Kullowi zdawało się, że podkowy jego wierzchowca podjęły ten niemy refren i w ciszy nocy wybijają głuchy, drwiący rytm. Kull władał, Kull głu pieć!

Świeć, księżycu, oświetlasz królewską drogę! Lśnijcie, gwiazdy, pochodnie na szlaku imperatora! Dzwoncie, podkowy, to Kull jedzie przez Valuzję

Hej, zbudź się Valuzjo! To jedzie Kull, twój władca! – Tak wielu już widzieliśmy – odezwały się milczące dworce Valuzji

Wreszcie Kull przybył do pałacu i jego gwardia – żołnierze z Czerwonych Zabójców wybiegli, by schwycić wodze jego rumaka i odprowadzić króla na spoczynek. Pikt, wciąż bez słowa, szarpnął cugłami, zwracając w miejscu swego wierzchowca i jak widmo znikł w ciemnościach. Wyobraznia Kulla ukazała mu Piktą, jak cwałuje przez ciche ulice, niby duch z Dawnego Świata.

Nie spał tej nocy. Świt już nadchodził, a on spacerował po sali tronowej, myśląc o wszystkim, co się zdarzyło. Ka-nu nie powiedział nic, a jednak całkowicie oddał się w jego ręce. Co miał na myśli mówiąc, że baron Białal jest tylko marionetką? Kim był ten Brule, który miał przybyć nocą z tajemniczą bransoletą w kształcie smoka? A przede wszystkim dlaczego Ka-nu pokazał mu zielony klejnot grozy, wielki lat temu skradziony ze Świątyni Weża? Wojny ogarnęłyby świat, gdyby dowiedzieli się o tym tajemniczy i straszni kapłani tej świątyni. Przed ich zemstą nie ochroniliby Ka-nu nawet jego waleczni współplemięcy. Ale on wiedział, że jest bezpieczny, zreflektował się Kull. Był zbyt dobrym dyplomatą, by bez powodu wystawiać się na ryzyko. A może wszystko to tylko pretekst, by odsunąć króla od gwardii i otworzyć drogę dla spisku? Czy teraz Ka-nu osmieleł się pozostawić go przy życiu? Kull wzruszył ramionami

3. Ci, którzy przychodzą nocą

Księżyc nie wstał jeszcze kiedy Kull, z dłonią na rekojeści miecza, wyjrzał przez okno. Wychodziło na wewnętrzny, pałacowy ogród, którego ścieżki i alejki stały teraz puste, a starannie przycięte drzewa zmieniły się w niewyraźne cienie. Z pobliskich fontann tryskały srebrne strumyczki, lśniące w świetle gwiazd, z dalszych dobiegało ciche szemranie. Żadni strażnicy nie pilnowali ogrodu. Leżał on tak blisko pilnie strzeżonych murów, że wydawało się nieprawdopodobieństwem, by jakiś intruz mógł wtargnąć aż tutaj

Po ścianach pałacu pięły się winorośle. Kull myślał właśnie, jak łatwo można by się po nich dostać na górę, gdy jakiś cien wynurzył się z ciemności pod oknem i nagie, brązowe ramie sięgnęło za parapet. Długi miecz króla błysnął, wstrzymany w połowie drogi z pochwy – na muskularnym przedramieniu lśniła bransoleta w kształcie smoka, którą Ka-nu pokazywał mu zeszłej nocy

Właściciel ramienia ze zwinnością leoparda wsłiznął się po parapecie do komnaty

– Ty jesteś Brule? – spytał Kull i zamrł zdumiony, czując przypływ irytacji i podejrzliwości. Intruz bowiem był tym, którego wykpił w sali przyjęć, tym samym, który eskortował go w drodze z ambasady Piktów.

– Jestem Brule Włocznik – odparł ostrożnie. Potem spojrzał z bliska w twarz Kulla i szepnął:

– Ka nama kaa lajerama!

Kull zdziwił się.

Co to znaczy?

Czyżbyś nie wiedział?

Nie, słowa są obce, nie pochodzą z żadnego znanego mi języka. A jednak, na Valke... Gdzieś musiałem je słyszeć...

Zgadza się – to był jedyny komentarz. Pikt rozejrzał się po komnacie, pałacowym pokoju studiów. Była pusta, poza kilkoma stolami, sofą i dwiema wielkimi szafami, pełnymi pisanych na pergaminie ksiąg. W porównaniu z przepychem pozostałych komnat pałacu, ta wydawała się naga.

Powiedz, panie, kto strzeże drzwi?

Osiemnastu Czerwonych Zabójców. Ale jak tu wszedłeś, jak przedostałeś się przez ogrody, jak wdrapałeś się na mur?

Brule uśmiechnął się drwiąco.

– Wartownicy w Valuzji są jak ślepe bawoły, mogłbym im porwać dziewczętą sprzed samych nosów. Przeszedłem między nimi, a oni nie widzieli mnie, ani nie słyszeli. A mury... wszedłbym na nie i bez pomocy winorośli. Ściągałem tygrysy na wybrzeżach, gdzie wschodni wiatr przywiewa z morza mgłę. Wspinalem się na gorskie urwiska na zachodnich wyspach. Lecz chodźmy... nie, dotknij wpierw tej bransolety.

Wyciągnął reke, a gdy zdziwiony Kull wykonał polecenie, odcichnął z wyraźną ulgą.

Dobrze. A teraz zrzuć te królewskie szaty. Tej nocy czekają ci czyny, o jakich nie marzył nawet żaden z Allantów

Sam Brule miał tylko wąską przepaskę na biodrach, za nią zakłnął krotki, zakrzywiony miecz.

– Kim jesteś, że chcesz mi rozkazywać? – spytał Kull urazonym tonem.

– Czyż Ka-nu nie prosił cie, żebys mnie słuchał? – spytał zirykowany Pikt. – Wiedz, panie, że nie czuję do ciebie przyjaźni, ale na razie odsunąłem myśl o walce. Lepiej, byś uczynił to samo. A teraz chodźmy.

Bez najmniejszego dźwięku podeszli do drzwi. Niewielki otwór pozwalał wyjrzec na zewnątrz korytarza tak, że patrzący sam nie był widziany. Brule gestem wezwał Kulla do spojrzenia.

– Co widzisz?

Nic. Tylko osiemnastu gwardzistów.

Pikt skinął głową i pociągnął Kulla za sobą. Zatrzymał się przy przeciwległej ścianie i przez chwilę manipulował przy boazerii. Potem cofnął się, jednocześnie wyciągając miecz. Król sapnął zdumiony, gdy część ściany odsunęła się, odsłaniając słabo oświetlony korytarzyk

– Sekretne przejście! – powiedział cicho. – A ja nic nie wiedziałem. O, Valko, kłóś za to zapłaci

– Ciszej! – syknął Brule. Stał nieruchomy, każdym nerwem łowiąc najłżejszy bodaj szelest. W jego postawie było coś, co sprawiło, że Kullowi włosy zjeżyły się na głowie. Nie ze strachu, a raczej z powodu jakiegoś niejasnego, ponurego przeczucia.

Wreszcie Brule kiwnął głową i przeszedł przez tajemne drzwi, pozostawiając je otwarte. Korytarz był pusty, lecz nie było w nim odrobiny kurzu, co świadczyło, że nie jest on zapomnianym, od dawna nieużywanym przejściem. Źródło słabego światła pozostawało niewidoczne. W ścianie co kilka stop były drzwi, zapewne z zewnątrz dokładnie ukryte, lecz od środka aż nazbyt widoczne.

– Ten pałac jest jak plaster miodu – mruknął Kull.

– Tak. Wiele oczu obserwuje cie dniem i nocą, panie.

Pikt szedł powoli, uważnie stawiając stopy. Miecz trzymał nisko, wysunięty do przodu. Stałe rzucał na wszystkie strony niespokojne spojrzenia.

Korytarz skręcał ostro i Brule ostrożnie wychylił się zza węgła.

– Patrz – szepnął. – Ale pamiętaj: ani słowa, ani dźwięku! Chodzi o życie.

Kull spojrzał. Zaraz za zakretem zaczynały się prowadzące w dół schody. Spojrzał tam i zadrzał. U stóp schodów leżało osiemnastu Czerwonych Zabójców, wyznaczonych do pilnowania tej nocy królewskich komnat. Tylko silna dłoń Brule'a i jego nerwowy szepł powstrzymały Kulla przed zbiegnięciem w dół

– Cicho! Cicho, w imię Valki – syknął Pikt. – Korytarze są teraz puste, ale wiele ryzykowałem, żeby ci je pokazać. Teraz uwierzysz w to, co ci powiem. Wracajmy do pokoju studiów.

Zawrócił, a oszołomiony, niczego nie rozumiejący Kull podążył za nim

– To zdrada – mruzczał do siebie. – Ohydny spisek, i to szybki. Ledwie kilka minut temu ci ludzie stali na warcie.

W pokoju studiów Brule starannie zamknął tajemne przejście, po czym kiwnął na króla, by ten ponownie wyjrzał przez otwór w drzwiach. Kull zrobił to i westchnął zdumiony, przed drzwiami stało osiemnastu gwardzistów!

– To czary – szepnął, sięgając do miecza. – Czy to umarli strzegą władcy?

– Tak – napłynęła ledwie słyszalna odpowiedź Pikta. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Kull zmarszczył czoło, usiłując odczytać coś z jego twarzy. W koncu wargi Brule'a bezgłośnie uformowały słowa:

– Waz... który... potrafi... mówić...

– Cicho – dłoń Kulla zakryła mu usta. – To śmierć mówić coś takiego. Te słowa są przeklecie

Pikt patrzył na niego spokojnie.

– Wyjrzij jeszcze raz, panie. Może była zmiana warty

– Nie, to ci sami ludzie. Na Valke, to czary, to szalenstwo. Na własne oczy widziałem ciała tych żołnierzy, chwila ledwo minęła. A jednak stoją tutaj

Brule odstąpił od drzwi

Kullu, co wiesz o tradycjach narodu, którym władasz?

Dużo... a jednak mało. Valuzja jest taka stara...

To prawda – oczy Brule'a zalsniły dziwnym blaskiem. – Jesteśmy barbarzyńcami, dziećmi wobec Siedmiu Imperiów. Ani ludzka pamięć, ani kroniki nie sięgają w przeszłość na tyle, by powiedzieć, kiedy pierwsi ludzie nadeszli z morza i wybudowali miasta nad brzegami. Wiedzą jednak – nie zawsze ludzie rządzili ludźmi.

Król drgnął. Ich spojrzenia spotkały się.

• Jest legenda wśród mego ludu...

Mojego także – przerwał Brule. – To się zdarzyło zanim my, ludzie z wysp, zawarliśmy sojusz z Valuzją, za panowania Lwiego Kła, siódmego wodza Piktów, tak wiele lat temu, że nikt dokładnie nie wie ile. Wyruszyliśmy z Wysp Zachodniego Słońca, przebyliśmy morze i mijając brzegi Atlantydy z ogniem i mieczem runęliśmy na wybrzeża Valuzji. Białe plaże rozbrzmiewały szczekaniem broni, noc była jasna jak dzień od płonących zamków. I król, król Valuzji, który padł na czerwony piach w owym mrocznym dniu... – jego głos ucichł i przez chwilę dwaj mężczyźni patrzyli na siebie bez słowa.

Prastara jest Valuzja – szepnął w końcu Kull. – Wzgórza Atlantydy i Mu były tylko wyspami wśród oceanu w czasach, kiedy Valuzja była młoda.

Nocny wiatr, przesiąknięty zapachem rzeczy zapomnianych, poruszył zasłonięty. Opowiadał, jak szeptał z przeszłości, o tajemnicach starych już wtedy, kiedy świat był młody. Kull poczuł się nagle jak dziecko wobec niezmierzonej wiedzy przeszłości. Oczywiście wyobraził sobie stojące obok upiory, szepczące mu do uszu rzeczy straszne. Wiedział, że Brule czuje to samo. Jego dusze wypełniło dawne poczucie jedności z tym wrogiem jego plemienia. Obaj byli jak dwa rywalizujące leopardy, które wpadły w pułapkę razem atakując myśliwych. Tak ci dwaj barbarzyńcy zjednoczyli się przeciw nieludzkim mocom starożytności.

Po chwili Brule znowu otworzył ukryte przejście. Cicho ruszyli korytarzem, tym razem w przeciwnym kierunku. Zatrzymali się i Pikt wskazał inne sekretne drzwi.

Ślad widac rzadko używane schody, prowadzące na korytarz, który biegnie obok pokoju studiów.

Wyżłuch przez skryty otwór i niemal dokładnie w tej chwili na schodach pojawiła się ciemna postać.

To Tu, przewodniczący rady koronnej – wykrzyknął Kull. – Noż ze sztyłem w dłoni... co to znaczy?

Morderstwo. Zamach – szepnął Brule. – Stój! – Kull już miał otworzyć drzwi i wyskoczyć na zewnątrz. – Jeśli spotkasz się z nim tutaj, jesteśmy zgubieni. Tam, w mroku, czeka ich więcej. Chodźmy.

Prawie biegnąc wrócili do pokoju studiów. Brule zamknął ukryte przejście i pociągnął Kulla do sąsiedniej, mało używanej komnaty. Tam rozsunął zasłony w rogu i obaj skryli się za nimi. Minuty ciągnęły się bez końca. Kull słyszał nawet szum wiatru w komnacie obok, brzmiały mu w uszach jak szeptał upiór. Wreszcie, skradając się, wszedł Tu, przewodniczący rady koronnej. Najwyraźniej przeszedł przez pokój studiów, a stwierdziwszy, że jest pusty, doszedł do wniosku, że jego ofiara znajduje się właśnie tutaj. Wszedł z uniesionym sztyłem i zatrzymał się, rozglądając po pustej na pozór komnacie, słabo oświetlonej pojedynczą świecą. Potem powoli ruszył dalej, wyraźnie nie pojmując nieobecności krowa. Stał przed ich kryjówką... i...

Teraz! – szepnął Brule.

Kull jednym skokiem wyskoczył z ukrycia. Tu odwrócił się, lecz szybkość ataku nie dała mu najmniejszej szansy obrony. Ostrze miecza zahłusnęło w słabym świetle i zgrzytnęło na kości. Tu runął na plecy, z mieczem Kulla sterczącym z piersi.

Kull pochylił się nad nim, obnażając zęby w triumfalnym uśmiechu. Wtem pusił miecz i cofnął się. Pociągnął na plecach dotknięcie śmierci. Bowiem twarz Tu stała się mglista i niewyraźna, jej kontury drżały i falowały. Potem, jak zrzucona maska, twarz znikła i na jej miejscu patrzyła martwymi oczyma głowa monstrualnego weza.

Valko! – jęknął Kull, czując zimny pol, zalewający mu czoło. – Valko! – powtórzył.

Podszedł Brule. Twarz miał nieruchomą, ale w oczach odbijało się przerażenie Kulla.

Zabierz swój miecz, panie – powiedział. – Wiele nas jeszcze czeka tej nocy.

Z wahaniem dotknął Kull rekojesci miecza. Pociągnął lodowaty dreszcz, kiedy stawiał stopę na piersi powalonego stwora. Gdy zaś, przez jakąś dziwną reakcję martwych mięśni strasznego pyska otworzył się szeroko, cofnął się z obrzydzeniem. Po chwili wszakże, zagniewany na siebie, wyrwał miecz i z bliska przyjrzał się bezimiennemu stworowi, którego znalazł jako Tu, przewodniczącemu rady koronnej. Poza głowę, ciało było dokładną kopią ludzkie-

– Człowiek z głową gada – mruknął. – A więc kapłan bogów weza.

– Tak. Prawdziwy Tu spi i o niczym nie wie. Te monstra mogą przybrać każdą postać. To znaczy, jakimś zaklęciem rozpinają przed twarzą zasłone czarów tak, jak aktor wkłada maskę. Mogą więc wyglądać, jak chcą.

Stare legendy jednak nie kłamią – westchnął król – Owe ponure opowieści, które niewielu tylko osmiela się powtarzać, by nie zginąć za bluźnierstwo, nie są czystą fantazją. Domyslałem się, spodziewałem się tego... ale ciągle myślę, że to niemożliwe. Ha! Wartownicy przy drzwiach...

– To także ludzie-weże. Stój! Co chcesz zrobić?

– Wyłuc ich – warknął Kull przez zęby.

– Uderzaj w głowę, jeśli już musisz – rzekł Brule. – Osiemnastu czeka pod drzwiami, zapewne znacznie więcej czai się w korytarzu. Ka-nu dowiedział się o spisku: Jego szpiegzy przeniknęli do kryjówek kapłanów Weza i przyniesli wieści. Dawno już Ka-nu odkrył sekretne przejścia w pałacu i z jego polecenia studiowałem plany, by ci pomóc. Inaczej zginąłbyś, jak zginęli inni królowie Valuzji. Przyszedłem sam, więcej ludzi wzbudziłoby podejrzanie. Wielu nie przekradłoby się do pałacu, jak ja. Cześć tego spryszczenia już widziałeś. Ludzie-weże strzegą twoich drzwi, a ten, jako Tu, mógł dotrzeć do każdego zakamarka pałacu. Raniem, jeżeli kapłani przegrają, prawdziwi gwardziści staną na swoich miejscach, niczego nie wiedząc, niczego nie pamiętając. Na nich też spadnie wina, jeśli kapłanom się uda. A teraz zostan tu chwilę, ja pojdę ukryć ciało.

Z tymi słowami Pikt spokojnie zarzucił sobie na ramię przerażający ciężar i znikł za ukrytymi drzwiami. Kull został sam. Myśli jak oszalałe wirowały mu w głowie. Człowiek-poleźnego Weza, iluż ich skrywa się w miastach? Ilu z zaufanych doradców, ilu z wiernych generałów było ludźmi? Jak odróżnić prawdę od fałszu? Komu można zaufać?

Sekretne drzwi otworzyły się i wszedł Brule.

– Szybko wróciłeś.

– Tak – wojownik postąpił krok do przodu, wpatrując się w podłogę. – Tu, na dywanie, jest plama krwi, spojrz.

Kull pochylił się. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, błysk stali. Wyprostował się jak spreżyna, jednocześnie wyprowadzając straszliwe pchnięcie z dołu. Pikt zawisł na ostrzu, wypuszczając własny miecz z martwej reki. Kull pomyślał z goryczą, że widac przeznaczeniem zdrajcy było zginąć od ciosu, tak często stosowanego przez ludzi jego rasy. Brule opadł na podłogę i w tej samej chwili kontury jego twarzy zaczęły falować i zacierać się, a gdy Kull, ze zjeźżonym włosiem, wstrzymał oddech, ludzkie rysy rozwały się, a na ich miejscu rozdziawiała paszczę głowa olbrzymiego weza, paciorkowate oczy nawet po śmierci wpatrywały się w niego z nieludzką złośliwością.

– Kapłan weza – szepnął król. – Valko, on jest straszliwy plan żeby zasłaniać mnie bez straży. A Ka-nu, czy on jest człowiekiem? Czy to z nim rozmawiałem w ogrodach? Wszchemocny Valko! – dreszcz przeszedł go od straszliwej myśli: czy ludzie w Valuzji to naprawdę ludzie, czy też wszyscy są wezami?

Stał nieruchomo nie wiedząc, co począć. Podświadomie zarejestrował znamienity fakt: przedmiot, zwany kiedyś Brule, nie nosił już smoczęj bransolety. Za plecami usłyszał jakiś szelest i odwrócił się.

Brule wchodził przez tajemne drzwi!

– Powstrzymaj się! – na ramieniu, wyciągniętym w górę, by zatrzymać cios uniesionego miecza lśniła bransoleta w kształcie smoka. – Valko! – Pikt przerwał. Po chwili wykrzywił wargi w posępnym uśmiechu.

– O, bogowie morza! Chytre są te demony. Musiało być tak, że ten tu ukrył się w korytarzu, a kiedy zobaczył, że niosę ciało tamtego, przybrał moją postać. Tak. A teraz tego także trzeba się pozbyć.

– Stój! – groźba zabrzmiała w głosie Kulla. – Na moich oczach dwóch ludzi zmieniło się w weże. Skąd mam wiedzieć, że ty na prawdę jesteś człowiekiem?

Brule zaśmiał się.

– Z dwóch powodów, panie. Żaden człowiek-wąż nie nosi tego – wskazał bransoletę. – Ani też nie zdola wymówić tych słów – i Kull znowu usłyszał to przedziwne zdanie – Ka nama kaa lajerama.

– Ka nama kaa lajerama – powtórzył mechanicznie. – Gdzie, na imię Valki, słyszałem te słowa? Nie, nigdy ich nie słyszałem. A przecież... przecież...

Tak, pamiętasz je, Kullu – powiedział Brule. – Skrywają się w mrocznych labiryntach twojej pamięci. Nie słyszałeś ich nigdy w tym życiu, jednak w stułeciach, które minęły, z tak straszną mocą odbiły się w twojej duszy, która nigdy nie umiera, że ich brzmienie zawsze będzie poruszać ukryte struny wspomnień, kiedy w kolejnych reinkarnacjach przeżyjesz nadchodzące eony. To zda-

nie bowiem, przekazywane potajemnie, dotarło do nas z czasów, gdy, nieprzeliczone wieki temu, było hasłem ludzkiego rodu, walczącego ze straszliwymi istotami Starego Wszechświata. Tyłko prawdziwy człowiek, z krwi i kości, może je wypowiedzieć, bo jego usta i krtań są inne niż u jakiegokolwiek stworzenia. Znaczenie zostało zapomniane, ale słowa przetrwały.

- To prawda - stwierdził Kull. Pamiętam te legendy. O Valko! przerwał nagle. Niespodziewanie, jakby za uchYLENIEM zakle-tych drzwi, niezmiernie mgliste głębie rozwarły się przed oczyma jego duszy. Spojrzał wstecz, przez bezmiary rozdzielające życie od życia, dostrzegając nierealne, widmowe kształty, oży- wiające martwe stulecia - ludzi w walce z monstrami, ludzi wy- zwalających planetę od straszliwej grozy. Na szarym, ciągle zmiennym tle poruszały się dziwne postacie z koszmarnego snu, fantazje zrodzone z szaleństwa i strachu; a człowiek, ten żart bogów, ślepy i głupi, z prochu zrodzony i obracający się w proch, kroczył długim, krwawym szlakiem swego przeznaczenia, nie znający przyczyn, okrutny, błądzący, jednak z płonąca w sercu iskrą świętego ognia... Kull, wstrząśnięty, przesunął dłoń po czole. Zawsze przerażały go te przelotne spojrzenia w otchłanie własnej pamięci.

- Oni odeszli - rzekł Brule, jakby czytając w jego myślach. - Kobiety-ptaki, harpie, ludzie-nietoperze, latające monstra, ludzie-wilki, demony, gobliny - wszyscy, z wyjątkiem takich stworzeń, jak to u naszych stóp i jeszcze kilku ludzi-wilków. Długa i stras- zna była ta wojna, całe stulecia minęły, nim pierwsi i z pierwszych ludzi, porzucający małąpę rodzi- nę, przekształcili się w rasę, pa- nującą dzisiaj nad światem. W końcu jednak ludzkość zwycięży- ła, tak dawno, że tylko niejasne opowieści przetrwały bezmiar czasu. Ludzie-węże byli ostatnimi, lecz i oni zostali pokonani i odepchnięci na pustynne ziemie, aby żyć tam wśród prawdzi- wych węży do dnia, kiedy, jak mówią mędrcy, ta straszna rasa zniknie całkowicie. A jednak powrócili, w maskach, gdy tylko ludzkie plemię osłabło i zapomniało o dawnych wojnach. Znowu rozgorzała straszliwa, tajemna walka. Między ludźmi Młodej Zie- mi czaiły się przerażające stwory Starej Planety, chronione przez swą wiedzę i sztukę, przyjmujące każdą formę, każdy kształt, dokonujące w sekrecie budzących grozę czynów. Nikt nie wie- dział, kto z ludzi jest prawdziwy, kto fałszywy. Człowiek nie mógł zaufać drugiemu człowiekowi. Ale ludzie znaleźli sposoby, by odróżnić prawdę od fałszu. Swym znakiem i sztandarem uczyni- li postać uskrzydłonego smoka, latającego dinozaura, najwięk- szego wroga węży. A słów, które ode mnie usłyszałeś, używali jako hasła i symbolu, bowiem jak już mówiłem, tylko prawdziwy człowiek może je wypowiedzieć. I ludzkość zatryumfowała. A jednak monstra powróciły po latach zapomnienia, gdyż człowiek ciągle przypomina małe plemię, że szybko zapomina o rzeczach, których nie ma stale przed oczyma. Przyszli jako kapłani, kiedy ludzie, wśród luksusu, zapomnieli o starych religiach. I tak lu- dzie-węże, pod maską nauczycieli nowej, prawdziwej wiary, stworzyli potężny kult Boga-Węża. Są tak potężni, że śmiercią grozi wspomnianie starych legend o ludziach-wężach, a wszyscy pochylają się przed Bogiem-Wężem w nowej postaci - ślepi głu- pcy, nie widzą związku między jego mocą, a mocą, którą ich przodkowie zgnetli w poprzednich epokach. Jako kapłani, lu- dzie-węże mają wielką władzę, a jednak...

Kull zadrżał.

- Mów dalej.

- Królowie władali Valuzją jako ludzie - szepnął Pikt. - A prze- cież, zabici w boju, umierali jako węże - tak zginął ten, który padł

od wloczni Lwiego Kła kiedy my, z wysp, pustoszyliśmy Śledem Imperiów. A jak to się mogło zdarzyć? Ci władcy rozdali się z kobiet i żyli jak ludzie! To proste - prawdziwi królowie ginęli w tajemnicy - jak ty miałeś zginać dzisiejszej nocy - a kapłani Węża rządzili na ich miejscu. I nikt o tym nie wiedział. Kull zaklął przez zęby.

- To prawda, tak musiało być. Nie istnieje człowiek, który wi- działby Węża i pozostał przy życiu, to od dawna wiadomo. Do- brze pilnują swoich tajemnic.

Dyplomacja w Siedmiu Imperiach jest trudną sztuką - rzekł Brule. - Prawdziwi ludzie wiedzą, że między nimi skrywają się szpiegowie Węża i jego sojusznicy - tacy jak Kaanub, baron Baal. A przecież nikt nie śmie odkryć swoich podejrzeń, by nie paść ofia- rą zemsty. Ludzie nie ufają sobie, a dyplomaci nie mówią między sobą o tym, o czym wszyscy myślą. Gdyby mogli być pewni, gdy- by został przez nimi zdemaskowany choć jeden człowiek-wąż, choć jedna ich intryga, ich moc byłaby w połowie złamana. Wie- dy bowiem ludzie, zjednoczeni, usunęliby spomedzy siebie zdrajców. Jednak jak dotąd tylko Ka-nu ma dość wiedzy i odwagi, by walczyć z kapłanami. A nawet on wiedział o spisku tylko tyle, że mógł mi powiedzieć, co się stanie - co już się stało. Na tę chwilę byłem przygotowany. Od teraz musimy ufać swojemu szczęściu i przebiegłości. Sądzę, że na razie jesteśmy bezpieczni. Ludzie- węże spod drzwi nie zejda z posterunku, bo prawdziwi mogliby zjawić się niespodzianie. Lecz możesz być pewien, jutro znowu spróbują. Czego - tego nie wie nikt, nawet Ka-nu. Lecz musimy stać obok siebie, Kullu, aż zwyciężymy, albo zginiemy oboj. A teraz chodź ze mną, zaniosę to scierwo tam, gdzie poprzednie. Ruszyli razem mrocznym korytarzem. Ich stopy nie czyniły najl- żejszego szmeru, przyuczone w lesnej dżicy stąpać bezgłośnie. Szli jak duchy, skapani w widmowym świetle. Kull wciąż zasta- nawiał się, dlaczego korytarz jest pusty. Za każdym zakretem oczekiwał zasadzki. Znowu napłynęły podejrzenia: czy ten Pikt nie prowadzi go do zguby? Szedł dwa kroki z tyłu, jego obnażony miecz zawisł nad odkrytym karkiem Brule'a - jeśli planuje zdra- de - umrze pierwszy. Tamten jednak, jeśli nawet wiedział o nie- pewności króla, niczego nie dał po sobie poznać. Szedł spokojnie, aż doszli do zapomnianej, zakurzonej komnaty. Ze ścian zwisały ciężkie, sfaldowane zasłony Brule odsunął jedną z nich i ukłzył ciało.

Ruszyli z powrotem. Wtem Brule zatrzymał się tak nieoczekiwa- nie, że o włos tylko uniknął śmierci. Nerwy Kulla były napięte do ostatnich granic.

- Tam coś się rusza - szepnął. - Ka-nu mówił, że korytarze będą puste, ale...

Wydobył miecz i ostrożnie postąpił naprzód. Kull ruszył za nim. Po chwili zobaczyli dziwne, widmowe lśnienie. Czekali w napię- ciu, przyciśnięci plecami do ściany. Kull słyszał oddech Brule'a, wydobywający się przez zaciśnięte zęby. Teraz był pewien jego lojalności.

Blask przybrał niewyraźny kształt, jakby ludzki, lecz zamglony i niewyraźny, jak kłęb dymu. W miarę zbliżania się był wyraźniej- szy. Wreszcie spojrzeli na nich para dużych lśniących oczu na twarzy, która zdawała się przecierpieć wszystkie tortury od mi- lionów stuleci. Nie było w niej grozy, tylko bezbrzeżny żal, a ta twarz... ta twarz...

- Wszechmocni bogowie - szepnął Kull. - To Eallal, król Valuzji, który zginął tysiąc lat temu!

Brule po raz pierwszy tej strasznej nocy stracił zimną krew. Jego oczy rozszerzyły się ze zgrozy, miecz zadrżał w dłoni. Kull stał wyprostowany, instynktownie trzymając w pogotowiu bezuży- teczny teraz miecz. Zimny pot zalewał mu czoło, włosy jeżyły się na głowie, wciąż jednak był królem królów, gotowym potykać się z nieznanymi siłami śmierci tak, jak z żywymi.

Widmo szło prosto, nie zwracając na nich uwagi. Kull odsunął się, kiedy przechodziło obok, czując na twarzy jego oddech, lodo- waty jak północny wiatr. Cień szedł naprzód cichym, powolnym krokiem, jakby nogi pętały mu kajdany wszystkich epok. Wresz- cie znikł za zakretem korytarza.

- Valko - skęknął Brule, ocierając pot z czoła. - To nie był czło- wiek. To był duch.

- Tak - Kull pokiwał głową. - Poznałeś tę twarz? To był Eallal. Władal Valuzją tysiąc lat temu i został skrytobójczo zamordowa- ny w swojej sali tronowej, teraz zwanej Przeklętą Komnatą. Na pewno widziałeś jego posąg w Komnacie Chwały Królów.

- Tak. I teraz przypominam sobie tę opowieść. Bogowie, Kullu, to kolejny znak strasznej mocy kapłanów Węża. Ten król został przez nich zgłodzony i jego dusza stała się ich sługą, by przez wieczność wypełniać ich rozkazy. Mędrcy zawsze powiadali, że jeśli człowiek ginie z ręki ludzi-wężów, to jego duch staje się na zawsze ich niewolnikiem.

Kull zadrżał.

Robert E. HOWARD

Amerykański pisarz, urodzony w 1906 r. w Peaster Teksas. Żył tylko 30 lat. Debiutował na łamach WEIRD TALES opowiadaniem „Spears and Fang” (1925). Bardzo płodny, pisał niemal wszystko, co dawało się sprze- dawać w ówczesnych „grozowych” (pulp) magazynach - westerny, opo- wieści historyczne, kryminały, romanse, itd. Przetłumaczył jako pisarz dzieł opowiadaniom fantasy a szczególnie dzięki serii której bohaterem był Conan z Cymerii - niezbyt skomplikowany psychologicznie, za to nieu- straszony i niezwykły barbarzyńca, wędrujący od przygody do przy- gody po przedłodowcowym świecie pełnym potężnych królów, strasz- liwych potworów, magów oraz pięknych dziewcząt. Howard był autorem bo- dajże tylko 21 opowiadań z Conanem w roli głównej (17 z nich ukazało się w latach 1932-36 w WEIRD TALES zaś 4 pośmiertnie w innych magazy- nach). Jednak seria została później bardzo rozbudowana przez innych pisarzy, głównie przez L. Sprague de Camp oraz Linę Cantera (także ubra- na w formę komiksu oraz filmowana).

Popularność Howarda narodziła się i zaczęła wzrastać dopiero kilkanaście lat po jego samobójczej śmierci (1936 r.). Dziś jego wpływ na rozwój fan- tasy jest porównywalny przez niektórych krytyków z wpływem, jaki miała na ten gatunek twórczość J. R. R. Tolkiena. Howard jest uznawany za twórcę przygodowej odmiany fantasy - „sword and sorcery”

(djt)



- To straszliwy los. Słuchaj, jego żelazne palce zaciśnięte na ramieniu Piktów. Słuchaj, jeżeli te potwory zranią mnie śmiertelnie, to przysięgnij, że dobijesz mnie swoim mieczem, żeby nie posiadli mojej duszy.

- Przysięgam - powiedział Brule. - I ty uczyn to samo. Ich dłonie spotkały się, mocnym uściskiem pieczętując krwawe przymierze.

4.Maski

Kull siedział w sali tronowej i w zadumie spoglądał na morze zwróconych ku niemu twarzy. Marszałek dworu mówił coś równym, śpiewnym głosem, lecz król tego nie słyszał. W pobliżu, oczekując polecen, stał Tu, głowa Rady. Ilekroć Kull spoglądał w jego stronę, drżał od strasznych wspomnień. Gładka powierzchnia dworskiego życia była jak morze pomiędzy dwiema falami, wydarzenia ostatniej nocy zdawały się snem, póki jego wzrok nie padł na poręcz tronu. Opierało się o nią muskularne, brązowe ramie z błyszczącą na nim smoczą bransoletą - Brule stał przy jego boku i jego szept wyrywał króla z zamyślenia.

Nie, nie było snem to straszliwe interludium. Siedział na tronie w sali przyjęć, patrzył na dworzan, damy, książąt i polityków i zdawało mu się, że ich twarze są tylko nierealna złuda, cieniem, igraszką zmysłów. Zawsze uważał te twarze za maski, lecz przedtem patrzył na nie z pogardliwym pobłażaniem myśląc, że skrywają płytkie, małosłowne dusze, chciwe, lubieżne, zakłamanie. Teraz dostrzegał ukrytą pod nimi niejasną grozę. Wymieniając gładkie zwroty z jakimś szlachcicem widział niemal, jak usmiechnięta twarz rozwiera się, a na jej miejscu rozwiera się straszna, węzowa paszcza. Ilu z tych, na których patrzył, było nieludzkimi stworzeniami, knującymi przeciw niemu, ukrytymi za hipnotyczną iluzją ludzkich twarzy?

Valuzja - kraina snów i koszmarów, królestwo cieni, rządzone przez widma, przesuwające z władcy, który sam jest tylko cieniem. I drugi cien - Brule, stojący u jego boku. Brule, prawdziwy człowiek. Przyjaciół. Kull wiedział, że Brule także odczuwa tę przyjaźń, niezależnie od racji politycznych.

A co jest prawdziwym życiem? Ambicja, siła, duma? Przyjaźń, miłość, miłość kobiety - których Kull dotąd nie zaznał - bitwa, łupy - co? Czy był prawdziwym Kulem ten, co siedział teraz na tronie, czy też ten, co wspinał się na wzgórza Atlantydy, grabił zachodnie wyspy i śmiał się do zielonych, morskich fal?

Wielu było tych Kullów. W końcu kapłani Węża poszli ze swoją magią tylko o krok dalej, gdyż maski nosili wszyscy, każdy mężczyzna, każda kobieta. Mieli ich wiele. Ale czy pod każdą ukrywał się wąż?

Dworzanie podchodzili i oddalali się, aż wreszcie drobne, codzienne sprawy zostały załatwione i, jeżeli nie liczyć sennej służby, pozostali z Brulem sami w sali przyjęć.

Kull był zmęczony. Ani on, ani Brule nie spali tej nocy. On nie spał także poprzedniej, kiedy w ogrodach Ka-nu otrzymał pierwszą informację o dziwnych rzeczach, mających się wydarzyć. Ostatniej nocy, po powrocie do pokoju studiów, nie zdarzyło się już nic niezwykłego, lecz żaden z nich nawet nie myślał o śnie. Kull, przy swojej wilczej żywotności, w czasach młodości mógł nie spać wiele dni. Teraz jednak czuł się zmęczony grozą ubiegłej nocy i nieustanną gonitwą myśli w czasie dnia. Potrzebował snu, lecz sen był daleko.

Zresztą nie osmieliłby się udać na spoczynek. Choc on sam i Brule pilnowali wtedy, noca, czy i kiedy - warta zostanie zmieniona, to przecież zmieniono ją bez ich wiedzy. Rankiem gwardziści bez problemów potrafili powtórzyć magiczne zdanie Brule'a. Nie przypominali sobie nic niezwykłego. Zdawało im się, że jak zwykle spędzili całą noc na warcie. Kull nie zaprzeczał. Wierzył, że to prawdziwi ludzie, czuł jednak, że lepiej będzie utrzymać wszystko w tajemnicy.

Teraz Brule pochylił się, zniżając głos do szeptu.

- Myślę, Kullu, że wkrótce uderzą. Przed chwilą Ka-nu dał mi znak. Kapłani wiedzą, że my wiemy o spisku, nie wiedzą jednak, jak dużo wiemy. Musimy być gotowi. Ka-nu i wodzowie Piktów pozostaną w pobliżu, aż wszystko się wyjaśni tak czy inaczej. Wiedz, panie, że jeśli dojdzie do ostatecznej rozprawy, ulice Valuzji spłyną krwią.

Kull usmiechnął się pośpiesznie. Z radością przyjąłby każde działanie. Wędrowka po labiryntach złudzeń i czarów była obca jego naturze. Tesknął do szczęku broni, do radosnego poczucia wolności, jakie daje bitwa.

Potem do sali przyjęć wszedł Tu, a za nim pozostali członkowie rady.

- Panie, nadchodzi godzina obrad. Czekaemy, by odprowadzić cie.

Kull wstał. Doradcy klękali, kiedy przechodził ich szpalerem, po jego przejściu wstawali i ruszali za nim. Kilku uniosło brwi, zdziwionych widokiem piktyjskiego wojownika, z dumną miną idącego za królem, nikt jednak nie zaprotestował. Brule, z właściwą

barbarzyńcom pogardą, spoglądał wyzywająco na ich wygolone twarze.

Przeszli przez liczne korytarze, by w końcu znaleźć się w komnacie rady. Zgodnie ze zwyczajem zamknęło drzwi i doradcy usiedli, według swej rangi, przed podwyższeniem, na którym stał władca. Brule, bez słowa, zajął miejsce za jego plecami.

Kull obiegł wzrokiem pomieszczenie. Tak, tu zdrada była nie możliwa. Siedemnastu członków rady, wszyscy dobrze mu znani, wszyscy dali się poznać jako jego zwolennicy już wtedy, kiedy wstępował na tron.

- Ludu Valuzji... - zaczął w zwykły sposób i urwał, zdumiony. Doradcy jak jeden mąż wstali i ruszyli w jego stronę. Na ich twarzach nie było grozby, lecz ich zachowanie było co najmniej dziwne. Pierwszy był już całkiem blisko, kiedy Brule, jak leopold, skoczył do przodu.

- Ka nama kaa lajerama! - zabrzmiał w ciszy jego głos.

Najbliższy z doradców zatrzymał się i sięgnął ręką pod toge. Brule działał błyskawicznie, miecz błysnął w powietrzu i człowiek runął głową wprzód. Leżał nieruchomo, a jego głowa rozplywała się jak mgła pod dmuchnięciem wiatru, stając się łbem wielkiego weża.

Bij, Kullu! - krzyknął Pikt. - To wszystko słudzy Weża!

Potem był już tylko krwawy zamęt. Kull zobaczył, jak znane twarze rozwijały się, ukazując okropne pyski gadów. Cała grupa runęła do przodu. Oszołomienie ogarnęło umysł Kulla, lecz jego mięśnie działały mechanicznie, bez udziału woli.

Świat mieczy wypełnił komnatę i atak zalał się w strumieniach krwi. Tamci jednak napierali, gotowi poświęcić swe życie, byle tylko zabić Krola. Straszne ibly wyciągały się w jego stronę, wpatrywały się w niego pozbawione powiek oczy. Powietrze wypełnił ohydny odor - zapach weży, znany Kullowi z południowych dżungli. Godziły w niego miecze i szpilety, lecz nie czuł ran. Był w swoim żywiole. Wprawdzie nigdy dotąd nie spotkał takich przeciwników, ale to nic - żył, w ich żyłach płynęła krew, którą mógł przełcać, gineli, kiedy miecz przebiegał ciałami. Pchnięcie, zamach, ciecnie i obrót... Mimo to Kull zginąłby niewątpliwie, gdyby nie człowiek walczący u jego boku, odbijający i powstrzymujący ciosy. Król był jak oszalały. Walczył strasznym sposobem Allantow, którzy szukają śmierci, by zadawać śmierć. Nie robił nic, by zasłonić się od ciosów, wyprostowany, siedział naprzód, opanowany tylko jedną myślą: zabić! Nieczęsto zdarzało się, że Kull, ogarnięty pierwotną furią zapominał całej swej sztuki szermierki. Tym razem jednak jakas struna pękła w jego duszy, pozostawiając w niej tylko prymitywną żądzę krwi. Każdy cios powalał kogoś z wrogów, lecz oni ciągle kłębili się wokół - raz za razem Brule odbijał mordercze pchnięcia. Skulony, walczył spokojnie, nie szerokimi cieciami, jak Kull, lecz krokimi pchnięciami z dołu powalając przeciwników.

Kull zasmiał się śmiechem szalencza. Straszne pyski wirowały wokół w szkarłatnej mgłę. Poczul, że ostrze rozrywa mu ramię i szerokim łukiem opuszcł miecz, niemal na połowy rozcinając wroga. Potem mgła rozwinęła się i Kull stwierdził, że on i Brule stoją sami nad stosem ciał.

- Valko, coż to była za bitwa - rzekł Brule, ocierając zalane krwią oczy. Gdyby to byli wojownicy, którzy wiedzą, co się robi z mieczem, to wiedzą, Kullu, że byłibysmy już martwi. Ci kapłani nie nie wiedzieli o sztuce walki. Łatwiej dawali się zabijać, niż jakikolwiek człowiek, którego spotkałem w życiu. A przecież gdyby było ich choć o kilku więcej, cała sprawa skończyłaby się inaczej.

Kull przytaknął. Furia opuszczała go, pozostawiając tylko wielkie zmęczenie. Krew płynęła z głębokich ran na piersi, ramieniu, ręce i nodze. Brule, sam pokrwawiony, patrzył na niego z niepokojem.

- Panie, pozwólmij teraz kobietom opatrzyć twoje rany.

Kull odsunął go stanowczym gestem.

- Trzeba się im przyjrzeć, zanim stąd odejdziemy. Ale ty możesz iść. Wydam rozkazy, żeby cię opatrzone.

Pikt rozesmiał się ponuro.

- Twoje rany są cięższe... - zaczął i urwał, uderzony nagłą myślą.

- Na Valke, to przecież nie jest komnata rady!

Kull rozejrzał się czujak, jak opada kolejna zasłona.

- Nie, to komnata, w której zginął Ballal, od tego czasu opuszczona i zwana „Przeklętą“.

- A więc w końcu nas podeszli - krzyknął wściekły Brule, kopiąc ciała, leżące na podłodze. - Jak głupcy weszliśmy w pułapkę! Czarami odmienili tu wszystko...

- Zatem przed nami dalsze diabelskie sztuczki - rzekł Kull. - Jeśli są jacyś prawdziwi ludzie w radzie koronnej Valuzji, to są teraz w prawdziwej komnacie rady. Chodźmy tam, szybko!

Pozostawili komnatę martwym, a sami pobiegli przez puste korytarze, by stanąć przed komnatą rady. Kull zadrżał. Zza drzwi dobiegł głos, który był jego głosem.

Drżącą dłonią rozsunął story i zajrzał do środka. Ujrzał członków rady, identycznych z tymi, których dopiero co wraz z Brulem wycieli do nogi, a na podwyższeniu zobaczył Kulla, władcę Valuzji. Cofnął się.

- To szalenstwo - szepnął. - Czy to ja jestem Kullem? Czy stoje tutaj, czy też Kull to tamten, a ja jestem tylko odbiciem jakiejś błędnej myśli?

Brule chwycił go za ramię i potrząsnął gwałtownie, przywracając przytomność umysłu.

- Nie bądź głupcem, na Valke. Dziwisz się jeszcze po tym wszystkim, cośmy widzieli? Czy nie widzisz, że to prawdziwi ludzie, a tamten to człowiek-wąż, który przyjął twoją postać? Ty powinienes teraz być trupem, a ten stworzył miał rządzić zamiast ciebie, przez nikogo nie rozpoznany. Zabij go, inaczej jesteśmy zgubieni. Czerwoni Zaboicy, prawdziwi, stoją za nim i nikt prócz ciebie nie dola go dosięgnąć. Pospiesz się.

Kull otrząsnął się z oszołomienia i unosił głowę dawnym, dumnym gestem. Odetchnął głęboko, jak dobry pływak przed skokiem w morze, po czym jednym, tygrysim susem znalazł się na podwyższeniu. Brule miał rację. Tu stali Czerwoni Zaboicy, wyćwiczeni w reakcjach szybkich jak myśl. Każdy inny zginąłby, nim by zdołał dosięgnąć uzurpatora. Ale widok krola, identycznego ze stojącym na podwyższeniu, zbil ich z tropu, na chwilę tylko, lecz to wystarczyło. Ten drugi sięgnął do miecza, nim jednak zdążył dotknąć rekojesci, miecz Kulla przeszył mu pierś i stwor, którego obecni uważali za swego władcę runął bez życia.

Stojcie! Kull podniósł rękę, by uspokoić zamieszanie, po czym wskazał na ciało, leżące u jego stóp, którego twarz zniknęła powoli, zastępowana przez łeb weża. Doradcy cofnęli się przerażeni, a wtedy do komnaty wszedł Brule, zas drugimi drzwiami Ka-nu. Obaj uściskali czerwoną od krwi dłoń krola.

- Obywatele Valuzji! - rzekł Ka-nu. - Widzieliście to własnymi oczyma. Oto prawdziwy Kull, najpóźniejszy z władców, jacy kiedykolwiek rządzili Valuzją. Moc Weża została złamana, wy jesteście prawdziwymi ludźmi. Panie, jakie są twoje rozkazy?

- Podnieście to ciało - rzekł Kull, a gwardziści wykonali polecenie. - A teraz chodźcie za mną.

Poszli w kierunku Przekletej Komnaty. Zaniepokojony Brule chciał podtrzymać krola, lecz ten odepchnął jego ramię. Krawa-wił silnie, droga zdawała się nie mieć końca. Wreszcie stanęli u drzwi. Kull zaśmiał się dziko, słysząc przerażone okrzyki swoich doradców. Na jego rozkaz gwardziści rzucili ciało obok stosu innych, po czym krol gestem ręki nakazał wszystkim wyjście. Zamknął drzwi.

Poczul zawrót głowy. Otaczające go blade, zdziwione twarze roz-pływały się w widmowej mgłę. Strużki krwi spływały mu po ciele. Wiedział, że to, co chce zrobić, musi zrobić przedko lub nigdy.

Zgrzytnął miecz, dobywany z pochwy.

- Brule, jesteś tutaj?

- Jestem - twarz Pikla była tuż obok jego własnej, lecz głos dobiegał tak słabo, jakby dzielili ich setki mil i setki lat.

- Pamiętaj o naszej przysiędze. A teraz każ im się cofnąć.

Lewą ręką odsunął bliżej stojących i wznosił miecz. Wkładając w ten cios całą siłę, jaką jeszcze zachowały jego mięśnie, aż po reko-jesc wbił go, przez drzwi, w futrynę, zamykając komnatę na zawsze.

Zatoczył się jak pijany.

- Niech ta komnata będzie od dziś podwójnie przeklęta. Niech te gnijące ciała zostaną w niej na zawsze, na znak przełamanej mocy Weża. Tu wam przysięgam, że będę ścigał ludzi-weży przez wszystkie lądy i morza i nie zaznam spoczynku, póki wszyscy nie zginą, a dobro zwycięży moce Piekiel. To przysięgam ja... Kull... król... Valuzji...

Kolana ugięły się pod nim, twarze zawirowały wokół.

Doradcy biegali wśród jęków i pisków, nie wiedząc co począć Ka-nu, klnąc wściekle, roztrącał ich piściami.

- Z drogi, durnie. Chcecie zgasić te ostatnią iskry życia, co jeszcze tli się w tym ciele? Jak tam, Brule, jest martwy, czy będzie żył?

- Martwy? - Brule uśmiechnął się drwiąco. - To nie takie proste zabić takiego człowieka. Brak snu i upływ krwi osłabiły go... na Valke, ma pare głębokich ran, ale żadna z nich nie jest śmiertelna. Lepiej jednak, żeby ci rozwrzeszani durnie sprowadzili szybko kobiety.

Oczy Brule'a rozbłyły nagle.

- Na Valke, Ka-nu, nie przypuszczałem, że w tym czasach upadku i degeneracji żyje jeszcze ktoś taki jak on. Za pare dni będzie siedział w siodle, a wtedy niech ludzie-weże strzegą się Kulla z Valuzji. To będzie piękne polowanie. Długie lata dobrobytu czekają nasz świat, gdy taki człowiek zasiada na tronie Valuzji.

Przełożył Piotr W. Cholewa



Śmierć na balu

(Come Lady Death)

Peter S. Beagle

Zdarzyło się to w Anglii, dawno, dawno temu, kiedy ów Jerzy, który mówił po angielsku z twardym niemieckim akcentem i który nienawidził swoich własnych synów, zasiadł na tronie królewskim.

W tym czasie żyła w Londynie pewna dama, której jedynym zajęciem było wydawanie przyjęć. Nazywała się Flora Lady Neville. Była wdową, bardzo już starą. Mieszkała we wspaniałym domu niedaleko Pałacu Buckingham i miała tak wielu służących, że nie potrafiła zapamiętać wszystkich imion, a niektórych z nich nawet nigdy nie widziała. Miała więcej jedzenia niż potrafiła sama zjeść i tyle strojów, że nigdy nie mogłaby się w nie wszystkie odziać. W swych piwnicach trzymała takie ilości wina, że nikt za jej życia nie byłby w stanie go wypić. Podziemia jej domu zalegały wspaniałe dzieła sztuki – tak liczne, że nawet nie wiedziała, iż jest ich właścicielką. Ostatnie lata życia spędziła na wydawaniu przyjęć i balów, na które przybywali najwspanialsí lordowie Anglii – czasem nawet sam król. Uważano ją powszechnie za najmodniejszą i najdowcipniejszą kobietę w całym Londynie.

Z upływem czasu przyjęcia poczęły ją nudzić i mimo że wciąż zapraszała na nie najsławniejszych ludzi z całej Anglii i sprowadzała najznakomitszych kuglarzy, akrobatów, tancerzy i magików, by ich bawili, wydawały jej się coraz nudniejsze. Słuchanie dworskich plotek, które zawsze tak uwielbiała, teraz przyprawiało ją o ziewanie. Najpiękniejsza muzyka i najbardziej ekscytujące pokazy czarnej magii działały na nią usypiająco. Widok tańczącej nieopodal pięknej, młodej pary wywoływał w niej uczucie smutku – a ona nie znosiła być smutną.

Aż pewnego letniego popołudnia przywołała do siebie najbliższych przyjaciół i rzekła do nich:

„Coraz częściej doświadczam uczucia, że moje przyjęcia bawią wszystkich, tylko nie mnie. To jest nudne, a nudność polega na tym, że dotychczas nic mnie nie nudziło. Przez całe swe życie interesowałam się wszystkim, co widziałam i zawsze chciałam widzieć jeszcze więcej. Nie zamierzam więc dłużej chodzić na przyjęcia, na których czeka mnie tylko nuda, zwłaszcza jeśli będą to moje przyjęcia. Zatem na swój następny bal zaproszę gościa, tego jednego jedynego, który na pewno dla nikogo, nawet dla mnie samej, nie będzie niepokojem. Moim gościem będzie Śmierć

norowym gościem na moim następnym przyjęciu będzie Śmierć we własnej osobie!

Młody poeta pomysł w duchu, że to cudowny pomysł, ale pozostał przyjaciele przerazili się i aż odsunęli się od starej damy. Błagali ją, by tego nie robiła, mówili, że nie chcą jeszcze umierać. Śmierć przyjdzie po nich sama, jak tylko będzie gotowa. Po co ją zapraszać przed wyznaczoną godziną, która i tak wkrótce nadejdzie?

Lady Neville odparła te błagania, mówiąc:

– O!o! to. Jeżeli Śmierć ma w planie zabrać kogokolwiek z nas w nocy, gdy odbywać się będzie przyjęcie i tak przybędzie – zaproszony czy też nie – wszyscy zakładali, że Śmierć jest osobnikiem rodzaju męskiego i tak też o niej mówili. – Jeśli jednak nikomu z nas nie jest pisane wyzionąć ducha, myślę, że byłoby czarujące mieć Śmierć w naszym towarzystwie – może nawet pozwolić sobie na jakąś niewielką psotkę, o ile będzie w dobrym humorze. Pomysł tylko o możliwości pochwalenia się – było się na przyjęciu ze Śmiercią! Cały Londyn będzie nam zazdrościł, cała Anglia!

Pomysł Lady Neville zaczął właśnie z wolna zyskiwać aprobatę jej przyjaciół, gdy pewien młody lord, od niedawna bawiący w Londynie, niesmiało wtrącił:

– Śmierć jest taki zajęty. Co będzie, jeśli ma dużo pracy i nie będzie mógł przyjąć tego zaproszenia?

– Nikt nigdy nie odrzucił mego zaproszenia – odparła Lady Neville. – Nawet król.

Młody lord nie został zaproszony na przyjęcie.

Zaraz też usiadła i napisała zaproszenie. Początkowo jej przyjaciele spierali się między sobą o to, jak należy się zwracać do Śmierci.

Tytuł „Jego Królewskiego Miłosć Śmierć” sugerował, jak sądzono, zbyt niski w hierarchii społecznej stopień wicehrabiego czy barona. „Jego Miłosć Śmierć” zyskał większą aprobatę, ale Lady Neville stwierdziła, że to traci hipokryzję. Z kolei zwracanie się do Śmierci za pomocą tytułu „Jego Królewskiego Miłosć” stawiałoby Śmierć na równi z Królem Anglii, a na taki akt niełojalności nie osmieliłaby się nawet sama Lady Neville. W końcu uzgodniono, że będą zwracać się do Śmierci „Jego Eliminacja Śmierć”, co

zadowolono niemal wszystkich.

Następnie Kapitan Compson, znany jako najzuchwalszy oficer kawalerii angielskiej i jako najelegantszy hulaka, zapytał:

To wszystko bardzo pięknie, ale jakim sposobem mamy doreczyć zaproszenie? Czy ktokolwiek z was wie, gdzie mieszka Śmierć?

Śmierć bez wątpienia mieszka w Londynie - powiedziała Lady Neville - tak jak wszyscy choć trochę liczący się ludzie, aczkolwiek latem prawdopodobnie udaje się do Ceauville. Sądzę, że musi mieszkać dość blisko mego domu. To jest ponad wszelką wątpliwość najlepsza dzielnica Londynu i trudno byłoby oczekiwać, by tak ważna persona jak Śmierć zamieszkiwała w jakimkolwiek innym miejscu. Jak się dohrze zastanowić, to w istocie dość dziwne, że dotychczas nie spotkałam się z nim - nadął wszyscy nie mogli myśleć o Śmierci inaczej niż o istocie płci męskiej na ulicy.

Wiekosz przyjaciel przyznała jej rację, ale wtem poeta o na zwisku David Lorimond wykrzyknął:

- Nie, moja pani. Mylisz się! Śmierć mieszka wśród biednych. Śmierć mieszka w najbardziej odradzających, najciemniejszych uliczkach tego miasta, w jakiejś ohydnej, zaszczurzonej rudery, smierdzącej jak... - tu przerwał, a po części dlatego, że Lady Neville okazała swe niezadowolenie, a po części dlatego, że sam nigdy nie przekroczył progu takiej rudery, ani też nie zastanawiał się jak w rzeczywistości mogła śmierdzieć. - Śmierć mieszka wśród biednych - kontynuował - i codziennie przychodzi do nich z wizytą, albowiem jest ich jedynym przyjacielem.

Lady Neville odpowiedziała mu z takim samym chłodem, z jakim zwróciła się niedawno do młodego lorda.

Z pewnością musi się nimi zajmować, Davidzie, ale trudno mi uwierzyć w to, że szuka ich towarzystwa. Jestem pewna, że, podobnie jak i mnie, Śmierci z trudem przychodzi myślenie o biednych jako o jednostkach ludzkich. W końcu Śmierć jest szlachcicem.

Co prawda i lordowie, i damy byli zdania, że Śmierć musi mieszkać w sąsiedztwie przynajmniej tak dobrym jak ich własne, ale wszystko wskazywało na to, że nikt z nich nie zna ani nazwy ulicy, przy której mieszka, ani też nigdy nie widział jego domu.

- Gdybyśmy tak mieli wojnę - powiedział Kapitan Compson - z łatwością moglibyśmy go odnaleźć. Wicie, widziałem Śmierć i nawet mówiłem do niego, ale mi nigdy nie odpowiedział.

- Bardzo słusznie - powiedziała Lady Neville. - To Śmierć musi zawsze przemówić pierwszy. Nie umiałeś się właściwie zachować, Kapitanie - docięła mu Lady Neville, ale natychmiast uśmiechnęła się do niego, tak jak to zwykle czynią kobiety.

Wtem przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- O ile wiem, mój fryzjer ma chore dziecko - powiedziała. - Mówił mi o nim wczoraj i zdaje się, że stan jest beznadziejny. Poślę po niego i dam mu zaproszenie, a on z kolei będzie mógł wręczyć je Śmierci, kiedy przyjdzie zabrać tego bachora. Trochę oryginalny sposób wręczenia zaproszenia, przyznaję, ale nie widzę innej możliwości.

- A jeśli Śmierć odmówi? - zapytał lord, który niedawno był się ożenił.

- A to dlaczego? - spytała Lady Neville.

Ponownie, wśród słów powszechnej aprobaty, poeta wykrzyknął, że wykorzystanie tak przynębiającej sytuacji dla doreczenia zaproszenia będzie okrutnym i niegodziwym postępkiem. Natychmiast jednak zamilkł, gdyż Lady Neville zapytała niewinnym głosem:

Ależ dlaczego, Davidzie?

Posłano zatem po fryzjera, a kiedy ten stanął przed nimi, usmiechając się nerwowo i zaciskając kurczowo dłonie, zmieszany widokiem tak wielu sławnych lordów w jednym pomieszczeniu, Lady Neville powiedziała mu jakiego zadania musi się podjąć. Jej

wybór był trafny, nigdy zresztą nie dokonywała złych wyborów, albowiem fryzjer nie zaprotestował ani słowem. Po prostu wziął zaproszenie w dłoń i przeprosił zgromadzonych - oddał im je.

Nie było go przez dwa dni, ale kiedy się pojawił, a nie trzeba było po niego posyłać, stanął przed Lady Neville i podał jej małą, białą kopertę. Ze słowami - jak to miło z twojej strony, bardzo ci dziękuję - otworzyła ją, znajdując w środku czystą, blankietkę zawierającą jedynie lakoniczne sformułowanie: „Śmierć ma honor przybyć na bal Lady Neville”.

Otrzymałaś to od Śmierci? - zapytała podniecona. - Jak wygląda?

Fryzjer jednak, stojąc nieruchomo, patrzył na nią niewidzącym wzrokiem i nie odrzekł ani słowa, a ona, nie czekając nawet na odpowiedź, wezwwała przed swe oblicze tuzin służących i poleciła im natychmiast zwołać swych przyjaciół. Kiedy, czekając na ich przybycie, przemierzała niespokojnym krokiem tam i z powrotem swój pokój, ponownie zapytała:

Jak wygląda Śmierć? - Fryzjer nie odpowiedział.

Przybyli przyjaciele w podnieceniu przekazywali sobie z ręki do ręki malenki blankietki z odpowiedzią, aż po jakimś czasie pobrudził się i pogął pod ich palcami. Wszyscy zgodnie przyznali, że, z wyjątkiem wiadomości jaką zawierał, nie było w nim nic szczególnie niezwykłego. Nie był w dotyku ani gorący, ani zimny, a delikatna won, jaką rozciąlała należała raczej do przyjemnych. Wszyscy twierdzili, że ten zapach jest im bardzo dobrze znany, ale, o dziwo, nikt nie umiał go nazwać. Poeta powiedział, że przypomina mu kwiat bzu, ale niezupełnie.

Dopiero Kapitan Compson zauważył coś, na co nikt jeszcze nie zwrócił uwagi.

Spojrzenie na charakter pisma - powiedział. - Czy widzieliście kiedykolwiek coś bardziej wdzięcznego? Litery wydają się leciutkie jak ptaki. Myślę, że traciłimy czas na rozważaniach czy mamy tytułować Śmierć „Jego Taki” czy „Jego Siaki”. Ten list napisała kobieta.

Po tych słowach wśród zgromadzonych zawrzało i w zgłętku podekscytowanych głosów bilecik ponownie musiał odbyć kolejną podróż z rąk do rąk, by każdy, patrząc nań, mógł wykrzyknąć „Na Boga, ależ taki!” Ponad gwar wybił się w pewnej chwili głos poety.

- Kiedy się głębiej zastanowić, to przecież naturalne. W końcu Francuzi mówią „La morte” - Pani Śmierć. Zdecydowanie bardziej uoląhym, aby Śmierć była kobietą.

- Śmierć dosiada olbrzymiego czarnego rumaka - powiedział Kapitan Compson zdecydowanie - i nosi zbroję tego samego koloru. Jest wysokiego wzrostu, jak nikt inny. Tam na polu bitewnym to nie mogła być kobieta. Widziałem jak uderza mieczem w lewo i prawo jak każdy inny żołnierz. Może to fryzjer napisał odpowiedź, albo jego żona.

Atoli fryzjer odmówił odpowiedzi, mimo że wszyscy otoczyli go kregiem i błagali, by im powiedział, kto wręczył mu bilecik. Początkowo obiecywali mu najprzeróżniejsze nagrody. Później grozili, że zrobią z nim różne okropne rzeczy. „Czy to ty napisałeś?”

pytano go, albo „Zatem kto to pisał? Czy to była kobieta z krwi i kości? Czy to prawdziwa śmierć? Czy śmierć jest kobietą? Czy osmielała się sobie żartować z nas wszystkich?”

Fryzjer nie odparł ani słowa, ani jednego słoweczka i w końcu Lady Neville wezwwała służących i poleciła im wychłostać biedaka i wyrzucić na ulicę. Nawet nie spojrzał na nią, gdy go zabierano. Milczał.

Ucisząc swych przyjaciół gestem dłoni, Lady Neville powiedziała:

- Bal odbędzie się za dwa tygodnie, licząc od dzisiejszego wieczoru. Niechaj Śmierć przybędzie pod taką postacią, pod jaką sobie życzy - jako mężczyzna, kobieta, czy też jako niezwykła, bezpłciowa istota - uśmiechnęła się powściągliwie. - Śmierć może równie dobrze być i kobietą - powiedziała. - Obecnie mam mniej, niż przedtem, pewność co do formy postaci, jaką przyjmie Śmierć, ale też mniej się Śmierci obawiam. Jestem już zbyt stara, by bać się czegokolwiek, co używa gestego pióra, by napisać do mnie list. Idźcie teraz do swych domów i pamiętajcie o tym, żeby w trakcie przygotowań do balu mówić o tym jak najwięcej ze swymi służącymi, by ci z kolei mogli rozgłosić tę nowinę po całym Londynie. Niech wszystkim będzie wiadomo że tej jednej osoby, która na całym świecie nie umrze, bowiem Śmierć będzie tańczyć na balu u Lady Neville.

W czasie dwóch tygodni przed mającym się odbyć baleń ogromny dom Lady Neville drżał, jęczał i trzeszczał jak stare drzewo na wietrze. Poszły w ruch młotki stolarzy, a służący szorowali i polerowali podłogi i malowali budynek, przy-

Peter S. BEAGLE

Urodził się w 1939 r. w Nowym Jorku. W 1959 r. ukończył studia w University of Pittsburgh i podjął studia magisterskie w Stanford University. Nie ukończył ich, wyjechał na 2 lata do Europy, spędzając większą część czasu w Paryżu. Od chwili powrotu spod jego pióra wychodzi nieprzerwanie strumień wartościowych esejów, recenzji, opowiadań i powieści. Peter S. Beagle mieszka wraz z żoną i trogiem dzieci w Santa Cruz w Kalifornii.

Różnorodność tematyki podejmowanej przez autora najlepiej ilustrują jego powieści. Na przykład „I See By My Outfit” (1965) jest fascynującym, nie będącym fikcją literacką sprawozdaniem z podróży przez całe Stare Zjednoczone Państwa.

Do wspaniałej powieści typu fantasy, to właśnie druga z wymienionych książek ustaliła pozycję Beagle'a w gronie najznakomitszych amerykańskich twórców literatury z gatunku fantasy. Wśród innych dzieł należy wymienić „A Fine and Private Place” (1960), „The California Feeling” (1968), „Lila The Werewolf” (1974).

M. D.



J. Pogwond

gotowując go do przyjęcia. Lady Neville zawsze była dumna ze swego domu, ale gdy dzień balu stawał się coraz bliższy, poczęła obawiać się, że nie będzie wydawał się Śmierci wystarczająco wspaniały, jako że przywykła ona niewątpliwie do odwiedzania domów ludzi bogatszych i potężniejszych niż ona. Obawiając się pogardy ze strony Śmierci w dzień i w nocy nadzorowała osobiście pracę swych sług. Kotary i dywany musiały być dokładnie wyprane i wyczyszczone. Ozdoby ze złota i srebrne zastawy kazała polerować tak długo, aż zaczęły samodzielnie świecić w ciemności. Imponujące schody, które jak wodosпад spadały ku sali balowej, myto i pastowano tak często, że niemal nie sposób było po nich zejść, nie poslizgnąwszy się. Żeby przygotować właściwie samą salę balową, trzeba było aż trzydziestu dwóch służących pracujących jednocześnie, nie licząc tych, którzy polerowali szklany, większy od człowieka żyrandol i czternastce mniejszych lamp. Gdy wszystko już było gotowe, Lady Neville kazała ponownie wykonać całą pracę od początku, nie dlatego, że dojrzała gdziekolwiek odrobinę kurzu czy brudu, lecz dlatego, że dostrzec je mogła Śmierć.

Jesli chodzi o samą Lady Neville, to wybrała najpiękniejszą ze swoich sukni i osobiście nadzorowała jej pranie. Wezwwała innego fryzjera i kazała mu ułożyć włosy we fryzurę modną jakis czas temu, by w ten sposób pokazać Śmierci, że jest kobieta dumna ze swego wieku i nie widzi potrzeby małpowania młodych i pięknych. W dniu balu siedziała od rana przed lustrem i ograniczwszy swój makijaż do lepszych niż zwykle dotknier razem i cieniem do powiek oraz do wspaniałego, ryżowego pudru, uważnie przyglądała się swej chudej, starej twarzy, zaslanawiając się czy spodoba się Śmierci. Kiedy pojawił się kelner z pytaniem, czy zaakceptuje na bal wina, które wybrał, odesłała go precz i nadal nieruchoma wpatrywała się w swe odbicie w lustrze, aż do chwili, kiedy nadszedł czas, by ubrać się i zejść na dół, by powitać gości.

Wszyscy przybyli wcześniej. Gdy Lady Neville wyjrzała przez okno, spostrzegła, że podjazd przed jej domem wypełniony jest powozami i wspaniałymi koniami. „Wygląda to jak ogromna procesja żałobna” powiedziała. Lokaj u wejścia

wykrzykiwał nazwiska przybywających gości, a te odbijały się echem po sali balowej: „Kapitan Henry Compson z kawalerii królewskiej! Pan David Lorimond! Lord i Lady Torrance! (Ci byli najmłodszą parą na przyjęciu i dopiero trzy miesiące po ślubie) Sir Roger Harbison! Contessa della Candini!” Lady Neville łaskawie zezwalała, by wszyscy po kolei złożyli pocałunek na jej dłoń, a następnie serdecznie ich powitała.

Sprowadziła najznakomitszych muzyków, jakich udało się jej znaleźć, ale gdy na dany przez nią sygnał popłynęły dźwięki muzyki, żadna para nie wystąpiła na parkiet, żaden też młody lord nie podszedł do niej z prośbą o zaszczyt pierwszego tańca, jak nakazywała etykieta. Wszyscy niespokojnie kreśliли się w miejscu, rozmawiając półgłosem, ze wzrokiem utkwionym w drzwi do sali balowej.

Za każdym razem, gdy na podjeździe słychać było stukot końskich kopyt i koł powozu jakby sztywnieli nieco, zbijali się ciasniej w gromadkę i zamierali w bezruchu; ilekroć lokaj u wejścia ogłaszał przybycie kolejnego gościa oddychali głębiej z ulgą, kołysząc się w natychmiastowym rozluźnieniu na nogach.

„Dlaczego przyszli na moje przyjęcie, jeśli się boją?” Lady Neville mruknęła do siebie z pogardą. „Ja nie obawiam się spotkania ze Śmiercią. Chce, żeby wspaniałość mego domu i smak mego wina zrobił na Śmierci ogromne wrażenie. Umrę wcześniej niż ktokolwiek w tym pomieszczeniu, ale nie boję się”.

Przekonana, że Śmierć nie przybędzie przed północą ruszyła pomiędzy gości, usiłując ich uspokoić – nie słowami, gdyż wiedziała, że nie dotrą do ich świadomości – ale tonem swego głosu, tak, jakby byli stadem spłoszonych koni. Z upływem czasu jednak i ona zaraziła się ich nerwowością – zaledwie siadała, już ponownie wstawała, popijała wino z tuzina kielichów, nie dopijając żadnego do końca, stale rzucała okiem na swój wysadzany klejnotami zegarek – początkowo jakby chciała przyspieszyć nadejście północy, z czasem zaczęła pocierać szkiełko nad cyferblatem, jakby chcąc odpędzić noc i wrócić słońce na niebo. Gdy nadeszła północ, stała razem z innymi, oddychając nerwowo, przestępując z nogi na nogę i nasłuchując dźwięku koł powozu, mielących żwir podjazdu.

Gdy zegar rozpoczął wybijanie północy, wszyscy, nawet Lady

Neville i odważny Kapitan Compson, wydali krótki okrzyk przestachu i natychmiast umilkli, słuchając jego uderzeń. Mniejsze zegary w pokojach na piętrze również zaczęły wybijać północ. W uszach Lady Neville dzwoniły one jak poletne dzwony aż do bólu. Przelotnym spojrzeniem zaważniała o zwierciadło w sali balowej i zobaczyła w nim swą szarą twarz, zadartą nienaturalnie w górę, ku sufitowi jakby twarz tonącego, wymurzającą się w panice po oddechu. „Śmierć będzie kobietą – pomyślała – ohydłą, odrażającą staruchą, wysoką jak mężczyzna, a najstraszniejsza jest to, że będzie miała moją twarz”.

Zegary przestały bić i Lady Neville zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy uswiadomiła sobie, że szept wokół niej zabrzmiał innym tonem, w którym strach zmieszał się z ulgą i jakby nutą smutku, albowiem przed dom nie zajechał żaden nowy powóz. Śmierć nie przybyła.

Z wolna szept przerodził się w gwar, tu i owdzie goście zaczęli się śmiać. Lady Neville usłyszała jak stojący nicopodal młody lord Torrance powiedział do swej żony.

– No widzisz, moja droga, mówiłem ci, że nie ma się czego bać. To wszystko było zartem.

„Jestem skonczona” – pomyślała Lady Neville. Śmiech stawał się coraz donosniejszy i klął ją w uszy jak niedawne bicie zegarów. „Chciałam wydać bal na tyle wspaniale, żeby ci, których nie zaprosiłam musieli się wstydzić przed całym miastem i oło mam nagrodę. Jestem zrujnowana i zasłużyłam sobie na to”. Zwracając się do poety Lorimonda, rzekła:

– Zatańcz ze mną, Davidzie

Dała znak muzykom, którzy natychmiast zaczęli grać. Kiedy Lorimond wahał się jeszcze, powiedziała:

– Zatańcz ze mną teraz. Wciąż nie będziesz miał do tego okazji. Już nigdy nie wydam balu.

Lorimond uklonił się i poprowadził ją na parkiet.

Goście rozstąpili się przed nimi i śmiech na chwilę ucichł, ale Lady Neville wiedziała, że wkrótce powróci. „Coz, niech się śmieją” – pomyślała. „Nie bałam się Śmierci, a oni wszyscy drżeli z przerażenia. Dlaczego miałabym bać się ich śmiechu?” Czula jednak, jak pięką ją powieki, więc zamknawszy je, ponownie rzuciła się w wir tańca z Lorimondem.

I wtedy, najzupełniej niespodziewanie, wszystkie konie z zaprzęgów na podjeździe zarzały głośno – raz tylko, zupełnie tak jak goście o północy, wydający jeden krótki okrzyk. Ponieważ na podjeździe stało bardzo dużo koni, ich pojedyncze, ale wspólne rżenie było tak głośne, że wszyscy zgromadzeni w sali balowej jednocześnie umilkli. Usłyszeli ciężkie kroki lokaja, zmierzającego do drzwi i zadrżeli, jakby pod wpływem chłodnego powiewu, który wdarł się do domu. Wtem usłyszeli lekki głos:

– Czy spoznałam się? Oh, tak mi przykro. Konie były zdżone – i zanim lokaj powrócił, by zapowiedzieć gościa, do sali balowej wdzięcznym krokiem weszła sliczna, młoda dziewczyna, w białej sukni i uśmiechając się zatrzymała się u wejścia.

Mogła mieć najwyżej dziewiętnaście lat. Miała długie, rozpuszczone, złociste włosy. Opadały gesto na jej obnażone ramiona, polyskujące ciepło przez puszyste pasma jak dwie wapienne wysypki, wystające ponad ciemnozieloną powierzchnią morza. Miała szeroką twarz, która zważała się ku podbródkowi, a cerę tak delikatną, że niejedna dama, a wśród nich i Lady Neville, dotknęła w zdumieniu swej własnej twarzy, by natychmiast wycofać dłoń, jakby skóra uraziła ich palce. Jej usta były blade, podczas gdy usta innych kobiet były czerwone, karminowe, czy nawet purpurowe. Jej brwi, grubsze i prostsze od tych, które były w modzie, spotykały się ponad ciemnymi, spokojnymi oczami, osadzonymi tak głęboko i tak czarnymi, tak bezkompromisowo czarnymi, że pewna niemłoda żona pewnego niemłodego lorda mruknęła pod nosem:

– Ma w sobie coś z cyganki, jak sądzę.

– Albo coś jeszcze gorszego – dorzuciła kochanka jej meza.

– Uciszcie się! – Lady Neville odezwała się głośniejsz niż zamierzała, a młoda dziewczyna odwróciła się, by na nią spojrzeć. Uśmiechnęła się i Lady Neville próbowała odwzajemnić ten uśmiech, ale jej usta zdały się być niezwykle sztywne.

– Witam – powiedziała. Witam cie, Pani Śmierć.

Lordowie i damy zaszeptali między sobą, gdy dziewczyna ujęła dłoń starej kobiety i złożyła przed nią ukłon, pochylając się i unosząc w jednym harmonijnym ruchu – jak fala.

– Jesteś Lady Neville – powiedziała. – Bardzo dziękuję za zaproszenie. – Jej głos był tak delikatny i tak nieobcy, jak jej perfumy.

– Proszę wybaczyć mi moje spoznienie – powiedziała poważnie.

– Musiałam przybyć z bardzo daleka i me konie są niezmiernie zmęczone.

– Parobek je oporządzi i nakarmi – powiedziała Lady Neville – jeśli sobie tego pani życzy

– Oh, nie – odparła dziewczyna szybko. Proszę mu powiedzieć,

żeby nie podchodził do koni. To nie są prawdziwe konie, a poza tym są bardzo narowiste.

Przyjęła kielich wina od lokaja i wypila je powoli, wzdychając lekko z zadowoleniem.

Jakież wspaniałe wino – powiedziała. – I jaki piękny ma pani dom.

– Dziękuję – odparła Lady Neville. Nie odwracając się do gości, czuła, że każda kobieta w tej sali zazdrości jej. Polrafiła to wyczuć, tak jak zawsze uniała wyczuć zbliżanie się deszczu.

– Chciałabym tu mieszkać – powiedziała Śmierć cicho, słodkim głosem. – Kiedys tu zamieszkałam.

Wtem, widząc jak Lady Neville sztywnieje, jakby zamieniła się w figurę lodową, położyła swą dłoń na ramieniu starej damy i rzekła:

– Oh, przepraszam. Tak mi przykro. Jestem taka okrutna, ale to niechcący. Proszę, wybac mi Lady Neville. Nie przywykłam do towarzysztwa i popełniam tyle nietaktów. Proszę, wybac mi. Jej dłoń, spoczywająca na ramieniu Lady Neville była tak lekka i ciepła jak dłoń każdej innej młodej dziewczyny, a jej oczy wyrażały takie błaganie, że Lady Neville odrzekała:

– Nie powiedziałas niczego niestosownego. Dopoki jesteś moim gościem, mój dom należy do ciebie

– Dziękuję – powiedziała Śmierć i uśmiechnęła się tak promiennie, że muzycy zagrali tak jakoś sami z siebie, bez polecenia Lady Neville. Chciała im przerwać, ale Śmierć poprosiła:

– Jaka piękna muzyka. Pozwól im grać, proszę.

Muzycy zagrali gawotę, a Śmierć zupełnie nie speszona przerażeniami spojrzeńmi lakomnie śledzących ją oczu zanuciła cichutko melodię bez słów, uniosła nieco obiema dłońmi swą białą suknię i małymi stopkami zrobiła niepewnie kilka tanecznych kroków.

– Już tak dawno nie tańczyłam – rzuciła smutno. – Pewna jestem, że zapomniałam jak się to robi

Była niesmiała. Nawet nie podniosła wzroku na żadnego z młodych lordów, z których żaden nie poprosił jej do tańca.

Lady Neville poczuła zalewające ją fale wstydu i współczucia zarazem – emocje, które, jak sądziła, uschły w niej już dawno temu. „Miałaby być poniżona na balu u mnie?” pomyślała z gniewem. „To dlatego, że jest Śmiercią, gdyby była najbrzydszą, najpaskudniejszą na całym świecie wiedźmą, to tłoczyłby się przed nią, prosząc ją do tańca, albowiem są dzentelmenami i wiedzą jak należy się zachować w towarzystwie. Żaden jednak dzentelmen nie zechce zatańczyć ze Śmiercią, choćby była najpiękniejszą ze wszystkich kobiet”. Zerknęła na Davida Lorimonda. Na twarzy wysłupił mu rumieniec, patrząc na Śmierć zacisnął obie dłonie tak mocno, że palce pobielaly mu jak szkło, ale kiedy Lady Neville dotknęła jego ramienia, nie odwrócił się nawet, a gdy syknęła: „Davidzie” – udał, że nie słyszy. Wtedy Kapitan Compson, siwowłosy i wspaniałe prezentujący się w swym mundurze wystąpił z tłumu i szarmancko uklonił się przed Śmiercią.

– Czy mogę dostąpić tego zaszczytu? – spytał.

– Kapitan Compson – odparła Śmierć z uśmiechem i podała mu swe ramię. Miałam nadzieję, że to właśnie pan mnie poprosi do tańca

Starsze kobiety z dezaprobatą zmarszczyły brwi, bowiem nie uważały tej odpowiedzi za właściwą w tych okolicznościach, ale Śmierć najwyraźniej sobie z tego kąpała. Kapitan Compson poprowadził ją na środek parkietu. Początkowo Śmierć była zdumiewająco niezdarą – była zbyt podekscytowana, by wyjść naprzeciw oczekiwaniom swego partnera i zdawała się zupełnie nie mieć poczucia rytmu. Kapitan Compson natomiast poruszał się z mieszanią godności i swoistej wesołości. Lady Neville nigdy nie spojrzała tych cech u żadnego innego mężczyzny, ale gdy spojrział na nią ponad ramieniem Śmierci, dostrzegła coś czego nikt inny chyba nie zauważył: jego twarz, jego oczy, były nieruchome z przerażenia i mimo że podał ramię Śmierci ze swobodną galanterią, coñal je nieznacznie, gdy je ujęła

„Oto do czego prowadzi konieczność utrzymania reputacji” – pomyślała. „Kapitan Compson również jest zmuszony robić to, czego się od niego oczekuje. Mam nadzieję, że wkrótce ktoś inny z nią zatańczy”.

Nikt inny jednak z nią nie zatańczył. Pomahu inne pary opanowały swój strach i kiedy Śmierć spoglądała w inną stronę, pospiesznie wychodziły na parkiet. Nikt jednak nie przyszedł w sukurs Kapitanowi Compsonowi, nikt nie uwolnił go od slichnej partnerki. Tańczyli kolejne tance. Z upływem czasu niektórzy panowie poczuli patrzeć na nią z większą dozą podziwu niż strachu, lecz gdy tylko odważała ich spojrzenia i uśmiechała się do nich, natychmiast przywierali do swych partnerek jakby w obawie, że zdmuchnie ich jakiś zimny wiatr. Jednym z niewielu, którzy przyglądali się jej szczerze i z przyjemnością był młody Lord Tor-

rance, który zwykle tańczył wyłącznie ze swą żoną. Innym był poeta Lorimond. Tańcząc z Lady Neville zauważył:

- Skoro ona jest Śmiercią, to co ci wystraszeni głupcy sobie wyobrażają, że niby kim są? Jak zachowaliby się, gdyby była chodzącą brzydotą? Brzydzie się ich strachem. To jest niesmaczne.

W tym momencie Śmierć i Kapitan Compson przemknęli w tańcu obok nich i usłyszeli jak Kapitan mówi:

- Jeśli to naprawdę ciebie widziałem podczas bitwy, jak mogłaś tak się zmienić? Jak mogłaś stać się tak słiczna?

Śmierć zaśmiała się wesoło i ciepło

- Pomyslałam sobie, że wśród tylu pięknych ludzi lepiej będzie być piękną. Obawiałam się, że wystraszę wszystkich i zepsuje przyjęcie.

- Oni wszyscy sadzili, że będzie brzydka - powiedział Lorimond do Lady Neville. - Ja... ja wiedziałem, że będzie piękna.

- Zatem dlaczego z nią nie załanczysz? - spytała go Lady Neville.

- Ty też się boisz?

- Nie, nie. Skądże - odparł poeta szybko i zapakczywie. - Już wkrótce poproszę ją do tańca. Chce tylko jeszcze trochę na nią popatrzeć.

Muzycy grali i grali. Taniec odpędzał noc tak powoli, jak powoli drażą skałę wody gorskiego strumienia. Lady Neville zdawało się, że jeszcze żadna noc nie lrwiała dłużej niż ta, ale nie była ani zmęczona, ani też znudzona. Tańczyła z każdym mężczyzną na balu, z wyjątkiem Lorda Torrance'a, który tańczył ze swoją żoną, tak jakby właśnie tej nocy po raz pierwszy się spotkali i oczywiście z wyjątkiem Kapitana Compsona. W pewnej chwili Kapitan unosił dłoń i lekko musnął nią złociste włosy Śmierci. Był nadal okazałym mężczyzną, wspaniałym partnerem dla tak słicznej dziewczyny, ale Lady Neville kilkakrotnie mijając go w tańcu spoglądała na jego twarz i uświadomiła sobie fakt, że jest starszy niż powszechnie uważano.

Śmierć natomiast wydawała się być młodszą od najmłodszej kobiety na balu. Żadna z obecnych dam nie tańczyła w tej chwili lepiej od niej, aczkolwiek Lady Neville nie mogła sobie przypomnieć, w którym momencie jej niezdarność zamieniała się w słodkich płynnych ruchów. Uśmiechała się i zagadywała do każdego, kto na nią spojrzał - знаła imiona wszystkich, śpiewała, nieprzerwanie, dobierając słowa do dźwięków muzyki - słowa nonsensowne, dźwięki bez znaczenia, lecz wszyscy w skupieniu nastawiali uszy, by, nie wiedząc czemu, pochwycić jej miękki głos. Kiedy nareszcie, podczas walców, dla większej swobody w tańcu uniosła tren swej sukienki, Lady Neville odniosła wrażenie, że porusza się jak mała zagłówka po spokojnym morzu o zmierzchu.

Lady Neville pochwyciła słowa gwałtownej sprzeczki między Lady Torrance a Contessą della Candini:

- Kpić sobie z tego, że jest Śmiercią, nie jest wcale starsza ode mnie. Z pewnością nie jest!

- Nonsens - odparowała Contessa, która nigdy nie umiała zdobyć się na wielkoduszność wobec innej kobiety. - Ma dwadzieścia osiem, trzydzieści lat. I ta suknia, ta jej ślubna suknia - coś podobnego!

- Wstretne! - dorzuciła dama, która przybyła na bal w charakterze partnerki Kapitana Compsona, jednej z wielu, z jakimi się pokazywał. - Zupełnie bez smaku. Co prawda nie należy się chyba spodziewać dobrego smaku po Śmierci.

Lady Torrance wyglądała tak, jakby miała się rozplakać.

„One są zazdrosne o Śmierć” - powiedziała Lady Neville do siebie. „Jakie to dziwne. Ja nie czuję się o nią zazdrosna. Ani trochę i zupełnie się jej nie boję”. Była z siebie niezwykle dumna.

Wtem, tak samo niespodziewanie jak wtedy, gdy zaczęli, muzycy przestali grać. Z wolna odkładali instrumenty.

W nagłej, przeraźliwej ciszy Śmierć wyrwała się Kapitanowi Compsonowi i podbiegła do wysokiego okna, rozchylając obiema dłońmi zasłony.

- Spójrzcie - powiedziała, stojąc do nich tyłem. - Chodźcie i popatrzcie. Już prawie świta.

Letnie niebo było wciąż spowite w mroku i tylko horyzont na wschodzie odrobinkę się rozjaśniał na tle ciemnego nieboskłonu, ale gwiazdy już zniknęły, a sylwetki drzew, rosnących przed domem sławły się coraz wyraźniejsze. Śmierć przywarła twarzą do okna i powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszano:

- Muszę już iść.

- Nie - powiedziała Lady Neville, nie od razu świadoma tego, że przemówiła. - Musisz zostać jeszcze trochę dłużej. Bal wydałam na Twoją cześć. Proszę, zostań.

Śmierć wyciągnęła ku niej obie dłonie, a Lady Neville zbliżyła się i ujęła je w swoje:

- Cudownie się bawiłam - powiedziała łagodnie. - Nie możesz pojąć, co to za uczucie być zaproszoną na bal taki jak ten, bowiem sama wydawałaś balet i chodziłaś na inne przez całe swoje życie



Wszystkie wydają ci się takie same, ale dla mnie tak nie jest. Czy mnie rozumiesz? - Lady Neville przytaknęła bez słowa. - Zawsze będę pamiętała tę noc - powiedziała Śmierć.

Zostań - powiedział Kapitan Compson. - Zostań choć chwilę dłużej. - Położył dłoń na ramieniu Śmierci, a ona uśmiechnęła się i przytuliła dotknął jej policzek.

Drogi Kapitan Compson - rzekła. - Mój pierwszy prawdziwy rycerz. Czyż nie jesteś mną zmęczony?

Nigdy - odparł. - Proszę zostań.

Zostań - poprosił Lorimond i wydawało się, że też chce jej dotknąć. Zostań. Chce z tobą porozmawiać. Chce na ciebie popatrzeć. Będzie z tobą tańczył, jeśli zostaniesz.

Iluz mam konkurentów - zdziwiła się Śmierć. Wyciągnęła dłoń do Lorimonda, ale ten cofnął się od niej i zaraz ze wstydu spieklaka. - Zostan - powiedział Kapitan Compson. - Zostań choć chwilę dłużej. - Położył dłoń na ramieniu Śmierci, a ona uśmiechnęła się i przytuliła dotknął jej policzek.

Drogi Kapitan Compson - rzekła. - Mój pierwszy prawdziwy rycerz. Czyż nie jesteś mną zmęczony?

Nigdy - odparł. - Proszę zostań.

Zostań - poprosił Lorimond i wydawało się, że też chce jej dotknąć. Zostań. Chce z tobą porozmawiać. Chce na ciebie popatrzeć. Będzie z tobą tańczył, jeśli zostaniesz.

Iluz mam konkurentów - zdziwiła się Śmierć. Wyciągnęła dłoń do Lorimonda, ale ten cofnął się od niej i zaraz ze wstydu spieklaka. - Zostan - powiedział Kapitan Compson. - Zostań choć chwilę dłużej. - Położył dłoń na ramieniu Śmierci, a ona uśmiechnęła się i przytuliła dotknął jej policzek.

Drogi Kapitan Compson - rzekła. - Mój pierwszy prawdziwy rycerz. Czyż nie jesteś mną zmęczony?

Nigdy - odparł. - Proszę zostań.

- A ty? - spytała mężczyznę - a ty? - spytała kobietę - a ty? spytała jeszcze jednego mężczyznę - czy wy wszyscy chcecie, żebym została?

A oni wszyscy odrzekli:

- Tak, Pani Śmierć, chcemy.

- A zatem chcecie - wykrzyknęła w końcu do wszystkich. - Czy chcecie, żebym żyła pomiędzy wami, żebym była jedną z was i żebym przestała być Śmiercią? Czy chcecie bym odwiedzała wasze domy i przychodziła na wszystkie przyjęcia? Czy chcecie, żebym miała konie takie jak wasze, zamiast morch, czy chcecie żebym ubierała się jak wy, mówiła o tym co i wy? Czy ktoś z was pojmie mnie za żonę i czy pozostali załanczą na moim weselu i przyniosą podarki dla moich dzieci? Czy chcecie właśnie tego?

- Tak - powiedziała Lady Neville. - Zostan tutaj, zostan ze mną, z nami.

Głos Śmierci, nie przybierając na mocy, stał się jednak wyrazistszy i starszy, za stary, jak pomyślała Lady Neville, na tak młodą dziewczynę.

- Zastanowcie się - powiedziała Śmierć. - Zastanowcie się czego chcecie, dobrze się zastanowcie. Czy wy wszyscy chcecie, żebym została. Jeśli teraz jeden z was powie: „nie, odejdz stąd” - będę musiała opuścić ten dom natychmiast i nigdy już nie powrócę. Zastanowcie się. Czy wszyscy chcecie?

Wszyscy zgodnie, jednym głosem zakrzyknęli.

- Tak! Tak! Musisz zostać z nami. Jesteś tak piękna, że nie możemy pozwolić na twoje odejście.

- Jesteśmy zmęczeni - powiedział Kapitan Compson.

- Jesteśmy ślepi - powiedział Lorimond, dodając - zwłaszcza na poezję.

- Boimy się - dodał cicho Lord Torrance, a żona jego chwyciła go za rękę mówiąc:

- Oboje.

- Jesteśmy nudni i głupi - powiedziała Lady Neville - i starzejemy się, nie przynosząc żadnego pożytku. Zostan z nami, Pani Śmierć.

I oto Śmierć uśmiechnęła się słodko i promiennie i postąpiła krok naprzód, a wyglądała to tak, jakby zstępowała pośród nich z ogromnej wysokości.

Bardzo dobrze - powiedziała. - Zostanę z wami. Nie będę więc Śmiercią. Będę Kobieta.

Przez salę przeszło głębokie westchnienie, aczkolwiek nie widziano, by ktokolwiek otworzył usta. Nikt się nie poruszył, bowiem złotowłosa dziewczyna wciąż jeszcze była Śmiercią, a jej stojące przed domem konie nadal przywoływały ją rżeniem. Nikt nie mógł na długo zatrzymać na niej wzroku, mimo że tak pięknej dziewczyny jak ona jeszcze nigdy nie widział.

- Jest pewna cena, którą trzeba za to zapłacić - powiedziała. Zawsze jest jakaś cena. Kłós z was musi zostać Śmiercią w moje miejsce, albowiem na świecie zawsze musi być Śmierć. Czy kłókolwiek z was się zgadza? Czy kłókolwiek z was zostanie Śmiercią z własnej nieprzymuszonej woli? Dopiero wtedy będę mogła stać się dziewczyną - istotą ludzką.

Nikt się nie odezwał, nie pisał słowa, ale wszyscy z wolna cofnęli się od niej, jak fale, które, gdy chcemy je dogonić, zeslizgują się po plaży z powrotem ku morzu.

Contessa della Candini i jej przyjaciele byłiby się wymknęli z sali, ale Śmierć uśmiechnęła się do nich, więc pozostali na swoich miejscach.

Kapitan Compson otworzył usta, jakby chciał zadeklarować swą gotowość do spełnienia warunku, ale nie wymówił ani słowa. Lady Neville stała nieruchomo.

- Nikt - powiedziała Śmierć. Dotknęła palcem kwiatu, a ten zdął się uginąć i przeciągać jak zadowolony kot. - Zupełnie nikt - powiedziała. - Zatem ja muszę dokonać wyboru, a jest to sprawiedliwe, bo właśnie w ten sposób ja zostałam Śmiercią. Nigdy nie chciałam być Śmiercią i jestem taka szczerliwa, że chcecie, bym została jedną z was. Długo szukałam ludzi, którzy by mnie zechcieli. Teraz pozostało mi jedynie wybrać kogoś na moje miejsce i po kłopotach Wybiore bardzo rozważnie.

„Oh, jacy byśmy głupi” - powiedziała do siebie Lady Neville. „Byliśmy tacy głupi” - ale nie odezwała się na głos, spłóła jedynie dłonie i przyglądała się dziewczynie, myśląc niejasno, że gdyby miała córkę, to byłoby jej niezmiernie przyjemnie, gdyby przypominała ona Panią Śmierć.

- Contessa della Candini - rzekła Śmierć z namysłem, a kobieta wydawała jedynie krótki pisk przerażenia, gdyż jak sparalizowana nie mogła wziąć głębokiego oddechu, który dałby jej siłę do wrzasku. Pani Śmierć zasmiała się tylko. - Nie, to byłoby głupie. Nie powiedziała już nic więcej, ale przez długi czas po tym stwierdzeniu Contessa płonęła z poniżenia i wstydu, że nie została wybrana Śmiercią.

- Kapitan Compson też nie - mruknęła Śmierć - bowiem jest

zbyt uprzejmy, żeby zostać Śmiercią, a także dlatego, że byłoby to dla niego zbyt okrutne. On tak bardzo pragnie umrzeć. - Twarz Kapitana Compsona nie zmieniała wyrazu, ale jego dłonie poczęły drżeć.

Ani Lorimond - kontynuowała dziewczyna - ponieważ tak mało wie o życiu i ponieważ go lubię. - Poeta zaczerwienił się, zbłądził i ponownie spiekl raka. Zrobił niezdarne ruchy jakby chciał kleknąć na jedno kolano, ale zaraz wyprostował się i stanął sztywno, próbując dorównać postawą Kapitanowi Compsonowi.

- Ani Torrance'owie - powiedziała Śmierć. - Nigdy Lord ani Lady Torrance, gdyż za bardzo troszczą się o siebie wzajemnie, by umieć pomóc sobie faktem wyboru na Śmierć. - Powiedziawszy to, zawałała się przez chwilę patrząc na Lady Torrance swymi ciemnymi, niezwyklejmi oczami. - Byłam w twoim wieku, gdy zostałam Śmiercią - powiedziała w końcu. - Zastanawiam się, jak to będzie, mieć znowu twoje lata. Tak długo byłam Śmiercią. - Lady Torrance zadrgała i nie odezwała się.

Nareszcie Śmierć rzekła cicho:

- Lady Neville.

- Jestem tutaj - odparła Lady Neville.

- Myślisz, że jesteś jedyną kandydatką - powiedziała Śmierć. - Wybieram cię, Lady Neville.

Ponownie Lady Neville usłyszała, jak każdy gość wdycha cicho i mimo że stała tyłem do wszystkich, wiedziała, że odetchnęli z ulgą, że ani oni sami, ani nikt im drogi nie został wybrany. Lady Torville zaprotestowała niewielkim okrzykiem, ale Lady Neville wiedziała, że ona krzyknęłaby niezależnie od tego, jakiego wyboru dokonałaby Śmierć. Usłyszała swój własny, spokojny głos:

- To dla mnie zaszczyt. Czyż jednak nikt inny oprócz mnie nanie zasługuje?

- Ani jedna osoba - odparła Śmierć. - Nie ma nikogo, kto byłby tak znudzony egzystencją ludzką, nikogo, kto wiedziałby lepiej jak pozabawione znaczenia jest życie. Nikt też w tej sali nie ma takiej siły, by traktować życie - uśmiechnęła się słodko i okrutnie - życie dziecka swego fryzjera, na przykład, jak coś na tyle bez znaczenia, na ile naprawdę pozabawione jest sensu. Śmierć ma serce, ale jest to serce na zawsze puste i myślę, Lady Neville, że twoje serce jest jak wyschnięte koryto rzeki, jak muszla morską. Będziesz wielce kontenta, gdy zostaniesz Śmiercią. Znacznie bardziej niż ja, gdyż ja byłam wtedy bardzo młoda.

Lekkim, kołyszącym się krokiem zbliżyła się do Lady Neville. W jej szeroko otwartych, głęboko osadzonych oczach odbijała się jaskrawo czerwien wstającego słońca. Mimo że na nich nie spoglądała, wszyscy goście na balu cofnęli się przed nią, a Lady Neville tylko zacisnęła mocno obie dłonie i patrzyła jak Śmierć zbliża się do niej swym lekkim, tanecznym krokiem.

- Musimy się pocałować - powiedziała Śmierć. - W ten sposób ja zostałam Śmiercią. - W ekstazie potrząsnęła głową, aż wzburzone tym ruchem miękkie włosy zawirowały, omiatając koncami obnażone ramiona. - Prędko, prędko - powiedziała. - Nie mogę się już doczekać chwili, kiedy znowu słane się człowiekiem.

- Być może to wcale nie będzie takie przyjemne - rzuciła Lady Neville. Była niezwykle spokojna, a jednak czuła, jak jej stare serce wali w piersi jak młotem, a koniuszki palców pulsują do uderzeń krwi w żyłach. - Po jakimś czasie może ci się to przestać podobać - powiedziała.

- Możliwe - uśmiechnięte usta Śmierci były już bardzo blisko jej twarzy. - Nie będę wtedy tak piękna, jak w tej chwili, a ludzie prawdopodobnie nie będą mnie kochać i w końcu umrę. Odprawiłam swą pokutę.

- Jaką pokutę? - spytała młodą dziewczynę stara kobieta. - Co takiego zrobiłaś? Dlaczego zostałam Śmiercią?

- Nie pamiętam - odparła Śmierć. - I ty też z czasem zapomnisz.

- Była niższa od Lady Neville i o ilez młodsza. Mogła również dobrze być córką Lady Neville - córką, której nigdy nie miała, a która, gdyby istniała, byłaby zawsze razem ze swą rodzicielką i lekkim ramieniem przytulałaby do siebie głowę matki, gdy ta czułaby się stara i przygnębiona. Teraz uniosła głowę, by pocałować policzek Lady Neville i gdy to uczyniła szepnęła jej do ucha:

- Ty będziesz wciąż piękna, kiedy ja już zbrzydne. Bądź zatem dla mnie miła.

Stojąc za Lady Neville dzentelmeni i damy zaszeptali między sobą i poruszyli się nerwowo. W swych smokach i szatach balowych wyglądali jak trzepoczące skrzydłami, zatrwożone mole.

- Obiecuję ci to - powiedziała Lady Neville i schyliła usta, by złożyć pocałunek na delikatnym, słodko pachnącym policzku młodej Pani Śmierci.

Przełożył Marek Dorskocz

W niespełna trzy godziny po wschodzie słońca F'lar na spiżowym Mnementhu dokonywał inspekcji swych oddziałów. Dwieście szesnastu smoków uformowało ponad Szczytem Benden Weyr szyk bojowy. Później, w Dolinie, zgromadzili się pozostali mieszkańcy Weyr, w tym kilku jeźdźców rannych w pierwszej bitwie. Nie było tylko Lessy i Ramoth. Obie udały się do Fort Weyr, gdzie grupowało się skrzydło królewskie. F'lar nie potrafił zdławić w sobie niepokoju wywołanego świadomością, że Lessa i Ramoth także będą walczyły. Wiedział, że to pozostałość z czasów, kiedy Pern miał tylko jednego smoka-królową. Jeśli Lessa zdołała skoczyć „pomiedzy” o czterysta Obrotów w przeszłość i przyprowadzić załogę i mieszkańców pieciu Weyrow, to z pewnością potrafi obronić siebie i Ramoth przed Nicm.

Sprawdził czy wszyscy jeźdźcy mają niezbędną ilość ognia w workach i czy każdy smok ma właściwy kolor – zwłaszcza te z południowego Weyr. Oczywiście smoki były w świetnej formie, ale twarze jeźdźców wskazywały wyraźnie na szok czasowy, którego doznali. Inspekcja trwała już zbyt długo, a przecież Nici wkrótce przesyją niebo nad Telgar.

Dał rozkaz do przejścia „pomiedzy”. Pojawili się w pobliżu Osady w Telgar, trochę na południe od niej i nie byli pierwszymi przybyszami. Po stronie zachodniej, północnej i po wschodniej pojawiały się coraz to nowe skrzydła jeźdźców, aż w końcu cały horyzont pokryty został ogromnymi sylwetkami w kształcie litery V, tworzonymi przez skrzydła tysięcy smoków. F'lar usłyszał odległy dźwięk dzwonu, dobiegający z Wieży Osady w Telgar. To mieszkańcy Osady witali niespodziewanie przybyłe liczne oddziały jeźdźców na smokach.

– Gdzie ona się znajduje? – spytał F'lar Mnementh. – Wkrótce będzie nam potrzebna do przekazywania rozkazów...

– Już leci – przerwał mu Mnementh.

Dokładnie nad Osadą w Telgar pojawiło się kolejne skrzydło. Nawet z tej odległości, F'lar dostrzegł różnice: to złote smoki potyskiwały w jasnych promieniach wstającego słońca.

Szmer aprobaty przeszedł przez zgromadzone oddziały smoków i F'lar mimo kołającego gdzieś w sercu niepokoju, uśmiechnął się z dumą przyglądając się feerii zlorzystych błysków.

W tym momencie wschodnie skrzydła wzbity się wysoko w górę. To smoki instynktownie poczuły obecność swego odwiecznego wroga.

Mnementh uniosł łeb, wydając z gardzieli metaliczny grzmot wojennego okrzyku.

Nici! F'lar widział je teraz wyraźnie, na tle wiosennego nieba. Krew zaczęła mu żywiej krążyć w żyłach, ale nie ze strachu – z dzikiej radości. Serce biło nierówno. Mnementh zażądał więcej ognia i przyspieszył uderzenia skrzydeł w powietrzu, szykując się do skoku w górę w chwili, gdy tylko usłyszy komendę.

Smoki w Weyr, które przystąpiły już do walki, wyrzucały w jasnoniebieskie niebo jezory pomarańczowo-czerwonego płomienia. Chowały się i wyskakiwały z „pomiedzy”, pluły ogniem, nurkowały.

Wspaniale, złote królowe pędziły tuż nad ziemią, niemal szorując po niej brzuchami, w poszukiwaniu tego co umknęło jeźdźcom.

Wtem F'lar rozkazał nabrać wysokości w celu przechwycenia Nici w poł drogi do ziemi. Gdy Mnementh jak strzała pędził do góry, F'lar wyzywająco potrząsnął pięścią wymierzoną w mrugające Czerwone Oko Gwiazdy.

Nadejście dzień – krzyczał – kiedy nie będziemy siedzieć spokojnie, czekając aż opadniecie. My spadniemy na was, tam gdzie się rodzicie, na wasz własny grunt.

„Na Jajo, powiedział do siebie w duchu, jeśli możemy podróżować czterysta Obrotów w przeszłość, ponad morzami, ziemią i to w mgnieniu oka, czymże jest podróż z jednego świata w drugi?”

F'lar uśmiechnął się do swych myśli. Lepiej nie wspominać o tym zuchwałym planie w obecności Lessy.

– Wiązka z przodu – ostrzegł go Mnementh.

Kiedy spiżowy smok zaatakował, wyrzucając przed siebie płomień, F'lar zacisnął kolana na jego szyn. Matko nasza, był szczęśliwy, że teraz, ze wszystkich czasów, właśnie teraz, on, F'lar, jeździec spiżowego Mnementh, był jeźdźcą Pernu!

KONIEC

Niosąc kubek i dzban zawierający kłah, F'lar udał się do Sali Obrad, zastanawiając się po drodze, czy powieścić magnatów i cechmistrzów o wyprawie na południe, czy też nie. Zdolność smoków do poruszania się „pomiedzy” w czasie podobnie jak w przestrzeni nie była powszechnie znana. Magnaci zapewne jeszcze się nie zorientowali, że skorzystano z niej poprzedniego dnia, by uprzedzić atak Nici. Gdyby F'lar mógł mieć pewność, że realizacja nowego projektu zakończy się powodzeniem – no cóż, to by wniosło optymistyczny akcent w nadchodzące spotkanie.

Na razie niech mapy z wykresami czasowymi wystarczą magnatom. Goście nie zbierali się długo. Wielu z nich nie potrafiło ukryć swego przerażenia i szoku wywołanego niespodziewanym atakiem Nici, które po długiej przerwie ponownie opadły z Gorącej Gwiazdy, by siać spustoszenie wśród wszystkich co żywe na Pernie.

„Znosi się na trudną sesję” – pomyślał F'lar. Poczut przelotny żal, że nie poleciał razem z F'norem i Lessą na Południowy Kontynent.

Wkrótce przybyli prawie wszyscy, z wyjątkiem Merona z Nabol, którego najchętniej w ogóle by nie wzywał, gdyż ten wiecznie szukał zwady i Lytola z Ruathy. F'lar wystąpił wezwanie do Lytola na samym końcu, albowiem nie chciał, żeby Lessa się z nim spotykała.

Była wciąż nadmiernie, i jak sądził niepotrzebnie, przewrażliwiona na punkcie swego prawa do Ruathy, którego musiała się zrzec na rzecz syna zmarłej przy porodzie Gemmy. Lytol, jako Strażnik w Ruatha, miał prawo zasiadać wśród obradujących na tej konferencji. Dla eks-jeźdźcy powrócił do Weyr stanowił wystarczająco bolesne przeżycie, żeby jeszcze dodatkowo narząca go na przykre starcie z nie-nawidzącą go Lessą. W końcu Lytol był, jeśli nie liczyć młodego Larada z Telgar, najcenniejszym sprzymierzeńcem Weyr.

Do sali wszedł S'lel, a o krok za nim Meron. Magnat był wyraźnie rozwścieżony nakazem stawienia. Rozdrażnienie emanowało ze sposobu, w jaki kroczył, z jego niespokojnych oczu i wyniosłego zachowania.

Meron był jednocześnie wścibski i podstępny. Wchodząc uklonił się wyłącznie Laradowi, ignorując pozostałych magnatów i zajął pozostawione dla niego miejsce obok Larada. Z jego demonstracyjnych gestów można było wywnioskować, że jest mu za ciasno tam, gdzie go posadzono.

Władca Weyr odpowiedział na pozdrowienie S'lela i wskazał dłoń, gdzie ma usiąść. F'lar bardzo precyzyjnie zaplanował sposób rozmieszczenia gości w Sali Obrad. Rozsądzili brązowych i spiżowych jeźdźców na przemian z magnatami i cechmistrzami. W ogromnej gromadzie było tak ciasno, że trudno się było ruszyć, ale dzięki temu nie było też miejsca na to, by sięgnąć po sztylety, gdyby doszło do poważnej różnicy zdań.

Nagle rozmowy zgromadzonych ucichły.

F'lar podniósł wzrok i zobaczył jak na progu Sali Obrad zatrzymał się krep, rumiany na twarzy eks-jeździec z Ruathy. Lytol powoli podniósł reke, pozdrawiając z szacunkiem Władce Weyr. Odpowiadając na pozdrowienie F'lar dostrzegł uporczywy tik, poruszający lewym policzkiem Lytola.

Lytol, którego małowe spojrzenie wyrażało ból i napięcie nerwowe, szybkim spojrzeniem ogarnął zgromadzonych, po czym uklonił się jeźdźcom ze swego dawnego skrzydła, Laradowi oraz Zurgowi Mistrzowi Cechu Tkaczy, z których on sam się wywodził. Sztywno, jak na nieswoich nogach, poszedł ku jednemu pozostałemu miejscu i usiadłszy wymamrotał pozdrowienie do siedzącego po lewej T'suma.

F'lar wstał.

– Dziękuję wam za przybycie, drodzy Panowie. Nici ponownie opadły na Pern. Ich pierwszy atak został odparty w powietrzu. Lordzie Vincent – tu przygłębiony pan Neratu podniósł na F'lara przestraszony wzrok – wysłaliśmy do winnic nisko lecący patrol, żeby upewnić się, czy nie ma w glebie jam wrytych przez Nici.

Vincent przeknął nerwowo słinę i pobałł na myśl o tym, co Nici mogłyby zrobić z jego płodną ziemią i bujną roślinnością.

– Bedziemy potrzebowali do pomocy twoich najlepszych winobranców.

– Do pomocy? Przecież powiedziałeś, że... pierwszy atak został odparty w powietrzu.

– Nie ma sensu wystawiać się na ryzyko niedopatrzania – odpowiedział F'lar, podkreślając, że ten

patrol może być uważany za jeden ze środków ostrożności, ale na pewno nie jedyny i niewystarczający. Vincent poczuł ścisnięcie w gardle. Patrząc na zgromadzonych szukał w nich współczucia, ale nie znalazł. Wkrótce wszyscy mieli być w takiej samej sytuacji.

- Niedługo wyruszy podobny patrol do Keroon i Ingen - F'lar spojrział kolejno na Lorda Cormana i Lorda Bangerę, którzy przytaknęli z zaszewionymi minami. - Niech mi wolno będzie zapewnić was, że przez następne trzy dni i cztery godziny nie należy się spodziewać dalszych ataków - F'lar przyłożył dłoń do mapy ilustrującej jego słowa. - Nici zaczną mniej więcej tutaj, w Telgar, następnie będą przesuwali się w kierunku zachodnim przez południową, górzystą część Cromu i dalej przez Ruathe i południowy Nabol.

- A skąd ta pewność?

F'lar rozpoznał pogardliwy głos Merona z Nabol.

- Nici nie opadają beładnie - odparł F'lar. - Lecą według schematu, który można przewidzieć; ataki trwają sześć godzin. Przerwy między kolejnymi atakami będą stopniowo ulegały skróceniu w czasie kilku najbliższych Obrótów, bowiem Gorąca Gwiazda będzie się zbliżała do nas. Następnie, w okresie mniej więcej czterdziestu Obrótów, kiedy Gorąca Gwiazda znajdzie się najbliżej naszej planety i będzie okrążać ją, ataki wystąpią co czternaście godzin i będą postępować wokół naszego globu według łatwego do przewidzenia wzoru.

- To ty tak twierdzisz - zadrwił Meron, a przez salę przebiegł słumiony szepot, wskazujący na poparcie, jakie zdobył dla siebie tym stwierdzeniem.

- Tak twierdzą Ballady Instruktorskie - wtrącił Larad zdecydowanie.

Meron rzucił okiem na Lorda z Telgar i mówił dalej:

- Przypominam sobie inną twoją przepowiednię mówiącą o tym, że Nici rzekomo zaczną opadać tuż po przesileniu dnia i nocy.

- Co też zrobili - przerwał mu F'lar - pod postacią czarnego pyłu w regionie północnym. Powinnismy podziękować szczęśliwym gwiazdom za to, że mieliśmy wyjątkowo ciężką i długą zimę w tym Obrócie. To pozbawiło Nici ich aktywności i odroczyło na pewien czas niebezpieczeństwo.

- Pył? - zapytał Nessel z Cromu. - Ten pył to były Nici?

Człowiek ten był jednym z krewnych F'axa i pozostawał pod silnym wpływem Merona. Niemłody już, nauczył się kiedyś od swych bliskich okrutnych metod dokonywania podbojów, ale nie starczyło mu rozumu, by coś w nich udoskonalić lub zmienić. - Moja posiadłość jest pełna tego kurzu. Czy to jest niebezpieczne?

F'lar stanowczo zaprzeczył ruchem głowy.

- Od jak dawna występują zawieje z czarnym pyłem w twojej posiadłości? Od tygodni? Wyrządziły jakieś szkody?

Nessel zmarszczył brwi.

- Interesują mnie twoje mapy, Władco Weyr - powiedział spokojnie Larad z Telgar. - Czy dadzą nam dokładne informacje, dotyczące częstotliwości ataków Nici na nasze posiadłości?

- Tak. Możecie także spodziewać się, że na krótko przed inwazją przybędą tam jeźdźcy - odpowiedział F'lar i dodał - Niemniej jednak, niezbędne będzie podjęcie i przez was samych pewnych środków zaradczych. Dlatego właśnie zwołałem Radę.

- Zaraz, zaraz! - warknął Corman z Keroon. - Chcę mieć własną kopię twoich dziwacznych map. Chcę wiedzieć co naprawdę znaczą te pasy i te faliste linie. Chcę.

- Naturalnie, będziesz miał swój własny wykres czasowy. Zamierzam powierzyć nadzór nad kopiowaniem tych map Mistrzowi Harfilarzy, Robintonowi. F'lar uklonił się z szacunkiem w jego stronę i także poprosił go, by upewnił się, czy wszyscy umieją je właściwie odczytać.

Robinton - wysoki, chudy mężczyzna z ponurą twarzą o ostrych rysach - złożył głęboki ukłon. Na jego szerokie usta wypłynął meznacznym uśmiech, wywołany pełnymi nadziei spojrzeniami Lordów. Jego rzemiosło, podobnie jak i rzemiosło jeźdźców było w ostatnich czasach przedmiotem licznych drwin ze strony możnowładców. Niespodziewany szacunek, z jakim obecnie na niego patrzono, szczerze go bawił. Robinton posiadał wspaniałe rozwiniętą umiejętność dostrzegania śmiesznych stron życia, a jego wyobraźnia czyniła z niego znakomitego satyryka. Toteż bawiła go sytuacja, w której znaleźli się sceptyczni

wysłał F'nora o dziesięć Obrótów w przeszłość, aby zajął się hodowlą tak niezbędnych w Weyr smoków, jeszcze nie wpadli na pomysł zanalizowania Pieśni-Zagadki, ani nie wiedzieli nic o gobelinie.

- Nie opuściłbym tej bitwy, nawet gdybym nie miał smoka - oświadczył F'nor z determinacją.

- To mi przypomina, że będzie jutro w Telgar potrzebowali Lessy - zauważył F'lar. - Wiecie, ona potrafi rozmawiać z każdym smakiem - wyjaśnił T'lonowi i D'ramowi, niemal przepraszająco.

- Och, wiemy o tym - zapewnił go T'lon. - Mardra nie ma nic przeciwko temu. Jako starsza Władczyni Weyr, Mardra naturalnie poprowadzi skrzydło złożone z królowych - dorzucił, widząc skonsternowaną F'lara.

- Królewskie skrzydło?

- Oczywiście - T'lon i D'ram wymienili między sobą pytające spojrzenia, zdziwieni zaskorczonym F'lara. - Chyba dopuszczacie swoje królowe do walki, czy nie?

Nasze królowe? T'lon, my w Benden przez całe lata mieliśmy tylko jednego smoka-królową. Tak było przez tyle pokoleń, że znaleźli się w końcu ludzie, którzy uważają legendy o walczących królowych za czystą herezję.

- Do tej chwili, w zasadzie nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak jesteście nieuczni. Tak czy owak opanował go entuzjazm - królowe są bardzo pożyteczne, jeśli zastosuje się miotacz ognia. Dopadają twoje wiązki Nici, których nie zdołali zniszczyć inni jeźdźcy. Lecą niewysoko, poniżej głównych sił. To dlatego D'ram jest tak bardzo zainteresowany aerozolem trojagenonowym, który na dobrą sprawę nie zerwie nawet włosa z głowy mieszkańcom opryskiwanych terenów, a przy tym, w przeciwieństwie do miotacza ognia, jest korzystny dla pól uprawnych.

Czy naprawdę chcesz przez to powiedzieć, że zezwalacie swoim królowym walczyć z Nici? F'lar zignorował uśmiechy F'nora i T'loni.

Zezwalamy? - ryknął D'ram. - Nie sposób ich zatrzymać. Czy nie znasz treści Ballady?

- „Przejazdzka Morety”?

- Otoż to.

Na widok wyrazu twarzy F'lara, który z irytacją odgarniał przydługie pasmo włosów, opadł na niego F'nor, na oczy, F'nor wybuchnął gromkim śmiechem. Za chwilę opanował się nieco i tylko niezbyt miły, uśmiech pozostał mu na ustach.

- Dzięki. To mi podsuwa pewien pomysł - powiedział F'lar.

Odprowadził Władców Weyrów do ich smoków, pomachał radośnie na pożegnanie Robintonowi i Fandarelowi. Nie przypuszczał wcześniej, że na dzień przed drugą bitwą będzie mu tak lekko. Wziął Szytę Mnemetha, gdzie może być Lessa.

- Kąpie się - odparł spiżowy smok.

F'lar rzucił okiem na pusle legowisko królowej.

- Och, Ramoth jest na Szczycie, jak zwykle - powiedział Mnemeth, wyraźnie zasmucony.

F'lar usłyszał, że odgłosy pluskania w łazience ustały i opuszczał windę po gotujące kłach. Miał nadzieję, że to.

- No i jak. Udało się spotkanie? - spytała słodko Lessa wynurzając się z łazienki. Jej smukła twarz otaczał jedynie ręcznik.

- Wyjątkowo. Naturalnie wiesz, że będziemy cię potrzebowali w Telgar?

Przyjrzała mu się bacznie i w końcu ponownie się uśmiechnęła.

- Jestem jedyną Władczynią Weyr, która umie rozmawiać z każdym smakiem - odparła figlarnie.

Fakt - rzucił F'lar wesoło - i już nie jedynym jeźdźcą w Benden dosiadającym królowej.

Nienawidzę cie! - odcięła się Lessa i nie zdołała już wymknąć się F'larowi, który z gwłtowną poządlwoscia przytagnął ją do siebie i przytulił.

Nawet jeśli powiem ci, że Fandarel ma dla ciebie miotacz ognia i możesz przyłączyć się do królewskiego skrzydła?

Przestała więc się w uścisku i zbита z tropu spojrzała na niego pytająco.

I że Kylara zostanie Władczynią Weyr na południu. W terażniejszosci? Jako Władca Weyr potrzebuje spokoju i ciszy między bitwami.

Ręcznik osunął się na ziemię, a Lessa odpowiedziała z żarliwością na pocałunek F'lara.

- Całkiem nieźle dawałaś sobie radę w Nerat i Keroon. Naprawdę dobrze - powiedział T'ton. Dwadzieścia osiem smoków i jeźdźców wykluczonych z walki. I ty to nazywasz dobrym dowodzeniem?

- Jak na pierwszą bitwę, w której każdy jeździec był jeszcze zielony jak smocze niemowlę? Nie, człowieku. Byłeś na czas w Nerat, chociaż można by powiedzieć, że po czasie - T'ton uśmiechnął się z odrobiną złośliwości - a to właśnie należy do obowiązków jeźdźcy. Nie masz racji. Twierdząc, że to była dobra robota. Dobra robota - powtórzył.

Pozostali czterej Władcy Weyrów potwierdzili zasadność tej pochwały.

Jednakowoż twój Weyr nie dysponuje jeszcze pełną siłą bojową, zatem będziemy uzupełniać twoje oddziały naszymi jeźdźcami ze skrzydeł o niepełnym składzie aż do momentu, w którym będziesz miał wystarczająco dużo własnych jeźdźców i smoków. Och, jakże królowe chwala sobie te czasy. Są w swoim żywiole - uśmiechnął się od ucha do ucha, dając do zrozumienia, że spiszowych jeźdźców również niezmiernie cieszy możliwość walki z Nicmi.

F'lar odpowiedział uśmiechem i pomyślał, że Ramoth była już prawie gotowa do lotu godowego, a tym razem Lessa... och, ta dziewczyna znów była tak zwodniczo słodka. Musi bardziej na nią uważać.

Zostawiliśmy ludziom Fandarela wszystkie miotacze ognia, które przywieźliśmy ze sobą. Dzięki temu będziesz mógł jutro uzbroić wszystkich ludzi z obrony naziemnej.

Tak, t' - dziękuję - powiedział Fandarel. - Zrobimy nowe w rekordowym czasie i niedługo zwrócimy wasze miotacze.

Nie zapomnij o urzędzeniu do rozpylania trojagenonu w powietrzu - wtrącił D'ram.

A zatem ustalamy - T'ton przebiegł wzrokiem po twarzach zgromadzonych jeźdźców - że załogi wszystkich Weyrów spotykają się w pełnym składzie w Telgar trzy godziny po wschodzie słońca. Będziemy ścigać i kłajać Nici aż do Chrom. A propos, F'lar, te twoje mapy, które pokazał mi Robinton są doskonałe. My nigdy takich nie mieliśmy.

Skąd wiedzieliście kiedy Nici zaatakują?

F'ton wzruszył ramionami.

Ataki następowały tak często, nawet jeszcze wtedy, kiedy byłem dzieckiem, że po prostu czuło się, że to następny. Ale twój sposób jest lepszy. Dużo lepszy.

Przeżyjmy jeszcze - dorzucił Fandarel z aprobatą.

Pojutrze, kiedy zjawimy się w Telgar, zażądamy dostaw żywności do pustych jeszcze Weyrów - T'ton wykrzywił twarz w uśmiechu. - Jak w starych dobrych czasach, kiedy wymuszaliśmy na możnowładcach dodatkowe daniny - zatańczę niecierpliwie dlonie. - Jak w starych czasach.

- Jest przecież południowy Weyr - przypominał F'nor. - Opuściliśmy go sześć Obrótów temu naszego czasu i zostawiliśmy stado bydła. Z pewnością się rozmnożyło, a poza tym jest tam pod dostatkiem owoców i zboż.

Bardzo bym się ucieszył, gdyby południowy eksperyment był kontynuowany - oświadczył F'lar, patrząc zachęcająco na F'nora.

Tak, tak. Nie zapomnij wysłać tam też Kylary - dorzucił szybko F'nor.

I zredyskutowali jeszcze kwestie szybkiego sprowadzenia żywności dla wstępnego zaopatrzenia nowych Weyrów i na tym zakończyli naradę.

Trochę człowiekowi nieswojo - powiedział T'ton do Robintona, kiedy we dwóch delektowali się winem - gdy stwierdza, że Weyr, z którego wyjechał przedwczoraj i który zostawił w nienagannym porządku, obrocił się w zakurzone rumowisko. Kobiety z Jaskin Niższych trochę się zafrasowały.

Uporządkowaliśmy te kuchnie - odparł F'lar z oburzeniem. Spokojny, niczym nie zmacony sen ostatniej nocy przywrócił mu dawne siły.

T'ton chrząknął znacząco.

Marda jest zdania, że żaden mężczyzna nie jest w stanie uporządkować czegośkolwiek.

Czy sądzisz, że będziesz w stanie dosiąść jutro smoka, F'nor? - zapytał F'lar z troską. Wyraznie dostrzegał wyczerpanie, malujące się na twarzy przyrodniego brata, choć po przespanej nocy wyglądał już znacznie lepiej. Mimo wszystko ten potworny wysiłek na przestrzeni kilku Obrótów był niezbędny i nawet w obliczu przybycia z przeszłości tysiąca osmiuset smoków, trud ten nie był daremny. Kiedy F'lar

możnowładcy Pernu. Tym razem jednak Mistrz zadowolili się jedynie głębokim ukłonem i powściągliwym oświadczeniem:

- Zapewne wszyscy ołoczą Mistrza należytą troską - stwierdził. Słowa, które wypowiedział swym tubalnym głosem, nie przypominały w niczym prowincjonalnego dialektu, jakim operowała większość zgromadzonych.

F'lar, który chciał właśnie coś powiedzieć, pochwycił nutę ironii w zdawkowej wypowiedzi Robintona i spojrzał na niego ostro. Larad także rzucił na Mistrza krótkie spojrzenie i chrząknawszy, pośpiesznie przerwał niepokojącą ciszę.

- Wszyscy dostaniemy mapy - powiedział, uprzedzając Merona, który już otwierał usta, by przemówić. - Gdy opadną Nici, jeźdźcy przybędą, by z nimi walczyć. Chciałbym teraz wiedzieć, jakie mają być dodatkowe przedsięwzięcia i dlaczego są niezbędne?

Oczy wszystkich ponownie zwróciły się na F'lara.

Mam tylko jeden Weyr w miejsce szesściu, które kiedyś istniały.

Ale chodzą słuchy, że Ramoth zniosła ponad czterdzieści jaj, z których wykluły się już smoki - rzucił ktoś z głębi sali. - Wyjasnij, dlaczego po tym fakcie jeszcze raz szukaliscie kandydatów na jeźdźców wśród naszej młodzieży?

Czterdzieści jeden niedojrzałych jeszcze smoków - sprecyzował F'lar.

W duchu liczył na powodzenie południowej wyprawy. W głosie tego człowieka słychać było wyraźnie strach.

Rozwijają się dobrze i szybko. W tej chwili, kiedy Nici nie uderzają jeszcze z dużą częstotliwością, gdy z Górną Gwiazdą dopiero zaczyna jeden Weyr dysponuje wystarczającą siłą uderzenia... przy założeniu, że uzyskamy wasze współdziałanie na ziemi. Tradycja mówi - tu skłonił się łaktownie ku Robintonowi, który z racji swego zawodu zajmował się jej upowszechnianiem - że wy Panowie jesteście odpowiedzialni wyłącznie za swe domostwa, które oczywiście i tak są odpowiednio chronione przez doły ogniowe i kamienne mury. Ale zważcie, że mamy wiosnę, a wzgórza zarosły dziką roślinnością. Grunty orne pokryły się kwitnącymi bzozami i innymi uprawami. Ta ogromna powierzchnia płodnej ziemi, tak podatnej na niszczące działania Nici, nie może być patrolowana wyłącznie siłami jeźdźców z jednego tylko Weyr, albowiem prowadziłoby to do znacznego wyczerpania tak smoków jak i jeźdźców.

Po tak szczerym i jednoznacznym postawieniu sprawy przez F'lara, przez salę przebiegł gwałtowny pomruk, wyrażający strach i gniew zarazem.

Ramoth wkrótce wznieście się ponownie w godowym locie - komunikował F'lar tonem wyrażającym pewność. - Oczywiście, w dawnych czasach królowe zaczynały znosić zwiększoną ilość jaj na wiele Obrótów przed krytycznym momentem przesilenia dnia z nocą. Wśród tych jaj były też jaja królewskie. Na nasze nieszczęście Jora była chora i stara, a Nermoth niezbyt płodna. W efekcie... - Nie dano mu skończyć.

- Twoi dumni i pyszni jeźdźcy sciążą na nas zagładę!

- Sami jesteście sobie winni - głos Robintona wbił się jak nóż we wrzawę oskarżycielskich okrzyków.

Przyznajcie to wreszcie. Mieliscie Weyr w mniejszym poważaniu niż rynsztok A-lerta. A teraz, gdy siły niszczycielskie pojawiły się na wzgórzach, podnosicie lament. Kiedy ten biedny gad A-lert usiłował was ostrzec przed najezdem i skłonić do przygotowania obrony, wypędziliście go do rynsztoka i zagłodziliście niemal na śmierć. Co teraz zrobicie? Pewnie go jeszcze obijecie? Dzisiejsza sytuacja obciąża wasze sumienia, a nie władcy Weyr i jeźdźców, którzy przez setki Obrótów rzetelnie wypełniali swe obowiązki i dbali o to, by smoczy rodzaj nie wyginął... mimo waszych nieustannych protestów. Ilu z was - ciągnął moralną chłostę Robinton - okazywało hojność i przychylnosc rodzajowi smoczemu? Ileż to razy od czasu, kiedy zostałem Mistrzem swego cechu moi harfciarze skarżyli się, że zostali pobici za śpiewanie starych piosenek, co jest przecież ich obowiązkiem. Zaprawdę, dostojni Lordowie i Cechmistrzowie, zasługujecie na to, by wic się z bólu w swych kamiennych domostwach i w końcu uschnąć jak roślinność na waszych polach.

Wstał.

Żadne Nici nie opadną. To tylko bajdurzenie harfiarza - odezwał się jęklwie, bezbłędnie naśladowując

głos Nessela. – Ci jeźdźcy to pijawki, gotowe wysać z nas cały dobytek i plony – jego głos przybrał zduszone, aluzyjne brzmienie tenoru Merona. – Tak, ta prawda jest tak gorzka, jak uczucie strachu w sercu śmiałego meża i tak trudna do przełknięcia jak gorzka pigułka sztyderstwa. Za ten wasz stosunek do nich, jeźdźcy powinni was teraz zostawić samych na łaskę losu i Nici.

– Bitra, Lemos i ja – odrzwał się wojowniczo Raid, kędzierzawy Lord Benden – zawsze wypełnialiśmy swe obowiązki względem Weyr.

Robinton odwrócił się i pochylił w jego kierunku. Spojrzał na niego przeciągle, badawczo.

– Tak, wy wypełnialiście. Ze wszystkich wielkich majątków wy trzej zachowaliście lojalność. A co z całą resztą? – jego głos wzbierał gniewem. – Znam wasze opinie o rodzaju smoków. Słyszałem też wasze szept o planach inwazji na Weyr – zaśmiał się chrapliwie i wyciągnął swój długi, koscisty palec, wskazując na Vincenta. – Gdzież byś teraz był, szlachetny Lordzie Vincent, gdyby jeźdźcy nie pogonili cie razem z wojskiem z powrotem do twojej osady, zostawiając ci nadzieję na zwrot waszych kobiet? Faktycznie, wy wszyscy – tu po kolei wytknął palcem zbuntowanych onegdaj Lordów – wymaszerowaliście na Weyr, ponieważ twierdziлиście, że... Nici przestały istnieć!

Pochylony, oparłszy obie dłonie na biodrach patrzył przenikliwie na zgromadzonych. F'lar chciał krzyczeć z radości. Nie miał żadnych wątpliwości, dlaczego ten człowiek został obrany Mistrzem Harfiry i dziękował losowi, że Weyr ma takiego stronnika.

– A teraz, w tym krytycznym momencie, macie zdumiewającą czelność by protestować przeciw srodkom zaradczym proponowanym przez Weyr? – w jego głosie brzmiała drwina zmieszana ze zdziwieniem. – Macie słuchać Władcy Weyr i oszczędzić mu swych idiotycznych złośliwości! – wyrzucił z siebie te słowa, jak ojciec strofujący nieposłusznego dziecko. – Jeśli dobrze rozumiem – tu zwrócił się do F'lara, a ton jego głosu był teraz niezwykle uprzejmy – prosiłeś nas o współpracę szlachetny F'larze? W jakim zakresie?

F'lar chrząknął i przystąpił do wyjaśnień.

– Żadam, żeby mieszkańcy osad patrolowali własne pola i lasy, jeśli to możliwe, w czasie ataku Nici, a już na pewno po ich odejściu. Wszelkie nory w ziemi powstałe na skutek agresji muszą być odnalezione, oznakowane, a zapadłe w nie Nici – zniszczone. Im szybciej zostaną odkryte, tym łatwiej można się będzie ich pozbyć.

– Nie ma czasu na wykopanie dołów ogniowych na tak rozległych przestrzeniach.. stracimy połowę gruntów ornych – wykrzyknął Nessel.

– Dawno temu stosowano inne metody. Mam nadzieję, że Mistrz Cechu Kowalskiego je zna – F'lar wykonał uprzejmy gest ręką w kierunku Fandarela.

Cechmistrz był wyższy o kilka cali od wszystkich zgromadzonych w sali mezczyzn; jego masywne zbudowane plecy i silnie umięśnione ramiona opierały się o sąsiadów, mimo że za wszelką cenę starał się uniknąć kontaktu. Kiedy wstał, przypominał swą posturą pien potężnego drzewa.

– Były takie maszyny. Prawda to – mówił powoli, celowo akcentując wyrazy tak, by zebrani słysząc go nabrali przekonania, że myśli intensywnie – Moj ojciec mówił o nich, że są największym cudem kowalskiej roboty. W Pałacu mogą być ich rysunki. Chyba, żeby nie było. Takie rzeczy nie zachowują się długo na skórach – zerknął ukosem spod krzaczastych brwi na Mistrza Cechu Garbarzy.

– Teraz musimy martwić się jak zachować swoją własną skórę – wtrącił F'lar, by zapobiec ewentualnej kłótni między rzemieślnikami.

Fandarel wydał nieokreślony gardłowy dźwięk i F'lar nie był pewny, czy to był siliumiony śmiech, czy też aproba dla jego słów.

– Pomysle nad tą sprawą. Tak samo wszyscy moi koledzy po fachu – zapewnił Fandarel Władce Weyr. – Wypalic Nici z ziemi, żeby nie zniszczyć gleby – to może nie być takie łatwe, ale po prawdzie, są takie płyny, co płoną i są żrące. Używamy jednego takiego kwasu do robienia wzorów na sztyletach i ozdobach z metalu. My kowale nazywamy go trojagenonem. Jest też „czarna cieczka woda” płynąca na powierzchni w sadzawkach w Ingen i Boll. Pali się długo i daje dużo ciepła. Jeśli też jest tak jak mówisz, że zimno rozбивa Nici na pył, to może lod z najzimniejszych łądów na północy mogłby zamrozić i rozbić Nici wryte w ziemię. Tylko problem w tym, żeby ten lod przetransportować tam, gdzie spadną Nici, bo one przecież nie spadną tam, gdzie my chcemy – wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Och, wkrótce się pozbietają – powiedziała Lessa i zaśmiała się w odpowiedzi na dezaprobatę R'gula.

– Muszą się pozbietać, jeśli mamy oczyścić niebo z Nici – warknął gniewnie R'gul.

– W tej chwili to już nie jest problem – zapewnił go F'lar spokojnie.

– Nie problem? Mam tylko sto czterdzieści cztery smoki.

– Dwiescie szesnaście – poprawiła go Lessa z nariskiem.

– Czy Mistrz Kowalski zbudował skuteczny miotacz ognia? – zapytał, ignorując zupełnie jej uwagę.

– Nie inaczej – odparł F'lar, uśmiechając się szeroko.

Jeźdźcy z pięciu Weyrów przywieźli ze sobą cały sprzęt bojowy. Fandarel niemal zerwał im z pleców miotacze i niewątpliwie przed nastaniem następnego dnia każdy kowal na kontynencie wykonał duplikat tego urządzenia. T'lon powiedział F'larowi, że w jego epoce każda Osada była wyposażona w taką ilość miotaczy, że można było uzbroić w nie wszystkich mieszkańców. W czasie Długiego Interwatu miotacze zapewne przetopiono albo uznawszy je za nieprzydatne, wyrzucono i zapomniano o nich. D'ram doszedł do wniosku, że lepszy od miotaczy jest skonstruowany przez Fandarela rozpylacz trójagenonu, albowiem może on jednocześnie służyć do nawożenia gleby.

– Tak, jeden lub dwa miotacze to lepsze niż nic. Przydadzą się nam pojutrze.

– Znaleźliśmy coś, co będzie nieporównanie skuteczniejsze – wtrąciła Lessa i pospiesznie, przeprosiwszy mężczyzn, pobiegła do sypialni.

Zza kotary w drzwiach dobiegły ich dźwięki jakby śmiechu czy szlochu. R'gul zmarszczył brwi. Ta dziewczyna była zdecydowanie za młoda na stanowisko Władczyni Weyr w tak ciężkich czasach.

– Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, jak krytyczne jest nasze położenie? Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę oddział F'nora, o ile w ogóle będą w stanie latać? – gniewnie zapytał R'gul. – Powinieneś całkowicie zabronić jej opuszczania Weyr.

F'lar pusił te uwagi mimo uszu i zaczął nalewać sobie kielich wina.

– Kiedyś twierdziłeś, że tych pięć opuszczonych Weyrów stanowi dowód na poparcie twojej teorii, że Nici już nigdy nie zaatakują Pernu.

R'gul przełknął ślinę. Pomyslał, że kaganiec się, nawet jeśli tego właśnie oczekiwał od niego Władca Weyr, nie pomoże im zwalczyć Nici.

– W istocie, część tej teorii była słuszną – ciągnął F'lar, nalewając kielich dla R'gula. – Twoja interpretacja była jednak błędna. Te Weyry były puste, ponieważ ich mieszkańcy... przybyli tutaj.

R'gul zatrzymał kielich w poł drogi do ust i podejrzliwie popatrzył na F'lara. Ten człowiek też był za młody, by udźwignąć brzemie swych obowiązków. Ale... zdawał się naprawdę wierzyć w to co mówi.

– Możesz wierzyć lub nie, R'gul, a i tak nie później niż za dzień uwierzysz – tych pięć Weyrów nie świeci już pustkami. Oni są tutaj w Weyrach, w terazniejszości. Przyłączą się do nas pojutrze w Telgar. Są w sile tysiąca osmiuset smoków, mają miotacze ognia i mają doświadczenie w prowadzeniu walki.

Przez dłuższą chwilę R'gul patrzył w milczeniu na tego biednego człowieka. Powoli, z godnością postawił kielich na stole i obróciwszy się na pięcie wyszedł z pomieszczenia. Nie chciał, by dłużej wystawiano go na pośmiewisko. Ponieważ już pojutrze mają walczyć z Niemcami, to zrobi najlepiej, jeśli zaraz opracuje plan przejęcia władzy w dniu jutrzejszym.

Kiedy następnego dnia rano ujrzał klucz wspianych spizowych smoków niosących Władców Weyrów i dowodców skrzydeł na konferencję, R'gul samotnie i cicho upił się.

Lessa wymieniła pozdrowienia ze swymi przyjaciółmi, a następnie uśmiechając się słodko, opuszczała zgromadzonych, tłumacząc się, że musi nakarmić Ramoth. F'lar odprowadził ją wzrokiem pełnym troski, po czym przywitał się z Robintonem i Fandarelem, których także zaproszono na spotkanie. Obaj Cechmistrzowie nie mówili wcale, ale też nie uronili ani jednego słowa wypowiedzianego na konferencji. Ogromna głowa Fandarela zwracała się ku kolejnym mówcom. Z rzadka tylko mrugał swymi głęboko osadzonymi oczami. Na twarzy Robintona malował się nieznaczny uśmiech. Obecność gości z przeszłości sprawiała mu widoczną rozkosz.

F'lar, który chciał zrezygnować z tytułarnej pozycji Władcy Weyr w Benden, albowiem, jak twierdził, był zbyt mało doświadczony, został szybko zakrzyżany.

siebie. I oto znów byli w Ruatha. Smoki radośnie uformowały imponujący szyk. Na tle światła Pałacu widniały sylwetki Lytola, wysokiego Robintona i... F'lara

Metaliczny głos Mnemetha powitał przybyszy. Ramoth jak burza wylądowała i porzuciwszy Lesse poleciała do swego partnera, by spleść z nim radosnie szyje.

Lessa, niezdolna do wykonania żadnego ruchu, stała tam, gdzie zostawiła ją Ramoth. Czula, że Mardra i T'ton stoją przy niej. Całą jej uwagę pochłaniał widok F'lara, który co sił w nogach pedził przez Podwórcę na jej spotkanie. A ona nie mogła się nawet ruszyć.

- Lessa, Lessa urywany głos F'lara śpiewnie brzmiał w jej uszach. Przycisnął jej twarz do swojej i miażdząc jej usta aż do utraty tchu zaniechał swej pieczołowicie wyuczonej obojętności. Pocałował ją, uscisnął, objął, uniósł po czym rozgorączkowany wycisnął na jej ustach kolejny pocałunek. Raptem, opuszczając ją na ziemię chwycił ją za ramiona. - Lesso, jeśli jeszcze raz... - powiedział akcentując każde słowo skurczem palców i nagle przerwał, uswiadamiąc sobie, że otacza ich grono uśmiechających się przybyszów.

Mówiłam wam, że będzie mną potrząsał - mówiła Lessa, zalewając się łzami. - Ale F'larze, przyprowadziłam ich wszystkich.. wszystkich z wyjątkiem Benden Weyr. To właśnie dlatego porzucono piec Weyrów. To ja ich przyprowadziłam.

F'lar rozejrzał się wokół. Popatrzył ponad głowami Władców Weyrów i zobaczył mnóstwo, całą masę smoków siadających w dolinie, na wzgórzach, wszędzie gdziekolwiek spojrzal. Widział smoki niebieskie, zielone, szpazowe, brązowe i całe skrzydło złożone wyłącznie ze złotych krolowych.

- Przyprowadziłaś Weyry - powtórzył oszołomiony.

Tak. Oto Mardra i T'ton z Fort Weyr, D'ram i...

Przerwał jej lekkim szarpnięciem za ramiona, po czym przyciągnął ją do swego boku, aby móc zobaczyć i przywitać gości

- Nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak jestem wam wdzięczny - powiedział i zamilkł, albowiem zbyt wiele słów jednocześnie cisnęło się mu na usta

T'ton wystąpił naprzód i wyciągnął do niego dłoń. F'lar uscisnął ją mocno.

Mamy tysiąc osiemset smoków, siedemnaście krolowych i wszystko co niezbędne dla założenia naszych Weyrów.

Przywieźli też miotacze ognia - wtrąciła podniecona Lessa.

Ale żeby polecieć... żeby spróbować czegoś takiego - szepnęła F'lar ze zdumieniem i podziwem.

T'ton, D'ram i inni gruchneli śmiechem.

Twoja Lessa to wspaniała...

...przewodniczka, zwłaszcza że całe jej zadanie wykonała za nią Gorąca Gwiazda - skończyła Lessa kromnie.

- Jesteśmy jeźdźcami - ciągnął T'ton poważnie - tak jak ty F'larze z Benden. Powiedziano nam, że są tu Nici, z którymi należy walczyć, a to robota dla jeźdźców... w każdej epoce!

Mimo że zakładano właśnie piec Weyrów wokół doliny w Ruatha, F'lar był zmuszony sciągnąć z powrotem swych ludzi z południa. Wyczerpani życiem w „podwójnym czasie”, byli u kresu wytrzymałości. Ślaniając się na nogach, z ulgą i wdzięcznością powracali do swych domostw, które opuścili dwa dni i zarazem dziesięć obrotów temu.

R'gul, całkowicie nieswiadomy tego, że Lessa dokonała wyprawy w przeszłość, powitał F'lara i Władczyne Weyr, wracających do Weyr, wiadomościami o pojawieniu się F'nora z siedemdziesięcioma dwoma nowymi smokami. Dodał zaraz, że wątpi, czy którykolwiek z jeźdźców w tej grupie będzie w stanie wziąć udział w walce

- Nigdy w życiu nie widziałem tak wyczerpanych ludzi - papiał R'gul - nie mogę pojąć co im się stało: przecież mieli tyle słońca, zarcia i w ogóle, a przy tym żadnych obowiązków.

F'lar i Lessa wymienili spojrzenia.

- Cóż, R'gul, południowy Weyr powinien być zachowany. Przemyśl to sobie.

- Jestem walczącym jeźdźcą, a nie babą - warknął stary jeździec. - Trzeba by czegoś więcej niż podróz „pomiędzy”, żeby mnie doprowadzić do tak żalosnego stanu.

F'lar patrzył na niego zdziwiony. Czy ten człowiek nie zdawał sobie sprawy z własnej śmieszności. Ale nie, mówił ze szczerą troską.

Cechmistrz podrapał się połącznymi palcami w głowę tak mocno, że słychać było szorowanie paznokci o grube włosy i twardą czaszkę

- Ciekawa sprawa. Ciekawa - mruknął bynajmniej nie zniechęcony trudnościami w rozwiązaniu tego problemu. - Rozważę ją bardzo dokładnie. - Usiadł, a solidna ława zatrzęszczała pod jego ciężarem.

Mistrz Cechu Rolników uniósł niesmiało dłoń, prosząc o głos

- Przypominam sobie, że kiedy zostałem Cechmistrzem, natrafiłem gdzieś na wzmiankę o tym, jak nasi przodkowie hodowali w Ingen robaki piaskowe i używali ich jako środka ochrony gleby.

- Nie słyszałem, żeby w Ingen było cokolwiek pożytecznego z wyjątkiem piachu i upałów - rzucił ktoś z sali

- Każdy pomysł może okazać się dobry - odparł F'lar ostro, usiłując zidentyfikować wicherzyciela. Proszę Cechmistrzu, żebyś odnalazł te wzmianki, a ciebie, Lordzie Banger z Ingen, żebyś znalazł mi kilka tych robaków!

Banger, nie mniej zaskoczony wiadomością, że jego jałowe grunty miały w sobie coś wartościowego, skwapliwie przytaknął

- Dopoki nie zdobędziemy skuteczniejszego środka do unicestwienia Nici, wszyscy mieszkańcy osad muszą się zorganizować podczas inwazji w grupy bojowe, które odszukają nory Nici, a następnie będą wrzucać do nich płonący ogień. Wolałbym nie narażać ludzi na ciosy zadane przez Nici, ale wiemy jak szybko potrafią one zakopać się w ziemię. Nie wolno nam pozostawić żadnej, by mogła rozmnażać się bez przeszkód. Jeśli nie będziecie działać - zrobił wymowny gest w stronę Lordów - możecie stracić więcej niż inni. Strzeżcie nie tylko samych siebie, bowiem jama po jednej stronie granicy posiadłości może powiększyć się i wejść na teren sąsiada. Zmobilizujcie każdego mężczyznę, wszystkich kobiety, dzieci, rzemieślników i rolników. Zróbcie to zaraz.

W Sali Obrad panowało ogromne napięcie, oszołomienie wizją niebezpieczeństwa. Przeciwnie je wystąpienie Zurga - Mistrza Cechu Tkaczy.

- Mój fach też ma coś do zaoferowania... co jest zresztą naturalne, jako że mamy do czynienia z nimi przez całe nasze życie - głos Zurga był cichy i oschły; spojrzenie jego osadzonych za wąską szparą między powiekami oczu przesłakiwało szybko po twarzach zgromadzonych. Widziałem kiedyś w osadzie Ruatha na ścianie pałacowej komnaty gobelin... Gdzie on teraz jest? Ktoż to wie? - spojrzal z szelmowskim uśmiechem na Merona z Nabol i Barga z High Reaches, który był spadkobiercą tytułu i tej posiadłości Faxe. - Dzieło to było tak stare jak rodzaj smoczy i przedstawiało, posród innych rzeczy, stojącego człowieka, który niośł na plecach dziwne urządzenie. W obu dłoniach trzymał cylindryczny przedmiot o długości miecza, a z przedmiotu tego dobywały się języki płomieni, uderzające w ziemię. Było to wspaniałe utkane nicią barwioną pomarańczowo-czerwoną farbą - nam już nie znana. U góry naturalnie znajdowały się smoki w ciasnym szyku bojowym - głównie szpazowe smoki... dziś nie umiemy sporządzić farby oddającej wiernie kolor ich skóry. Pamiętam to dzieło z dwóch powodów: z uwagi na wiele zapomnianych technik, jakimi je tworzone i dla jego treści.

- Miotacz ognia? - wykrzyknął kowal. - Miotacz ognia - powtórzył cichym głosem. - Miotacz ognia - wymamrotał, marszcząc silnie swe krzaczaste brwi w głębokim zamysleniu. - Miotacz jakiego ognia? Trzeba się nad tym zastanowić - opuścił nisko głowę, tak pochłonięty próbą rozwiązania nowego problemu, że stracił zupełnie zainteresowanie dalszą dyskusją.

Tak, to prawda, Zurg. Wiele rozmaitych sposobów, technik i receptur stosowanych w każdym rzemiośle uległo w ostatnich obrotach zapomnieniu - stwierdził F'lar. - Jeśli chcemy zostać przy życiu, musimy te wiedzę zrekonstruować... i to szybko. Chciałbym zwłaszcza odzyskać gobelin, o którym mówił Cechmistrz Zurg.

F'lar znacząco zawiesił wzrok na tych spośród Lordów, którzy po śmierci Faxe toczyli spór o prawa do siedmiu pozostawionych przez niego posiadłości ziemskich.

- Być może pozwoli nam uniknąć wielu strat. Proponuję, żeby wrócił na swoje miejsce do Ruathy, albo niech się pojawi w warsztacie Zurga lub Fandarela - jak wam wygodniej.

Wśród zgromadzonych zapanowało chwilowe poruszenie, ale nikt nie przyznał się do posiadania dzieła.

- Zatem niechaj będzie zwrócony synowi Faxe, obecnemu Lordowi z Ruathy - odpowiedział F'lar z wymuszonym uśmiechem.

Lytol fuknął pod nosem i potoczył groźnym spojrzeniem po zgromadzonych. F'lar spodziewał się raczej, że całe to zajście wyda się Lytolowi zabawne i widząc jego reakcję poczuł ukłotne współczucie dla osieroconego Jaxoma, którego wychowaniem zajmował się ten ponury, chociaż uczciwy człowiek.

- Jeśli wolno mi coś powiedzieć, Władco Weyr - wtracił Robinton - wszyscy możemy wyciągnąć korzyści ze studiowania starych Kronik, które każdy w domu posiada. Uśmiechnął się nagle z zakłopotaniem. - Przyznaje, że ogarnia mnie w tej chwili wstyd, albowiem my, Harfciarze usunęliśmy z naszego repertuaru niepopularne ballady i skapiliśmy niektórych dłuższych Ballad Instruktazowych i Sag... z braku słuchaczy, a czasem w trosce o wyniesienie całą swoją skórę.

F'lar zamaskował śmiech nagłym kaszlem. Robinton był geniuszem.

- Muszę zobaczyć ten gobelin z Ruathy - wyrwał się nagle Fandarel.

- Jestem przekonany, że wkrótce będzie w twoich rekach - zapewnił go F'lar z udaną pewnością. - Moi Lordowie, czeka nas wiele pracy. Teraz, kiedy już wiecie w obliczu jakiego niebezpieczeństwa stoimy, pozostawiam w waszych rekach sprawę organizacji swoich ludzi w majątkach. Sami wiecie najlepiej jak tego dokonać. Rzemieslnicy! Niech najbystrzejsi z was zajmą się naszymi szczególnymi problemami: niech przejrzą wszystkie Kroniki, które mogą wniesić coś nowego do rozważanych zagadnień. Lordowie z Telgar, Crom, Ruathy i Nabol! Będzie z wami za trzy dni. Lordowie z Nerat, Keroon oraz Ingen! Jestem do waszej dyspozycji, jeśli będziecie potrzebowali pomocy przy niszczeniu nor na terenie waszych posiadłości. Korzystając z faktu, że jest między nami Mistrz Gornikow, powiadomcie go o swoich potrzebach. Jak przebiega praca w kopalniach?

- My szczęśliwie mamy pełne ręce roboty. Władco Weyr - odparł Mistrz.

W tym momencie F'lar dostrzegł F'nora stojącego w zacięzionym korytarzu, który wiodł do Sali Obrad. F'nor usiłował sięgnąć na siebie jego spojrzenie. Brązowy jeździec promieniał w uśmiechu i było oczywiste, że ma wiele wiadomości do zakomunikowania.

F'lar zastanawiał się jak mogli tak sprawnie i szybko wrócić z Południowego Kontynentu i wtem usłyszał, że F'nor znowu jest opalony. Krotkim, urwanym ruchem głowy dał mu znak, żeby oddalił się do pomieszczeń sypialnych i tam na niego poczekał.

- Lordowie i Cechmistrzowie, każdemu zostanie oddany do dyspozycji młody smok. Użyjcie ich do przesyłania wiadomości i do transportu. A teraz, zycze dobrego dnia!

Wyszedł z Sali Obrad i udał się korytarzem do legowiska królowej. Kiedy rozsunął rozhustane jeszcze kotary u wejścia do sypialni, F'nor właśnie nalewał sobie kielich wina.

- Sukces! - zawołał F'nor widząc F'larą. - Chociaż nigdy nie pojme skąd wiedziałeś, że należy wysłać dokładnie trzydziestu dwóch kandydatów. Sądziłem, że obrazasz tym naszą szlachetną Pridith, ale ona złożyła trzydziści dwa jaja w ciągu czterech dni. Gdy pojawiło się pierwsze nie wytrzymałem i odłożyłem swój wyjazd do chwili, kiedy skończyła składanie jaj.

F'lar zareagował na te wieści serdecznymi gratulacjami. Świadomość, że całe to przedsięwzięcie które początkowo wydawało się być pechowe, da w rezultacie pewne korzyści przyniosła F'larowi ulgę. Wszystko czego mu było w tej chwili potrzeba, to dowiedzieć się jakos o ile dłużej F'nor przebywał na południu do chwili jego wizyty ubiegłej nocy, kiedy z obiedem w oku wpadł do Archiwum. Dzisiaj na jego opalonej, uśmiechniętej twarzy nie znac było jeszcze żadnego śladu przygnębienia, czy wyczerpania.

- Nie ma jaja królewskiego? - spytał F'lar z nadzieją w głosie. Można by było wysłać w przeszłość kolejną królową i powtórzyć eksperyment, skoro pierwszy udał się, dając im dodatkowe trzydziści dwa smoki.

F'nor zasepił się.

- Nie. A byłem pewny, że będzie. Ale jest czterdzieści szpiżowych. Pod tym względem Pridith przewyższyła Ramoth - dodał z dumą.

- A co poza tym słychać w Weyr?

F'lar podniósł na niego oczy, marszcząc brwi w zakłopotaniu. Usłyszał sobie, że próbował unieść kubek z winem przytrzymywany zdecydowanie przez Robintona.

- Co mówiles?

- Chodź. Będzie ci towarzyszył do Benden i nikt nie odwiedzi mnie od tego zamiaru. Człowieku, przez tych kilka godzin postarzałeś się o całe lata.

- A czyż to nie jest zrozumiałe - wrzasnął F'lar, zrywając się na nogi. Wylewał beżsilną złość na najbliższy cel - na Robintona.

Robinton ze wzrokiem pełnym współczucia, wyciągnął rękę i chwycił mocno F'larą za ramię.

- Panie, nawet ja, Mistrz Harfiarzy, nie potrafię znaleźć słów godnych wyrażenia współczucia i czci jaką cie darzę, ale musisz się przespaciać. Musisz przetrwać dzień jutrzejszy, a pojutrze musisz stanąć do boju... - głos mu się załamał. - Jutro trzeba będzie sprowadzić F'nora... i Pridith.

F'lar obrócił się na plecie i ruszył w kierunku nieszczęsnych drzwi Pałacu w Ruatha.

Przed nimi wystrellała w górę Wielka Wieża w Ruatha. W świetle zmierzchu ujrzał wyraźnie wysokie mury okalające Pałac.

Gwałtowny, głośny dźwięk trąbki ogłaszającej alarm zagłuszony został przez rozrywający uszy grzmot wywołany niespodziewanym pojawieniem się setek smoków, które natychmiast, skrzydło za skrzydłem uformowały pełny szczyk bojowy, wypełniając przestrzeń powietrzną nad dolną.

Drzwi Pałacu otworzyły się i smuga światła padła płamą na kamienie flagowe przed Dworem.

Lessa poleciała Ramoth wyładować w pobliżu Wieży i zeskoczywszy z grzbietu swego smoka pobiegła przed siebie, by powitać ludzi, którzy wysypywali się przez drzwi na jej spotkanie. W tłumie rozpoznała krepą postać Lytola, który trzymał na wyciągniętej wysoko ponad głowę dłoni misę z płonącymi żagwiami. Jego widok przyniósł jej taką ulgę, że zapomniała o swej dawnej awersji do Straznika.

- Pomylił się o dwa dni, Lessa - wykrzyknął, gdy tylko zbliżył się do niej na tyle, że mógł przekrzyknąć hałas wywołany lądowaniem smoków.

- Pomyliłam się? Jak mogłam się pomylić? - dyszała Lessa.

T'ton i Mardra staneli przy niej.

- Nie ma powodu do zmartwienia - zapewnił ją Lytol, ujmując w uścisku jej dłoń. Z radością rozbiegającymi oczami uśmiechnął się. - Spudlowaliście. Wracajcie „pomiędzy”, wracajcie do Ruathy sprzed dwóch dni. Ot, i cała filozofia - uśmiechnął się szeroko, widząc jej konsternację. - Nic się nie stało - powiedział, poklepując jej dłoń - wez te samą godzinę, Pałac, wszystko, ale wyobraź sobie dodatkowo F'larą, Robintona i mnie stojących na kamieniach flagowych. Umieść Mnementha na Wielkiej Wieży i niebieskiego smoka na schodach. A teraz, w drogę.

- Mnementh? - zapytała Lessa Ramoth niecierpliwie oczekująca spotkania ze swym partnerem. Pochyliła ogromną głowę, a w jej wielkich ślepiach błysnęły iskrinki podniecenia.

- Nie rozumiem - jęknęła Lessa. Mardra otoczyła jej ramiona przyjacielską ręką.

- Ale ja rozumiem. Rozumiem, zaufajcie mi - błagał Lytol, niesmiało poklepując Lessę po plecach. Szukając poparcia spojrzał na T'tona. Jest dokładnie tak, jak mówił F'nor. Nie można być w kilku różnych punktach czasu i nie czuć potwornego wyczerpania, a kiedy zatrzymaliście się o dwanaście Obrotów od tej chwili, Lessa niespodziewanie zaniemogła.

- Ty o tym wiesz? - wykrzyknął T'ton.

- Oczywiście. Po prostu cofnięcie się o dwa dni. Teraz rozumiecie, że wiem o wszystkim. Naturalnie wtedy będę bardzo zdziwiony, ale teraz, dzisiejszej nocy, wiem że pojawiliście się, dwa dni wcześniej. No, lećcie już! Nie próbujcie nawet dyskutować! F'lar był na wpół przytomny ze zmartwienia o ciebie.

Będzie mną potrząsał. Lessa rozplakała się jak mała dziewczynka.

- Lessa! - T'ton wziął ją za rękę i zaprowadził z powrotem do Ramoth, która przykuksnęła, żeby Lessa mogła jej dosiąść.

T'ton przejął pełne dowodzenie. Poleciał swemu Fidrathowi, żeby przekazał pozostałym smokom punkty orientacyjne, które podał Lytol, a Ramoth uzupełniła ten obraz o opis Mnementha i ludzi na kamieniach flagowych.

Chłod „pomiędzy” otrzewił Lessę, mimo że błąd, który popełniła mocno podważył jej wiarę w samą

ieskniała za nim bardziej niż się spodziewała. Ponadto obawiała się, że Ramoth rozpocznie gody bez Mnemetha. Nie ulegało wątpliwości, że wiele spiżowych smoków i ich jeźdźców z ochotą przyjąłoby takie rozwiązanie, ale Lessa nie wyrażała żadnego nimi zainteresowania.

T'lon i Mardra obarczyli ją zadaniem opracowania wielu szczegółów związanych z organizacją exodusu, albowiem należało zrobić tak, żeby w Weyrach nie pozostał po nich żaden ślad – z wyjątkiem gobelinu i Pieśni-Zagadki, która miała zostać skomponowana w jakiś czas po ich odlocie.

Ze łzami ulgi w oczach Lessa poleciła Ramoth, by wzniosła się ponad Gwiezdny Kamień Fort Weyr i zajęła miejsce obok T'ona i Mardry na tle spowitego mrokiem nocy nieba.

We wszystkich pieru Weyrach wspaniałe oddziały jeźdźców uformowały się w powietrzu, demonstrując gotowość opuszczenia swej epoki.

Gdy tylko smoki Władców Weyrów zameldowały Lessie, że wyobraziły już sobie punkty orientacyjne wyznaczone przez położenie Gorącej Gwiazdy, Lessa – podróżnik z przyszłości – dała rozkaz odlotu.

Wykonali jedenaście skoków „pomiedzy”. Podczas krótkich postojów między kolejnymi etapami podróży spiżowe smoki Władców Weyrów konsultowały się z Lessą, która koordynowała całe przedsięwzięcie. Z tysiąca osmiuset niezwykłych podróżników tylko czterech nie zdołało przenieść się w przyszłość – wszyscy czterej dosiadali niemłodych już smoków. Jeźdźcy wszystkich pięciu oddziałów uzgodnili, że przed ostatnim skokiem o długości zaledwie dwunastu Obrótów, zatrzymają się na krótki posiłek i napiją się gorącego kłah.

– Łatwiej jest – mówił T'lon, gdy Mardra podała im kłah – pokonywać odcinek o długości dwudziestu pięciu Obrótów niż dwunastu – spojrzał w górę na ich wiernego przewodnika – pulsującą nierównomiernym światłem Gorącą Gwiazdę – W tak krótkim czasie nie zmieni ona w widoczny sposób swego położenia. Liczę na to Lesso, że podasz nam dodatkowe punkty orientacyjne.

– Chce was zabrać do Ruathy, zanim F'lar odkryje, że wyjechałam – spojrzawszy na Gorącą Gwiazdę zadrżała na całym ciele i pospieszenie przypięła się ustami do naczynia z gorącym kłah. – Raz już kiedyś widziałam Gwiazdę właśnie taką jak teraz... nie, dwa razy... W Ruatha – patrzyła szeroko otwartymi oczami na T'ona – Poczula ściskanie w gardle na wspomnienie tamtego dnia, w którym nabrała przekonania, że Gorąca Gwiazda stanowi dla niej zagrożenie. Było to w trzy dni po przybyciu do Ruathy F'la i F'lara. Fax oddał życie przebijając sztyłem F'lara, a ona pojechała do Benden Weyr. Nagle poczuła się jak pijana. Ogarnęła ją słabość i dziwny niepokój. Pomiedzy poprzednimi etapami podróży nie czuła się tak źle.

– Co ci jest, Lesso – spytała troskliwie Mardra. – Jesteś taka biała. Drżysz – otoczyła Lessę ramieniem i popatrzyła z przejęciem na T'ona.

– Dwanaście Obrótów temu byłam w Ruatha – wymamrotała Lessa, chwytając reke Mardry w poszukiwaniu oparcia. – Byłam w Ruatha dwukrotnie. Odlatujemy szybko. Za dużo mam wrażeń, jak na jeden ranek. Muszę wracać. Muszę wracać do F'lara. Na pewno będzie się na mnie bardzo gniewał.

Nula historii w jej głosie zaniepokoiła Mardre i T'ona.

T'lon pospiesznie rozkazał wygasić ogniska i przygotować się do ostatniego skoku w przyszłość.

Z umysłem zmaconym chaosem myśli, Lessa przekazała smokom Władców Weyrów kilka obrazów służących za punkty orientacyjne. Ruatha w świetle zapadającego zmierzchu, Wielka Wieża, Pałac, pejzaż wiosenny...

* * *

Lyot i Robinton wmusili we F'lara posiłek celowo obficie zakrapiany winem. Z głębi świadomości do F'lara dobiegał głos mówiący mu, że musi się wziąć w garść, ale czuł, że to ponad jego siły. Jego zwykła energia gdzieś się zapodziała. Myśl o tym, że są jeszcze Pridith i Kylara, dzięki którym będzie można utrzymać ciągłość smoczego rodzaju, nie przynosiła mu żadnej ulgi. Stałe odkładał na później wydanie polecenia, żeby sprowadzić z powrotem F'nora. Wezwanie Pridith i Kylary byłoby równoznaczne z akceptacją faktu, że Lessa i Ramoth nie powrócą. F'lar nie czuł się na siłach stawiać czoła takiej rzeczywistości.

„Lessa, Lessa” – jej imię dźwięczało mu nieustannie w myśli. Targany sprzecznymi uczuciami, to potępiał jej nieostrożną, bezmyślną śmiałość, to uwielbiał ją za próbę dokonania tak niewiarygodnego wyczynu.

– Słuchaj F'lar. Teraz bardziej potrzebujesz snu niż wina – głos Robintona przeciął tok jego myśli.

F'lor zmarszczył brwi i pokiwał głową ziewając z odpowiedzią, jakby to pytanie wprawiło go w zakłopotanie.

– Kylara... no roz, są z nią kłopoty. Stałe rozrabia. T'bor nie ma z nią lekkiego życia i ostatnio zrobił się tak drażliwy, że wszyscy go unikają. Młody N'lon – F'lor rozchmurzył się nieco – ma już zadatki na dobrego dowódcę skrzydła a jego spiżowy smok może przesiągnąć Ortha T'bora, kiedy Pridith ponownie wzniesie się w locie godowym. Nie znaczy to, że chciałbym, żeby Kylara była partnerką N'tona... czy czyjaśkolwiek.

– Jakies kłopoty z zaopatrzeniem?

F'lor zaśmiał się beztrząsko.

– Gdybyś nie wydał zdecydowanego polecenia, że nie wolno nam kontaktować się z wami tutaj, moglibyśmy zaopatrywać was w owoce i świeże warzywa, które są o niebo lepsze od czegokolwiek co rośnie na polnocy. Wszyscy jeźdźcy powinni jadac tak jak my! F'lar, musimy pomyśleć o założeniu tam bazy zaopatrzeniowej. Wtedy nie trzeba będzie martwić się o transporty z dziesięcina i...

Wszystko we właściwym czasie. Teraz wracaj. Sam rozumiesz, że twoje wizyty muszą trwać krótko.

F'lor wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Och, nie jest tak złe. W tej chwili mnie tu nie ma.

– Fakt – zgodził się F'lar – ale nie pomyśl się w obliczaniu czasu, żebyś się przypadkiem nie zjawił, kiedy tu będziesz.

– Hm? A, tak. Jasne. Stałe zapominam, że dla nas czas płynie powoli, podczas gdy dla was – pędzi na złamanie karku. Dobra, nie pojawiaj się tu ponownie do chwili kiedy Pridith po raz wtóry zniesie jaja.

Rzucając radośnie słowa pożegnania, F'lor dziarskim krokiem opuścił sypialnię. F'lar w zamysleniu patrzył jak oddala się w kierunku Sali Obrad. Trzydziestu dwa młode smoki, w tym czternaście spiżowych, to nie było mało. Eksperyment wydawał się być wart ryzyka. A jeśli ryzyko stanie się większe?

Ktoś chrząknął głośno, by przyciągnąć na siebie uwagę. F'lar podniósł wzrok i ujrzał Robintona, stojącego w wejściu, które prowadziło do Sali Obrad.

– Zanim sporządzą kopie tych map i pouczą innych, Władco Weyr, muszę najpierw sam je dokładnie poznać i zrozumieć. Osmieiliłem się zatem pozostać w Weyr.

– Byłeś wspaniały, Cechmistrzu.

– Bronisz szlachetnej sprawy, Władco Weyr. Błagałem niebios – jego oczy błysnęły złośliwie – o możliwość przemawiania do tak szlachetnej publiczności.

– Kielich wina?

– Winne grona z Benden są przedmiotem zazdrości całego Pernu.

– O ile ktoś posiada podniebienie godne tak delikatnego bukietu.

– Smakosze o nie dbają.

F'lar zastanawiał się, kiedy ten człowiek przestanie bawić się słowami. Zapewne chodziło mu o coś więcej niż poznawanie map.

– Mam w pamięci pewną balladę, której nie śpiewałem od czasu, gdy zostałem Cechmistrzem, z uwagi na to, że brak w niej konkluzji – rzekł niezwykle poważnie, gdy skończył delektować się winem. – Jest to niespokojna pieśń, zarówno w warstwie tekstowej jak i muzycznej. Kiedy jest się harfiarzem, trzeba nauczyć się pewnej wrażliwości, która pozwoli ocenić czego ludzie chcą słuchać, a co odrzucać... siłą. – Wykrzywił usta w uśmiechu, wracając pamięcią do niezbyt odległych czasów, kiedy ludzie wrogo przyjmowali harfarzy. – Zrozumiałem, że ta ballada drażniła zarówno śpiewaka jak i słuchaczy, i wyłączyłem ją ze śpiewnika. Obecnie, tak jak ten gobelin, zasługuje na ponowne odkrycie.

Po śmierci C'gana, jego instrument powieszono na ścianie w Sali Obrad, aby czekał tam dnia, w którym wybierze się nowego śpiewaka Weyr. Gitara była bardzo stara, a jej pudło wykonane zostało z cienkiej warstwy drewna. Stary C'gan zawsze miał ją nastrojoną i przechowywał instrument w pokrowcu. Mistrz Harfarzy ujął ją z nabożeństwem i uderzając lekko w struny uniósł w zachwycie brwi, słysząc przepiękne brzmienie.

Uderzył akord – dysonans. F'lar zastanawiał się czy to gitara jest rozstrojona, czy harfiarz przypad-

kowo szarpnął niewłaściwą strunę, ale Robinton powtórzył dziwny akord, modulując go w nietypowy moll tak, że dźwięk zabrzmiał jakos nieprzyjemnie, bardziej nawet od poprzedniego.

- Mówiłem ci, że to niespokojna pieśń. Ciekaw jestem, czy znasz odpowiedzi na pytania, które stawia, albowiem ja dziesiątki razy próbowałem rozwiązać tę zagadkę bezskutecznie.

Jego słowa przeszły w śpiew.

Wszyscy odeszli, odeszli przed siebie.

Tylko echo powtarza pytanie.

Pusty, zamarty Weyr...

Dlaczego jeźdźcy odeszli?

Dokąd odeszły smoki?

Tylko wichry hulają po Weyrach.

Jak pusto, jak obco dokola -

Odeszli nasi obroncy... lecz dokąd?

Czy zamieszkaliby w nowym Weyr,

Gdzie Nici sięgają zniszczenia?

Ile światów ich od nas dzieli?

Dlaczego, och dlaczego pusty Weyr?

Zabrzmiał ostatni, płaczący akord.

- Naturalnie wiesz, że ta pieśń została zapisana w roczniku harfiarskim jakieś czterysta Obrotów temu - powiedział Robinton, obejmując gitarę tak, jakby troskliwie trzymał w ramionach niemowlę. - Gorąca Gwiazda właśnie zakończyła Przejście i ataki Nici już nie sięgały celu. Ludzie jednak nie wiedzieli o tym jeszcze i nie dziwne, że fakt zniknięcia jeźdźców z pięciu Weyrow był dla nich szokiem. Wyobrażam sobie, że w tym czasie ludzie wymyślili niejedno wytłumaczenie tego zjawiska, ale żadne... nawet jedno z nich... nie jest utrwalone w piśmie. - Robinton urwał znacząco.

- Ja również nie znalazłem żadnego - odparł F'lar. - Prawde mówiąc, przyniesiono mi Kroniki z pozostałych Weyrow, bo chciałem sporządzić wykres czasowy, ilustrujący ataki Nici, ale rzeczywiście wszystkie po prostu urywają się... - nie wypowiadając zdania do końca F'lar uczynił ruch dłonią, jakby dokonywał cicia nożem. - W Kronikach pochodzących z Benden nie ma żadnej wzmianki o zarazie, masowej śmiertelności, pożarze czy kataklizmie - ani słowa wyjaśnienia tej nagłej przerwy w utrzymywaniu stosunków z pozostałymi Weyrami. Kroniki Benden opisują dalsze wydarzenia, ale dotyczące jedynie Benden. Jest tylko jedna wzmianka, którą można by łączyć z tym masowym zniknięciem, a mianowicie fakt, że rozpoczęto patrolowanie całego Pernu, co nie leżało bezpośrednio w zakresie obowiązków jeźdźców z Benden. I to wszystko.

- Dziwne - mruknął Robinton. - Kiedy niebezpieczeństwo ze strony Gorącej Gwiazdy przeminęło, jeźdźcy mogli, załóżmy, odejść w „pomiędzy”, żeby nie być ciężarem dla mieszkańców Pernu, którzy musieli składać dziesięcine. Trudno mi jednak w coś podobnego uwierzyć. Kroniki naszego cechu mówią, że plony były wyjątkowo niskie i że miały miejsce różne kataklizmy, inne niż Nici. Ludzie co prawda potrafią być odważni, a jeźdźcy wśród nich są przecież najdzielniejsi, ale - masowe samobójstwo? Po prostu nie mogę przyjąć takiego wytłumaczenia... nie w przypadku jeźdźców.

- Serdeczne dzięki - rzucił F'lar z nutą ironii.

- Drobiazg - odparł Robinton i skinął łaskawie głową.

F'lar zaśmiał się lekko, z uznaniem.

- Wydaje mi się, że za bardzo izolowaliśmy się tu, w Weyr, od świata.

Robinton wysączył ostatnią kroplę z kielicha i patrzył nań tęsknie, aż F'lar uzupełnił go winem.

- Wasza izolacja jednak na coś się przydała i muszę przyznać, że wspaniale stłumiła ten bunt Lordów - wtrącił Robinton, uśmiechając się szeroko. - Gwizdnąć im kobiety w czasie tak krótkim jak jeden oddech smoka! - jego ciałem wstrząsnął krótki śmiech. Nagle spoważniał i patrząc F'larowi prosto w oczy rzekł: - Jestem chyba jak nikt inny przyzwyczajony do słuchania tego, czego zwykle nie mówi się na głos. Podejrzewam, że w czasie dzisiejszych obrad nie przedstawiłeś w pełni prawdziwego obrazu sytuacji. Możesz polegać na mojej dyskrecji... i możesz być całkowicie pewny pełnego poparcia z mojej strony i całego mojego cechu, bynajmniej nie pozbawionej możliwości oddziaływania na ludzi. Krótko

Harfiarz zachichotał przewrotnie i Lessa nabrała pewności, że jej wskazówki były wystarczające.

- Rozgorzała dyskusja na temat: jak bezpiecznie wykonać tak długi lot, aby nie zakłócić funkcjonowania zmysłów. Przedstawiono również wiele konstruktywnych pomysłów, dotyczących sposobu odnalezienia punktów odniesienia na drodze do przyszłości, ale okazały się one niepraktyczne. Pięć Weyrow, do których się wybierali, nie było w czasach Lessy zasiedlonych, a ona podczas gigantycznego skoku w przeszłość nie zatrzymywała się po drodze dla zebrania pośrednich znaków czasu.

- Mówiłaś, że skok „pomiędzy” okresami odległymi o dziesięć Obrotów nie wywołuje niepożądanych objawów? - spytał Lesse T'lon, kiedy Władcy Weyrow zebrali się ponownie, by przełamać impas powstały na poprzednich spotkaniach.

- Żadnych. Zabiera... hm, raptem tyle czasu co skok „pomiędzy” dwoma punktami w przestrzeni

- Skok przez czterysta Obrotów wytracił ci zupełnie z równowagi. Hmm. Może segmenty czasu o długości dwudziestu pięciu Obrotów będą wystarczająco bezpieczne.

Już wyglądało na to, że ta propozycja spotka się z ogólną aprobatą, gdy przemówił D'ram, rozważny wódz z Ista Weyr.

- Nie chciałbym, żeby to co powiem zostało odebrane jako chowanie głowy w piasek, ale istnieje jedna kwestia, która nie została poruszona. Skąd będziemy wiedzieli, że wskoczyliśmy w czasy Lessy? Łałanie „pomiędzy” jest ryzykownym zajęciem. Ludzie często giną, a Lessa też ledwie uszła z życiem.

- Śluszna uwaga, D'ram - zgodził się pospiesznie T'lon - ale sądzę, że istnieją fakty, które dowodzą, że polecieliśmy... polecieliśmy w przyszłość. To właśnie one skłoniły Lessę do działania. Już choćby sam fakt jakiegoś nagłego zajścia, które spowodowało porzucenie pięciu Weyrow, jaki pchnął Lessę do tego, by przybyć do nas z prośbą o pomoc, może służyć za taki dowód.

- Zgoda, zgoda - przerwał mu D'ram z troską - chodzi mi jedynie o to, czy możemy mieć pewność, że dotrzemy do czasów Lessy? Te czasy jeszcze nie nadeszły. Skąd można to wiedzieć?

T'lon nie był jedynym człowiekiem wśród zgromadzonych, który gorączkowo szukał odpowiedzi na postawione pytanie. Raptem uderzył obłema dłońmi o blat stołu.

- Na jajo, stoimy przed alternatywą: umierać powoli nie robiąc nic albo umrzeć szybko - próbując. Dość już mam tego spokojnego życia, które my jeźdźcy musimy prowadzić po odejściu Gorącej Gwiazdy po to, by osiągnąwszy wiek starczy odejść w „pomiędzy”. Wyznaje, że jest mi jakos przykro, kiedy widzę jak plama Gorącej Gwiazdy kurczy się na tle nieba o zmierzchu. Słuchajcie, nie bójmy się ryzyka. Jesteśmy jeźdźcami smoków; wychowano nas w duchu walki z Nicmi. Czyż nie tak? Udaćmy się na polowanie... czterysta Obrotów w przyszłość!

Ściągnięta twarz Lessy odprężyła się. Musiała przyznać, że nie można było wykluczyć tej możliwości, o której mówił D'ram. Myśl o tym wypełniła jej serce lekkiem. Mogła na własną odpowiedzialność ryzykować swoim życiem, ale ryzykować życiem kilkunastu setek jeźdźców i smoków oraz towarzyszących im pozostałych mieszkańców pięciu Weyrow?...

Donośne słowa T'łona raz na zawsze przekreśliły jej wątpliwości.

- Jestem przekonany - triumfalny głos Mistrza Harfiarzy wdarł się w chór głosów, wyrażających poparcie dla stanowiska T'łona - że znam niezbędne punkty orientacyjne na drodze do przyszłości. Dwadzieścia Obrotów, czy dwadzieścia setek, to nieistotne ile. Istnieje niezawodne rozwiązanie. T'lon sam je już przedstawił: „Gorąca Gwiazda kurczy się na tle nieba o zmierzchu...”

Później, kiedy wykreślali orbite Gorącej Gwiazdy, zrozumieli jak proste było to rozwiązanie i aż śmiali się, że ich odwieczny wróg będzie dla nich drogowskazem.

Na szczyście Fort Weyr, podobnie jak na szczyście każdego Weyru, leżały potrzebne gazy. Gazy te ustawione były w taki sposób, że w pewnych dniach roku, na podstawie ich rozmieszczenia można było ocenić, czy Gorąca Gwiazda, która poruszając się po nierównej orbicie wykonywała trwające dwadzieścia Obrotów okrążenie słońca - zbliża się, czy oddala od Pernu. Po przestudiowaniu Kronik, które oprócz innych jeszcze informacji dawały opis wędrówki Gorącej Gwiazdy po niebie, bez trudu opracowano dla każdego Weyru plan wykonywania skoków „pomiędzy” czasem nad własnymi bazami, bowiem gdyby prawie tysiąc osiemset objuczonych smoków usiłowało dokonać tego w jednym miejscu, niewątpliwie miałyby miejsce kolizje.

Teraz każda minuta spędzona tutaj wydawała się Lessie wiecznością. Już miesiąc nie widziała F'łara i

MŁODY DZIENNIKARZ ALFRED JAAS USIŁUJE ROZWIKŁAĆ TAJEMNICĘ, NIEUCHWYTNEGO „CZŁOWIEKA BEZ TWARZY.” NIEMAL W KAŻDEJ SWOJEJ PODRÓŻY SŁUŻBOWEJ TRAFIA NA JEGO ŚLADY, LECZ JESZCZE NIGDY NIE UDAŁO MU SIĘ SPOTKAĆ KOSMICZNEGO ROBINA HOODA. PO SZCZĘŚLIWIE ZAKOŃCZONYCH POSZUKIWANIACH GROŹNEJ BANDY KANALIZATORA, JAAS ZAMIERZA WŁAŚNIE POPROSIĆ SWOJEGO SZEFA O ZAŚLUSZONY URLOP, LECZ...

SZEFIE! JEST REPORTAŻ! CHCIAŁBYM PANA PROSIC O...

OK. DOSTANIESZ PREMIE. ALE PRZEDTEM POLECISZ NA ZŁEP. WŁAŚNIE PRZED CHWILĄ, ZDOBYŁEM NIEZWYKLE CENNE INFORMACJE.

SZEFIE, ONE MNIE ROZSZARPIĄ...

DOSTANIESZ SALLY JAKO OCHRONĘ. A-PRESS JAKO PIERWSZA MUSI MIEĆ MATERIAŁ Z TEGO ZJAZDU NA HETERZE. I TY GO PRZYWIEZIESZ.

CHODZ, AL. PRZY MNIE ZŁEP NIG CI NIE ZROBI.



O CZYM MYŚLISZ, KOCHANIE?

SAMOBÓJCA NA HETERZE



**LXIX
ZŁR**

DZIEKUJĘ WSZYSTKIM
UCZESTNICZKOM ZJAZDU
W IMIENIU NOWEGO ZARZĄ-
DU LIGI. PRZYSTĘPUJEMY
TERAZ DO PIERWSZEGO
PUNKTU OBRAD: SPRAWY
NIEJAKIEGO SALVATORA
TARLEY'A

OBURZENIEM PRZEJ-
MUJE NAS FAKT POR-
WANIA MŁODEJ, NIE-
WINNEJ VEGANKI
GRYX. GDYBY
TARLEY TRAFIŁ
NA KTÓRAS
Z NAS...

POKA-
ZAC MU!

WŁASNIE,
DLACZEGO
NIE KTÓRAS
Z NAS!?

Pff!

JAK JĄ GO
DOPADNĘ!

PO MNIE,
KOCHANA,
PO MNIE!

A CO ON
BY Z TOLĄ
ROBIŁ?

Z DROGI
STARA
KŁĘPO!

STAC!
WSZYSTKO MUSI
JEDYĆ SIĘ Z ZACHO-
WANIEM WŁASCIWYCH
FORMALNOŚCI. OCZY-
WISZNIE TARLEYA DO
UJĘCIU NIE PRZEKA-
ZEMY RZĄDOWI, BO
SAMIEC Z SAMCEM
ZAWSZE SIĘ
DOGADA...

...JENIEC DO-
ZOSTANIE W
DYSPOZYCJI
WŁADZ LIGI!
KTO ZA?
SPRZECI-
WÓW NIE
WIDZĘ.

UFF!
NA SZCZĘ-
CIE BYLIŚMY
NAJBLIŻEJ
DRZWI.

ZORIENTUJ SIĘ CO UCHWA-
SIŁY, A JA ZAMYKAŁ NA
STATEK. GDYBY MNIE
TERAZ DOPADŁY...

W PORZĄDKU.
WROCE ZA PÓŁ
GODZINY I ZAD-
NEJ OBCEJ BA-
BY NA STATEK
NIE WPUSZ-
CZAJ, BO JAK
ZOBACZĘ...

UU-HAAJ



- Moja droga, teraz już całkowicie ci wierzymy - odparła szczerze Mandra. - Dokonałaś wyjątkowo bohaterskiego czynu.

- Nie sądź - odpowiedziała Lessa - żeby z tą wiedzą, którą teraz posiadam zdobyła się na to ponownie.

- Tak, F'lar potrzebuje skutecznego wsparcia z naszej strony, ale jeśli weźmiemy pod uwagę szok jaki wywoła skok „pomiedzy” w przyszłość to przyznacie, że mamy twardy orzech do zgryzienia - zauważył T'lon.

- Wierciecie? Połecicie?

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak - powiedział T'lon ponuro, wymuszając uśmiech. - Powiedziaś, że opuściliśmy Weyry... a raczej porzuciliśmy je nie stawiając żadnego wyjaśnienia. Połecielismy dokądś... do kiedyś raczej, bo przecież wciąż jesteśmy tutaj.

Ucichli wszyscy, bowiem jednocześnie przyszła im do głowy ta sama myśl: Weyry zostały opuszczone, ale Lessa nie dysponowała żadnym dowodem na to, że te piec Weyrow pojawiło się w jej czasach.

- Musi istnieć jakiś dowód. Musi! krzyknęła Lessa panicznie. - Poza tym nie ma czasu do stracenia. Nie ma zupełnie czasu!

T'lon zaśmiał się krótko.

- Moja droga, na tym krancu historii jest bardzo dużo czasu.

Zmusili Lessę do odpoczynku. Bardziej niż ona sama przejęci byli jej kilkutygodniową chorobą, w której delirycznie krzyżała, że spada, że nie widzi, nie słyszy. Jak jej powiedziano, Ramoth także nie wyszła bez szwanku z przerażającej nicości, z przedłużającego się pobytu w „pomiedzy”. Kiedy pojawiła się nad Ruathą sprzed czterystu Obrotów jej dawniej muskularne ciało wyglądało jak bladzielne widmo.

Ojciec Mandry, Lord z Ruathy, bliski był szaleństwa na skutek zaskoczenia wywołanego pojawieniem się na progu swego domu slaniających się jeźdźca-kobiety i bladej królowej. Naturalnie, i na całe szczęście, posłał do Fort Weyr po swą córkę, z prośbą o pomoc. Następnie Lessę i Ramoth przetransportowano do Fort Weyr, a Lord z Ruathy odczytał całe zajście najwyższą tajemnicą.

Kiedy Lessa odzyskała siły, T'lon zwołał Władców poszczególnych Weyrow na naradę. O dziwo, nikt z nich nie sprzeciwił się projektowi odlotu... Postawili jedynie dwa warunki: problem szoku czasowego musi zostać jakos rozwiązany, muszą znać punkty odniesienia na drodze w przyszłość. Lessa szybko pojęła dilerzkiego jeźdźcę smoków z taką niecierpliwością chcieli przenieść się w przyszłość. Większość z nich urodziła się w okresie wojny z Nicmi. Teraz, już prawie od czterech miesięcy zajmowali się wyłącznie wykonywaniem nudnych, rutynowych patroli i doskwierała im monotonia takiego życia. Gry Wojenne stanowiły bladą namiastkę prawdziwych bitew, które niedawno staczali. Osady, które dotychczas okazywały im niemal przesadną życzliwość, stopniowo obojętne. W miarę opadania fali strachu wywołanej atakami Nici, Władcy Weyrow coraz częściej dostrzegali objawy niechęci ludności Pernu wobec jeźdźców. Pogarszające się nastroje tak w Weyrach, jak i w osadach były jak podstępna, wyczerpująca choroba. Alternatywa, z którą wystąpiła Lessa była z pewnością lepsza od powolnego upadku grożącego im w ich epoce.

Spotkania Lessy z Władcami Weyrow były pieczołowicie utrzymywane w tajemnicy przed Władcą Benden Weyr. Ponieważ Benden przeżywał do czasów Lessy, jego mieszkańcy musieli pozostać w niewiedzy, a sam Weyr nienaruszony, aż do jej czasów. Sam fakt pobytu Lessy w Fort Weyr również musiał być zatajony, bowiem w jej epoce nikt o tym nie wiedział.

Nalegała, żeby wezwano Mistrza Harfiarzy, gdyż jej Kroniki mówiły, że został wezwany. Kiedy jednak ten poprosił, by mu podała słowa Piesni-Zagadki uśmiechnęła się i odmówiła.

- Kiedy okaże się, że Weyry zostały porzucone przez jeźdźców, napiszesz ją ty sam, albo twój zastępca - powiedziała mu Lessa. - To musi być twoje dzieło, a nie powtórzenie moich słów.

- Ciężkie to zadanie, kiedy się wie, że trzeba skomponować Piesń, która za czterysta Obrotów będzie tak cenną wskazówką.

- Pamiętaj tylko - ostrzegła go - że to jest Piesń Instrukcyjna. Musi mieć specyficzną melodię, która ocali ją od zapomnienia, bowiem Piesń ta stawia pytania, na które ja muszę odpowiedzieć.

mówiąc, jak moi harfciarze mają ci pomóc? - szarpnął struny instrumentu w rytmie żywego marsza. - Rozgrzać ludzi za pomocą ballad o minionej sławie i dawnych zwycięstwach? Wzmocnić ich psychiczne i fizyczne siły, by umieli stawiać czoła trudom? - melodia dobywająca się spod jego rozpedzonych palców zmieniła się gwałtownie w surowy, zdecydowany rytm.

- Gdyby wszyscy twoi harfciarze umieli poruszać ludzi, tak jak ty, nie martwiłbym się, że nawet pięćset dodatkowych smoków, gdybyśmy je mieli, mogłoby w krótkim czasie zginąć.

A zatem, mimo twych odważnych słów i wspaniałych map, sytuacja jest bardziej rozpaczliwa niż mówiłaś, a raczej przezornie nie mówiłaś.

- Może być.

- Czy miotacze ognia, o których przypominał Zurg i które ma zrekonstruować Fandarel będą istotnie liczącym się atutem w naszym reku?

F'lar bacznie obserwował tego rozumnego człowieka i po chwili podjął szybką decyzję.

- Nawet robaki piaskowe z Ingen będą pomocne, ale w miarę zbliżania się Gorącej Gwiazdy, interwały pomiędzy dziennymi atakami ulegną skróceniu, a my będziemy dysponować jedynie siedemdziesięcioma dwoma nowymi smokami. Do tej liczby należy dodać te, które walczyły wczoraj. Zresztą jeden z nich już nie żyje, a kilka nie będzie w stanie latać przez wiele tygodni.

- Siedemdziesiąt dwa? - zapytał krótko zaskoczony Robinton. - Ramoth dała zaledwie czterdzieści, a i te są jeszcze za młode, by polykać ognia.

F'lar nakreślił wizję ekspedycji, którą prowadził w tym momencie F'nor i Lessa. Opowiedział o pojawieniu się F'nora i o jego ostrzeżeniu, a także o tym, że eksperyment częściowo się powiódł, gdyż w jego wyniku Pridith dała życie trzydziestu dwóm smokom.

- Jakim sposobem F'nor mógł powrócić z takimi wiadomościami, skoro nie ma jeszcze żadnej wiadomości od Lessy czy Południowy Kontynent nadaje się do życia? - zapytał zdziwiony Robinton.

- Smoki mogą poruszać się „pomiedzy” nie tylko w przestrzeni, lecz również w czasie. Przelatują w inny czas równie łatwo jak w inne miejsce.

Robinton, pojmując treść nowiny wytrzeszczył zdumione oczy.

- Dzięki temu właśnie uprzedziliśmy wczoraj rano atak Nici w Nerat. Skoczyliśmy „pomiedzy” czasem o dwie godziny wstecz, aby stawić czoła Niciom w chwili natarcia.

- Potraficie naprawdę skoczyć wstecz? Jak daleko w przeszłość?

Nie wiem. Kiedy uczyłem Lessę latania na Ramoth, ta niechęć wróciła do Osady w Ruathę o swicie trzynastu Obrotów temu, w chwili kiedy Fax rozpoczynał natarcie ze wzgórz. Kiedy Lessa wróciła do teraźniejszości, tym razem ja spróbowałem skoku w czasie o parę Obrotów wstecz. Dla smoka poruszanie się „pomiedzy” w czasie i przestrzeni jest błahostką, natomiast wszystko wskazuje na to, że dla jeźdźców takie skoki są potwornie wyczerpujące. Wczoraj po powrocie z Nerat, kiedy to musieliśmy udać się do Keroon, czułem się tak, jakby moje ciało zostało zmiażdżone i wystawione na działanie palących promieni letniego słońca na Równinie Ingen - F'lar pokręcił głową, jakby nie chciał dać wiary swoim słowom. - Niewątpliwie udało nam się wysłać Kylare, Pridith i innych „pomiedzy” o dziesięć Obrotów wstecz, ponieważ F'nor zameldował mi, że są już tam od kilku Obrotów. Daje się jednak zauważyć coraz silniejsze wyczerpanie ludzi. Ale nawet siedemdziesiąt dwa dojrzałe smoki to zysk.

Wyslij jeźdźca w przyszłość, żeby zobaczył, czy to wystarczy - zaproponował Robinton. - Oszczędzisz sobie kilku dni smartwienia.

- Nie wiem jak dostać się w czas, który jeszcze nie nadszedł. Smokowi trzeba podać pewne dane orientacyjne. Jakie jednak dane o czasie przyszłym możesz mi podać, skoro ich nie znasz, bo jeszcze ich sam nie widziałeś.

- Masz wyobraźnię. Dokonaj projekcji.

I strac smoka; w sytuacji, w której nie wolno mi szafować życiem żadnego z nich? Nie! Muszę prowadzić dalej ten eksperyment. zresztą sądząc z powrotu F'nora, niewątpliwie zdecydowałem się go przeprowadzić. To mi z kolei przypomina, że muszę wydać wyjeżdżającym na południe rozkaz pakowania. Później przystąpię do objaśnienia ci map z wykresami czasowymi.

Dopiero w jakiś czas po południowym posiłku, który Robinton spożył wraz z Władcą Weyr, Cech-

mistrz nabrał całkowitej pewności, że rozumie treść przedstawionych mu map i opuścił Weyr, by rozpocząć ich kopiowanie.

Nad morzem toczącym swe fale z łoskotem Szybują dwa smoki – brązowy ze złotym. Przed nimi kontynent zamarły w pokorze Czy znajdą tam życie? – Ta misja pokaże...

Kiedy Ramoth i Canth wyniosły swych jeźdźców ponad Gwiezdny Kamień, Lessa i F'nor dostrzegli pierwszą grupę Lordów i Cechmistrzów, zdążających na Obrady.

Lessa i F'nor doszli do wniosku, że w celu przeniesienia się na Południowy Kontynent o dziesięć Obrótów wstecz najłatwiej będzie najpierw skoczyć „pomiędzy” czasem do Weyr sprzed dziesięciu Obrótów, który F'nor doskonale pamiętał, a następnie przelecieć „pomiędzy” w przestrzeni tak, by znaleźć się nad morzem u wybrzeży zapomnianego Południowego Kontynentu, których opis znaleziono w Kronikach.

F'nor dokonał projekcji konkretnego dnia sprzed dziesięciu Obrótów na umysł Cantha, a Ramoth wkrótce też odebrała ten obraz, kontaktując się z brązowym smokiem. Przerazliwy chłód „pomiędzy” zaparł Lessie dech w piersi. W chwili później widok ludzi krzających się w Weyr dziesięć Obrótów temu przyniósł jej ulgę i zanim się obejrzała smoki porwały ich „pomiędzy”, wynosząc nad wzburzone morze Południa.

W oddali, w ponurym świetle pochmurnego dnia, czaiła się purpurowa plama Południowego Kontynentu. Lessa poczuła jak podniecenie zajmuje miejsce dotychczasowego niepokoju związanego z przemieszczaniem się w czasie. Uderzając powietrze głębokimi pociągnięciami ogromnych skrzydeł, Ramoth ruszyła w kierunku odległego wybrzeża. Canth mężnie usiłował dotrzymać jej kroku.

- *To tylko brązowy smok* – upominała Lessa swą złotą królową.

- *Kiedy leci za mną musi trochę wyciągać skrzydła* – odparła chłodno Ramoth.

Lessa uśmiechnęła się. Pomyślała, że Ramoth wciąż czuje rozgoryczenie, że nie było jej dane walczyć wspólnie ze smokami z Weyr. Wszystkie samce będą musiały przez jakiś czas znosić jej humory. Ujrzeni najpierw stado wherów i doszli do wniosku, że na Kontynencie musi być jakaś roślinność. Whery co prawda mogą przez jakiś czas prawie w ogóle nie jeść, ograniczając się jedynie do pozerania robaków, ale z natury są stworzeniami roślinożernymi.

Lessa poprosiła Cantha, żeby powtórzył swemu jeźdźcowi jej pytania:

- *Jeśli Południowy Kontynent został całkowicie wyniszczony i pozbawiony soków życia przez Nici, to jakim cudem pojawiło się tu znowu życie? Skąd wzięły się whery?*

- *Widziałas kiedyś jak pekają i otwierają się gniazda nasienne, a wiatr roznosi po świecie zarodki przyszłych roślin? A widziałas kiedykolwiek whery, odlatujące jesienią na południe?*

- *Tak, ale...*

- *No właśnie!*

- *Ale przecież ta ziemia została wyjałowiona.*

- *Nawet popalone przez Nici wzgorza na naszym kontynencie potrzebują czasu krótszego niż czterysta Obrótów, by zazielenić się na wiosnę* – odparł F'nor przez Cantha – *zatem można założyć, że Południowy Kontynent mógł także odżyć.*

Nawet przy tempie, jakie narzuciła Ramoth trzeba było niemało czasu, by dotrzeć do poszarpanej linii brzegowej, tworzonej przez nieprzyjemnie wyglądające, niezwykle twarde skały, oświetlone przyćmionym, ponurym światłem. Lessa jęknęła z odrazą, ale kazała Ramoth wzlecieć ponad wzgorza zasłaniające widok ładu w głębi. Z tej wysokości wszystko wydawało się szare i bez życia. Wtem przez grubą pokrywę chmur błysnęło słońce, a szary ład zamigotał żywymi barwami zieleni i brązu, odsłaniając widok bujnej roślinności tropikalnej. Okrzyk triumfu, który wydała Lessa złą się z głośnym „hura” F'nora i metalicznie brzmiącymi głosami smoków. Spłoszone niezwykle dźwiękami whery poderwały się z piskiem ze swych gniazd.

W głębi, za wysokim, skalistym cyplem, ład schodził łagodnie w dół, tworząc pokrytą trawą płaskowyzłoczony dżungla. Przypominał nieco Środkowy Boll. Mimo że F'nor i Lessa spędzili cały ranek na

T'ton, dorzucając żagwi do azurowych koszy umocowanych do ścian, spoziierał przez ramie na Lessę sprawdzając, czy światło ją nie razi.

- *Ramoth!* – wykrzyknęła Lessa i siadła na posłaniu. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że umysł smoka, z którym nawiązała kontakt nie należy do Ramoth.

- *Ach, to ta* – zasmiała się Mardra z udanym przestraszonym. - *Ona gotowa jest wygryźć nas wszystkich w Weyr. Nawet moja Loranth musiała zawołać pozostałe królowe, żeby pomogły jej okiełznać Ramoth.*

- *Wyleguje się na Gwiezdnym Kamieniu w takiej pozycji, jakby była ich właścicielką i stała lamentuje – dodał T'ton mniej życzliwie. – Ha! Wreszcie ją uspokojono – tu wymownie chwycił palcami swoje ucho, tak jak ojciec strofujący niesfornego syna*

- *Mozecie polecieć, prawda?* – wyrzuciła z siebie Lessa.

- *Polecieć? Dokąd polecieć, moja droga?* – spytała zaskoczona Mardra. - *Stale coś bredziłaś o tym, żebyśmy „polecieć”, o nadciągających Niciach, o Gorącej Gwieździe w polu widzenia Skalnego Oka i... moja droga, czy nie wiesz, że Gorąca Gwiazda oddaliła się od Pernu już dwa miesiące temu?*

- *Nie, nie, one właśnie zaatakowały. To dlatego cofnęłam się „pomiędzy” czasem.*

- *Cofnęłaś się? „Pomiędzy” czasem?* – wykrzyknął T'ton, przyglądając się Lessie podejrzliwie i podszedł do łóżka.

- *Czy mogłabym dostać jeszcze trochę kłah? Wiem, że to co mówię wydaje się nie mieć sensu, bo i nie obudziłam się jeszcze na dobre. Nie jestem jednak ani szalona, ani nadal chora, a cała sprawa jest dość skomplikowana.*

- *Tak, niewątpliwie* – przytaknął T'ton ze zwodniczą łagodnością, ale jednak opuścił winę do kuchni po kłah Powoli, jakby zbliżał się do niebezpiecznego zwierzęcia, przyciągnął krzesło do jej łóżka i usiadł, by usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- *Z całą pewnością nie jesteś szalona* – rzekła uspokajając Mardra i patrząc znacząco na swego partnera dorzuciła – *w przeciwnym razie nie dosiadałabyś królowej.*

T'ton nie mógł nie zgodzić się z takim argumentem. Lessa czekała na kłah. Przyjęła naczynie z wdzięcznością i drobnymi łyżkami pociągała gorący, wzmacniający napój.

Kiedy skończyła pić, wzięła głęboki oddech i zaczęła swą opowieść o długim interwale między groźnymi Przejęciami Czerwonej Gwiazdy; o tym jak jedyny pozostały Weyr popadł w niełaskę i był traktowany z pogardą, o moralnym upadku Jory i utracie przez nią kontroli nad swą królową, co w rezultacie wpłynęło na zgnęśnienie Nermoth i ta, mimo że Gorąca Gwiazda już się zbliżała, nie znosiła większej ilości jaj; o tym, jak dobrała się z Ramoth i w konsekwencji została Władczynią Benden Weyr; o tym, jak F'lar przechrztył zbuntowanych możnowładców w dzień po pierwszym locie godowym Ramoth i rozpoczął rządy silnej ręki, przygotowując Weyr na przyjęcie walki z Nicmi, których ataku oczekiwał. Opowiedziała też Mardrze i T'tonowi, którzy tym razem słuchali jej z najwyższym zainteresowaniem, o swoich pierwszych próbach lądowania – na Ramoth i o tym jak nieumyślnie poleciała „pomiędzy” do Ruathy, cofając się w czasie do dnia, w którym Fax dokonał najazdu na Osadę w Ruatha.

- *Najazd... na moją rodzinną Osadę!* – wykrzyknęła Mardra w osłupieniu.

- *Ruatha dała Weyrom wiele sławnych Władczyń* – powiedziała Lessa z szelmowskim uśmiechem, na co T'ton odpowiedział gromkim śmiechem. - *Ona jest z Ruathy, to nie ulega wątpliwości* – zapewnił Mardre.

Lessa opisała im sytuację, w której obecnie znajdowali się jeźdźcy – zbyt małe siły, by stawiać czoła Nicim. Następnie wspomniła o Pieśni-Zagadce i wspaniałym gobelinie

- *Gobelin?* – wykrzyknęła Mardra przejęta, unosząc dłoń do twarzy. - *Opisz mi go!*

Kiedy Lessa spełniła tę prośbę ujrzała, że nareszcie oboje jej wierzą.

- *Mój ojciec właśnie zlecił wykonanie gobelinu przedstawiającego taką właśnie scenę. Niedawno mi ją opisał, albowiem ostatnia bitwa z Nicmi została stoczona właśnie nad Ruathą.*

Mardra, jakby jeszcze nie mogła w to wszystko uwierzyć, zwróciła się do T'tona, który już nie wyglądał na rozbawionego

Niewątpliwie dokonała tego o czym nam tu mówiła, bo skądże mogłaby wiedzieć o gobelinie?

Mozecie również zapytać o to swoją i moją królową – zaproponowała Lessa.

- Są w zasadzie takie same jak dziś z tym, że nadproża nie są rzeźbione, nie ma Podwórca i Wieży.
 - Jasne! Och, na pierwsze jajo, jakież to proste. Zurg mówił, że ten arras jest stary. Lessa musiała dojść do wniosku, że łączy sobie właśnie czterysta Obrotów i użyła go jako obrazu odniesienia dla swego smoka. Na tej podstawie odleciała „pomiędzy” w czasie.
 - Ha! Zatem jest już tam cała i bezpieczna – wykrzyknął Robinton i z ulgą opadł na krzesło.
 - Och nie, Harliarzu! To nie jest takie proste – wymamrotał F'lar, a Robinton ujrzał jak na twarzy Lytola odbija się przygnębione spojrzenie i rozpacz Władcy Weyr.
 - Jak to?
 - „Pomiędzy” nie ma nic – powiedział F'lar śmiertelnie poważnym głosem. – Skok „pomiędzy” różnymi miejscami zabiera nam tyle czasu co trzykrotne kaszlnięcie. „Pomiędzy” w czasie równym czterystu Obrotom... – słowa uwieżył mu w gardle.

Kto chce – może

Kto próbuje – zdobywa

Kto kocha – żyje

Usłyszała głosy – okropny ryk, który świdrując jej obolałe uszy powoli cichł, aż przekroczył próg słyszalności. Następnie poczuła jak łózko, które ma pod sobą, zaczyna wirować – prędzej, coraz prędzej. Jeknęła, poczuła że robi się jej niedobrze. Przygłębiona dłońmi do krawędzi łóżka i w tej chwili potworny ból, dobywający się gdzieś ze środka czaszki, przeszył jej głowę. Krzyczała w protestie przed bólem i w straszącym uczuciu utraty kontaktu z wirującym, toczącym się twardym gruntem.

Jednak cały czas jakaś niesamowita wewnętrzna konieczność zmuszała ją do tego, żeby próbować wykrztusić wiadomości, z którymi tu przybyła. Czasami czuła, że w tej ogromnej, ogarniającej ją ciemności Ramoth stara się nawiązać z nią kontakt. Nadludzkim wysiłkiem usiłowała uczyć się umysłu Ramoth w nadziei, że złociста królowa może wyrwać ją z bezkresnych tortur. Wyczerpana, tonęła w nicości i tylko niejasna potrzeba utrzymywania kontaktu ze swym smokiem ocaliła ją.

W końcu do jej świadomości dotarł dotyk delikatnej, gładkiej dłoni złożonej na jej ramieniu i smak ciepłego płynu w ustach. Poruszyła językiem i przełknęła płyn przez obolałe gardło. Atak kaszlu pozabawił ją tchu i rzucił osłabioną na posłanie. Sprobowała dzwignąć powieki. Obraz jawiący się przed jej oczami już nie chwiał się i nie tańczył.

- Kim... ty... jesteś? – wykrztusiła z trudem skrzeczącym głosem.
 - Och, moja droga Lesso...
 - Czy to jestem ja? – spytała niepewnie, zakłopotana.
 - Tak przynajmniej mówi twoja Ramoth – zapewniono ją. – Jestem Mardra z Fort Weyr.
 - Och, F'lar tak będzie się na mnie gniewał – jeknęła Lessa, gwałtownie odzyskując pamięć. – Będzie mną potrząsał i szarpał. On zawsze mnie szarpie, kiedy jestem nieposłuszna. Ale miałam rację. Mardro?... Och, ta... okropna... nicość – wyszeptała coraz wolniej i niezdolna zapanować nad niezaspokojoną potrzebą organizmu poczuła, że zapada w sen. Na szczęście tym razem łóżko już nie kołysało się pod nią.

Pomieszczenie niewyraźnie oświetlone ściennymi żagwiarni wydawało się być podobne, a jednocześnie jakby różne od jej pokoju w Benden Weyr. Lessa leżała nieruchomo, usiłując uchwycić wzrokiem różnice. Aha, ściany pomieszczenia były bardzo gładkie. Było większe, z wygiętym wysokim sklepieniem. Gdy jej oczy przywykły do słabego oświetlenia, zaczęła dostrzegać szczegóły umeblowania. Wyposażenie tej izby było bardziej kunsztowne. Poruszyła się niespokojnie.

- A, widzę, że tajemnicza dama ponownie się zbudziła – powiedział jakiś mężczyzna. Przez rozsunietą kotarę u wejścia do izby wdarło się światło z sąsiedniego pomieszczenia. Lessa poczuła raczej niż widziała obecność ludzi po tamtej stronie kotary.

Jakas kobieta pochyliwszy się przemknęła pod ramieniem mężczyzny i zwinnym krokiem podeszła do łóżka.

- Pamiętam cie. Ty jesteś Mardra – powiedziała Lessa zaskoczona.
 W istocie, a to jest T'ton, Władca Weyr w Forcie.

poszukiwaniach, nie udało im się znaleźć odpowiedniego masywu skalnego z jaskiniami, w którym daloby się założyć nowy Weyr. „Czyżby to miał być jeden z czynników składających się na niepowodzenie tej południowej wyprawy?” zastanawiała się Lessa. Zniechęceni, wylądowali nad niewielkim jeziorem, na położonym wysoko płaskowyżu. Było ciepło, ale nie duszno. F'nor i Lessa usiedli do południowego posiłku, a smoki odpoczywały, plawiąc się w wodzie.

Lessa czuła się nieswojo i zupełnie nie miała ochoty na jedzenie. Zauważyła, że F'nor też jest niespokojny – nerwowo rzucał krótkie spojrzenia na jezioro i skraj dzungli.

- Co u licha nas tak niepokoi? Przecież żadne dzikie zwierzęta nie zbliżają się do smoków. Jesteśmy dziesięć Obrotów przed nadejściem Gorącej Gwiazdy, zatem nie może tu być Nici. F'nor wzdygnął się i uśmiechnął niepewnie. Resztki nie zjedzonego chleba wrzucił do torby na jedzenie.

- To chyba dlatego, że to miejsce jest takie puste – powiedział rozglądając się wokół.

Na jednym z drzew dostrzegł dojrzwały owoc księżycowy.

- No, przynajmniej ten owoc wygląda swojsko. Nareszcie coś, co nie ma smaku kurzu.

Zwinnie wspiął się na drzewo i zerwał pomarańczowo-czerwony owoc.

- Pachnie ładnie i wydaje się dojrzawy – stwierdził i zrezygnął z przepołowienia owocu nożem. Z uśmiechem podał Lessie wycięty uprzednio kawałek wykrawając drugi dla siebie. Uniósł go do ust i wyrecytował teatralnie:

- Skosztujmy owocu i umrzyjmy razem!

Lessa zasmiała się i gestem uniesionej dłoni, trzymającej owoc, wyraziła zgodę na spełnienie żartobliwej propozycji. Jak na komendę, jednocześnie zatopili zęby w soczysty miąższ. Słodki sok pocieki z kącików jej ust i Lessa pospiesznie oblizwała wargi, by nie uronić ani kropli tego wspaniałego płynu.

- Umre szczęśliwy! – wykrzyknął F'nor, wycinając kolejną cząstkę owocu.

Nieco uspokojeni chwilą bez troski mogli powrócić do poprzedniego tematu.

- Myślę – powiedział F'nor – że to wszystko dlatego, że tu nie ma skalnych jaskiń i że tu jest tak... tak spokojnie. To ta świadomość, że z wyjątkiem nas czworga nie ma tu żadnych ludzi ani zwierząt.

Lessa sknieniem głowy przyznała mu rację.

- Ramoth, Canth, czy brak Weyr bardzo by was zmartwił?

- *Dawno temu nie mieszkaliśmy w jaskiniach* – odparła Ramoth wyniosło i określiła się wokół własnej osi. Pokażnych rozmiarów fale uderzyły o brzeg jeziora, sięgając niemal zwalonego pnia, na którym siedzieli Lessa i F'nor. – *Słońce tu przyjemnie grzeje, a woda wspaniale chłodzi. Podobałoby mi się tutaj, ale nie jest mi dane tu być.*

- Jest niezadowolona – Lessa szepnęła do F'nora. – Najdroższa, pozwól Pridith mieć coś swojego – wykrzyknęła na pocieszenie do złotej królowej. – Ty masz swój Weyr i całą resztę!

Ramoth zanurkowała w jezioro i dając upust swojemu niezadowoleniu, pełnym wydechem spienila powierzchnię wody.

Canth przyznał, że życie na wolnym powietrzu wcale mu nie przeszkadza. Przyjemniej będzie spać na suchej, ciepłej ziemi, aniżeli na chłodnej skale w jaskini, trzeba tylko przygotować odpowiednie zagłębienie pod legowisko. Nie, brak jaskini zupełnie mu nie wadzi, byle mógł najadać się do syta.

- Będzie trzeba sprowadzić tu bydło – mruknął F'nor. – I to w takiej ilości, żeby po rozmnożeniu dysponować odpowiednio dużym stadem. Tulejsze wherey są wyjątkowo duże – to dobrze. Słuchaj, wydaje mi się, że z tego płaskowyżu nie ma naturalnych wyjść. Nie będzie trzeba grodzić pastwisk. Muszę to sprawdzić. Ten płaskowyż ma jezioro i wystarczająco dużo otwartej przestrzeni, żeby zbudować na nim domy, a zatem wydaje się idealny dla naszych celów. Pomyśl, wychodzisz z domu i zrywasz śniadanie z drzewa!

- Byłoby wskazane dobrać takich ludzi, którzy nie wychowywali się w Pałacach – dodała Lessa. – Nie czułby się nieswojo pozbawieni kamiennych ścian domostw i bliskości wzgórz, które stanowią naturalną ochronę naszych osad. Przyznam, że jestem większą niewolnicą przyzwyczajenia niż przypuszczałam – zaśmiała się krótko. – Te nie zamieszkałe, spokojne, otwarte przestrzenie wydają mi się... nieprzyzwyczajone – wzdygnęła się nieco, ogarniając wzrokiem szeroką, otwartą równinę, rozposcierającą się za jeziorem.

- Śliczne i pełne owoców - sprostował F'nor, podskakując ku gąleziom i zrywając kolejne pomarańczowo-czerwone sukulentę.
- Niezwykłe mi smakują. Nie przypominam sobie, by owoce z Nerat były tak słodkie i soczyste, choć to przecież ta sama odmiana
- Niezaprzeczalnie znacznie lepsze od tych, które otrzymuje Weyr. Podejrzewam, że Nerat zachowuje najlepsze dla siebie, a najgorsze wysyła nam.

Oboje łakomie rzucili się na owoce.

Dokładna penetracja terenu dowiodła, że płaskowyz jest niedostępny z zewnątrz i pokryty roślinnością w ilości zaspokajającej z nadwyżką potrzeby życiowe ogromnego stada bydła, którym miały się żywić smoki. Z jednej strony kończył się przepaścią głęboką na kilka długości smoka. W dole rozposzcierała się gęsta dżungla. Z drugiej strony ograniczony był nadmorską skarpą. Bujny drzewostan zapewniał obfitość budulca na domostwa dla mieszkanców nowego Weyr. Ramoth i Canth autorytatywnie stwierdziły, że smokom będzie wystarczająco wygodnie pod osłoną liści gęstej dżungli. Ta część kontynentu przypominała pod względem warunków klimatycznych Gorny Neral, a zatem nie będzie tu ani za gorąco, ani za chłodno.

O ile Lessa z ochotą chciała wyruszyć z powrotem do Benden Weyr, to F'nor zwlekał z decyzją.

- W drodze powrotnej możemy polecieć „pomiedzy” jednocześnie w czasie i przestrzeni - zawyrokowała ostatecznie Lessa - i w ten sposób znajdziemy się w Weyr wczesnym popołudniem. Do tego czasu Lordowie z pewnością opuszczą już Weyr.

F'nor przyjął jej propozycję.

Lessa zebrała w sobie całą odwagę. Zastanawiała się dlaczego transfer w czasie napawał ją większym niepokojem niż skok „pomiedzy” w przestrzeni. Przecież na smokach nie robiło to żadnego wrażenia. Ramoth instynktownie wyczuła niepewność Lessy i pisnęła, by dodać jej odwagi. Długa, bardzo długa chwila przeraźliwego zimna „pomiedzy” zakończyła się raptownie i jeźdźcy na swych smokach znaleźli się w promieniach słońca ponad Weyr.

Z pewnym zaskoczeniem Lessa zobaczyła, że na ziemi przed Jaskiniami Niższymi leży pełno worków i tobołków, a jeźdźcy nadzorują ich załadunek na grzbiety swoich smoków.

- Co tu się dzieje? - wykrzyknął F'nor.

- Najwidoczniej F'lar spodziewa się sukcesu - odparła bez namysłu.

Mnemenh, który leżąc na skalnym występie przed jaskinią królowej obserwował krzątanie ludzi na dole, przesłał podrobnikom pozdrowienie i poinformował ich, że F'lar życzył sobie ich widzieć jak tylko wyładują.

Odnaleźli F'lara w Sali Obrad. Jak zwykle pochylał się nad jakimis starymi, nieczytelnymi skorzanyimi Kronikami, które tu przyniósł.

- No i...? - zapytał, uśmiechając się szeroko na powitanie.

- Zielen; bujna roślinność; nadaje się do zamieszkania - odparła Lessa zdawkowo, przyglądając mu się bacznie. Musiał dowiedzieć się czegoś nowego na temat Południowego Kontynentu. Coz, miała nadzieję, że się nie wygada. F'nor nie był głupcem, a wszelkie wieści o tym co go czeka, mogłyby wpłynąć na jego postawę wobec całego eksperymentu, co w konsekwencji mogłoby okazać się niebezpieczne.

- Właśnie to pragnęłam usłyszeć - powiedział F'lar bez namysłu. - Teraz opowiedzcie mi szczegółowo co widzieliście i co odkryliście. Będzie można nareszcie wypełnić puste miejsca na mapie.

Lessa pozwoliła F'norowi zdać relację z wyprawy, F'lar słuchał sprawozdania ze szczerym zainteresowaniem, robiąc jednocześnie notatki.

- W nadziei, że przyniesiecie dobre nowiny zarządziłem pakowanie zapasów i alarm dla tych jeźdźców, którzy z tobą polecą - powiedział do F'nora, kiedy ten skończył relację. - Pamiętaj, że mamy tylko trzy dni na to, by wysłać was dziesięć Obrotów w przeszłość i zrealizować nasze przedsięwzięcie. My tutaj nie mamy ani chwili do stracenia i musimy mieć znacznie więcej dojrzałych smoków gotowych do stoczenia bitwy w Telgar już za trzy dni. Zatem, mimo że dla was tam upłynie aż dziesięć Obrotów, tutaj miną zaledwie trzy dni. Lessa, twój pomysł, żeby wysłać jeźdźców wychowanych na wsi jest bardzo dobry. Szczęśliwym zrzędzeniem losu nasz najnowszy narybek z ostatniego poszukiwania Kandydatów

zdumiewająco gładką skórę, pokrywającą wygiętą szyję smoka i zasmiała się, aby ukryć swe zdenerwowanie i strach przed tym, czego zamierzała dokonać.

Powiedziała sobie, że istnieją wystarczające powody ku temu, by działać tak, jak postanowiła. Początek ballady: „Wszyscy odeszli, odeszli przed siebie”, stanowił wyraźną wskazówkę, że oni polecieci „pomiedzy” czasem. Gobelin dał jej informacje niezbędne do skoku „pomiedzy” w czasie. Och, jakże była wdzięczna Mistrzowi Cechu Tkackiego, który utkał te drzwi. Musi pamiętać, żeby mu powiedzieć jak wspaniałe dzieło stworzył. Miała nadzieję, że będzie w stanie dokonać skoku. Dost! Na pewno będzie w stanie. Czyż Weyry nie zniknęły? Wiedząc, że polecieci „przed siebie”, wiedząc jak można polecieć wstecz w czasie i zabrać ich ze sobą w przyszłość, Lessa była właśnie tą osobą, na której spoczywał obowiązek sprowadzenia ich w dzień dzisiejszy. To jest bardzo proste i tylko ona i Ramoth mogą tego dokonać, ponieważ już to zrobili.

Ponownie zasmiała się nerwowo i drząc wzięła kilka głębokich oddechów.

- W porządku, moja złota miłości - szeptała. - Przekazałam ci informacje. Wiesz dokąd chcę lecieć. Zabierz mnie „pomiedzy” w czas odległy o czterysta Obrotów.

Zimno było przenikliwe - znacznie bardziej niż to sobie wyobrażała. Jednakże to nie było fizyczne zimno. To była świadomość nieistnienia czegokolwiek. Żadnego światła, żadnego dźwięku, żadnego wrażenia dotyku. Kiedy krążyły długo, coraz dłużej w tej nicości, Lessa ogarnęła straszliwa, obezwładniająca panika. Wiedziała, że dosiada Ramoth, ale nie czuła jej szyi pomiędzy swymi udami, pod dioniami. Mimowolnie chciała krzyknąć i otworzyła usta... w nicość. W uszach nie zabrzmiał żaden dźwięk. Wiedziała, że uniosła dłonie do policzków, ale tego też nie czuła.

- Jestem tutaj - usłyszała głos Ramoth dzwieczący w jej umyśle - Jesteśmy razem.

Tylko to zapewnienie pozwoliło jej obronić się przed ogarniającym ją szaleństwem w tej przerażającej, trwającej wieki a przecież krótkiej chwili.

Ktoś okazał się na tyle przytomny, żeby wezwać Robintona. Harfiarz znalazł F'lara siedzącego przy stole. Ze smiertelnie bladą twarzą patrzył na opuszczone wnętrza jaskini. Wejście Mistrza Harfiarzy i dźwięk jego spokojnego głosu wyrwały nareszcie F'lara z odrętwienia wywołanego szokiem. Stanowczym gestem dłoni odesłał towarzyszących Robintonowi ludzi.

- Odeszła. Próbowala przenieść się czterysta Obrotów w przeszłość - powiedział F'lar.

Mistrz Harfiarzy zagłębił się w krzesło naprzeciw F'lara.

- Zabrała gobelin do Ruathy - ciągnął tym samym zduszonym głosem. - Mówiłam jej o powrocie F'nora. Mówiłam jej jakie to niebezpieczne. Nawet się nie bardzo sprzeczała. Wiem, że lot „pomiedzy” w czasie przerażał ją, o ile cokolwiek w ogóle może Lessa przerażać - bezzwłocznie uderzył w stół pięścią. - Powiniennem był ją podejrzewać. Kiedy Lessa myśli, że ma rację, to nigdy nie analizuje nie rozważa sensu przedsięwzięcia. Natychmiast je realizuje!

- Ale przecież nie jest zwykłą, głupią babą - przypomniał mu Robinton, cedząc słowa. - Nie wykonałaby skoku „pomiedzy”, gdyby nie dysponowała niezbędnymi dla tego celu informacjami nieprawdaż?

- „Wszyscy odeszli, odeszli przed siebie” - to jedyna wskazówka, którą posiadamy.

- Hola, hola - rzucił ostrzegawczo Robinton i strzelił palcami. - Ubiegłej nocy, kiedy patrzyła na gobelin przejawiała niezwykle zainteresowanie drzwiami Pałacu. Pamiętasz, rozmawiała o nich z Lytolem.

F'lar zerwał się na równe nogi i już z korytarza krzyknął.

Zbieraj się! Musimy jechać do Ruathy!

Lytol zapalił wszystkie pochodnie w komnacie tak, by F'lar i Robinton mogli dokładnie zbadać gobelin.

- Spędziła całe popołudnie po prostu patrząc na niego bez przerwy - powiedział strażnik i nie dowieczając potrząsnął głową. - Jesteście pewni, że spróbowała wykonać ten niewiarygodny skok?

- Z pewnością. Mnemenh nigdzie nie słyszy ani jej, ani Ramoth, a mówi, że dociera do niego echo myśli Cantha, który znajduje się wiele Obrotów „temu” na Południowym Kontynencie - powiedział F'lar, przechodząc obok gobelinu.

- Co jest z tymi drzwiami, Lytolu? Myślisz człowieku!

- Nie dowierzam Władczyni Weyr, kiedy mówi takim słodkim głosem - wycodził. Coż panowie, czas już na nas - powiedział Robinton wstając. Ramoth jest młoda, ale nie taka głupia - mruknął F'lar do siebie, kiedy pozostali wyszli. Ramoth spała nieswiadoma tego, że jest obserwowana. F'lar myślał zwrócić się do Mnemetha, szulając u niego pociechy - bezskutecznie. Smok obojętnie wylegiwał się na swym skalnym progu.

**Czarne, zimne jest „pomiedzy”
Martwe, trupie, bez litości.
Krucze skrzydła mego smoka -
- Iskra życia wśród nicości.**

Chcę widzieć ten gobelin z powrotem na ścianie w Ruatha. - Lessa wierciła F'larowi dziurę w brzuchu następnego dnia. - Chce, żeby był tam, skąd pochodzi.

Tego ranka wybrali się na inspekcję rannych i już zdążyli się pokłócić na temat potrzeby wysłania N'ona razem z południową ekspedycją. Według planu Lessy miał spróbować dosiąść cudzego smoka. F'lar natomiast chciał wysłać go na południe, by dysponując czasem dziesięciu Obrotów nauczył się prowadzić powierzonym mu skrzydłem jeźdźców. W nadziei, że w ten sposób powstrzyma Lessę od takich rozważań możliwości przeniesienia się przez nią o czterysta Obrotów w przeszłość, F'lar przypomniał jej o powrotach F'nora i długo komentował trudności z jakimi ona sama już się spotkała. Lessa adumała się nad jego słowami, choć nic mu nie odpowiedziała.

Dlatego, kiedy Fandarel zawiadomił F'lara, że chce mu zaprezentować nowy mechanizm, Władca Weyr był przekonany, że Lessa nie zachowa się nieodpowiedzialnie i zrobił jej przyjemność zezwalając na samodzielne odwiezienie odzyskanego gobelinu do Ruathy. Lessa oddaliła się, by wydać rozporządzenie, aby zrolowano i przytroczono arras do grzbietu Ramoth.

F'lar obserwował jak Ramoth potężnymi uderzeniami szerokich skrzydeł wznosi się ponad Gwiezdny Kamień i znika „pomiedzy” w drodze do Ruathy. W tej chwili na skalnym stopniu, na którym stał, pojawił się R'gul i zameldował, że transport ogniaka właśnie wjeżdża do Tunelu. F'lar zajęty takimi jak ta i innymi sprawami, dopiero późnym rankiem znalazł chwilę czasu, aby obejrzeć prymitywny i nieskuteczny miotacz ognia skonstruowany przez Fandarela. Miotacz po prostu nie „miotął” ognia. Było już pozne popołudnie, gdy F'lar wrócił wreszcie do Weyr.

R'gul z obrażoną miną powiedział F'larowi, że szukał go F'nor - już dwukrotnie.
- Dwukrotnie?

- Tak jak mówię. Dwukrotnie. Nie chciał mi zostawić żadnej wiadomości dla ciebie - R'gul był wyraźnie dotknięty odmową F'nora. Kiedy przed wieczornym posiłkiem Lessa jeszcze się nie pojawiła, F'lar wysłał myślą do Ruathy, by ten sprawdził, czy faktycznie dotarła tam z gobelinem. Okazało się, że Lessa dreczyła wszystkich mieszkańców Pałacu i dyrygowała nimi tak długo, aż gobelin został właściwie zawieszony. Przez następne kilka godzin siedziała na wprost arrasu i przyglądała mu się, czasami tylko wstając i przechodząc wzdłuż rozpostartej na ścianie tkaniny.

Następnie, dosiadając Ramoth wzniosła się w powietrze nad Wielką Wieżą i zniknęła. Lytol, podobnie jak wszyscy w Ruatha, był przekonany, że wróciła do Benden Weyr.

- Mnemeth - ryknął F'lar, gdy posłaniec skończył swą relację - *gdzie one są?*

Mnemeth długo milczał.

- Nie słysze ich - powiedział, a miękkie brzmienie jego myśli przesycane było troską tak wielką, na jaką stać tylko smoka. F'lar gwałtownym ruchem zacisnął obie dłonie na krawędzi stołu i wlepił spojrzenie w puste legowisko królowej. Z przerażeniem pojął, dokąd Lessa spróbowała polecieć.

* * *

Pod nimi znajdowała się Wielka Wieża w Ruatha. Lessa pokierowała Ramoth nieco bardziej w lewo, ignorując zrzeczenie królowej, albowiem wiedziała, że smok też jest podekscytowany.

Tak jest najdroższa, teraz jesteś dokładnie pod takim samym kątem do wrót Pałacu jak to przedstawia gobelin. Tylko wtedy, gdy wykonywano tkaninę nikt jeszcze nie wyrzeźbił nadproży i nie zamontował daszka. Wtedy też nie było jeszcze ani Wieży, ani Podwórca ani bramy - Lessa klepnęła

pochodzi głównie z rodzin rolników i rzemieślników, zatem nie ma z tym żadnego problemu. Większość z tych trzydziestu dwóch to dopiero nastolatki.

- Trzydziestu dwóch? - wykrzyknął F'nor. Trzeba nam pięćdziesięciu. Małe smoki muszą mieć możliwość wyboru, nawet jeśli kandydaci zaczną opiekować się smoczetami przed wykluceniem. F'lar wzruszył niedbale ramionami.

Przysiesz po następnych, jeśli będzie trzeba. Będziecie tam mieli dużo czasu, pamiętaj - F'lar urwał jakby w ostatniej chwili zdecydował się nie kończyć swojej myśli i zasmiał się, wypełniając pustkę po nie dokończonym zdaniu.

F'nor nie miał czasu sprzeczać się z Władcą Weyr, bowiem ten natychmiast zasypał go kolejnymi poleceniami.

F'nor miał zabrać ze sobą jeźdźców ze swojego skrzydła, aby pomogli mu w szkoleniu kandydatów. Miał również zabrać czterdziestu młodych smoków, dzieci Ramoth, w tym młodą królową Pridith z Kylarą, a także T'borą na jego spizowym Piyanthu. Spizowy smok N'ona wkrótce dorosnie i będzie mógł uczestniczyć w locie godowym Pridith, a zatem młoda królowa zyska możliwość pewnego wyboru spizowego partnera.

- A co by było, gdybyśmy zastali kontynent nagi i jałowy - spytał F'nor zaintrygowany niezmienną pewnością siebie F'lara. - Co wtedy?

- Hm, wysłalibyśmy ich w przeszłość do, powiedzmy, High Reaches - odparł F'lar szybko, jakby spłoszony tym pytaniem i nie dając F'norowi czasu na powzięcie podejrzenia, kontynuował poprzednią myśl. - Powinienem wysłać więcej spizowych smoków, ale potrzebuje ich na miejscu, żeby móc spenetrować Keroon i Neral w poszukiwaniu nor wykopanych przez Nicl. Już kilka takich odnalazły i zniszczyły w Neral. Podobno Vincent jest bliski ataku serca ze strachu.

Lessa pozwoliła sobie w tym miejscu na kilka niemitych uwag na temat postawy owego Lorda. A jak tam obrady dziś rano? - spytał F'nor przypominając sobie o spotkaniu F'lara z Lordami i Cechmistrzami.

Mniejsza teraz o to. Masz przecież dziś do wieczora odlecieć na Południowy Kontynent, F'nor. Lessa dociekliwie patrzyła na Władcę Weyr. Doszła do wniosku, że musi jak najprędzej dowiedzieć się co tu się wydarzyło przed ich powrotem z wyprawą na południe.

- Lesso, narysuj mi to miejsce, dobrze? - poprosił F'lar. Kiedy pośpiesznie podał jej płachtę czystej skóry i rylec, Lessa dostrzegła w jego oczach wyraźne błaganie. Najwyraźniej nie chciał, by Lessa zadała mu jakieś pytanie, które mogłoby zaniepokoić F'nora. Lessa westchnęła i uniosła rylec.

Rysowała szybko, uwzględniając kilka szczegółów, o których przypominał jej F'nor, i wkrótce miała dość dokładną mapę przedstawiającą płaskowyż, który wybrali z F'norem pod nowy Weyr. Wtem zupełnie niespodziewanie straciła ostrość widzenia. Zakreśliła jej się w głowie.

- Lessa? - F'lar pochylił się ku niej.

- Wszystko... się rusza... wiruje... - powiedziała słabym głosem i upadła w jego ramiona.

F'lar, unosząc jej lekkie ciało na rękach, wymienił zaniepokojone spojrzenie ze swym przyrodнім bratem.

- Zawołam Manorę - zaproponował F'nor.

- A jak ty się czujesz? - F'lar prawie wykrzyknął to pytanie.

- Jestem zmęczony i to wszystko - zapewnił F'nor i pochylając się nad szybą windy kuchennej krzyknął, żeby zawołano Manorę i przysłano gorące kłah. Niewątpliwie i jemu przydałby się tyk gorącego napoju.

F'lar ułożył Władczynię Weyr na tapczanie i otulił ją delikatnie futrem.

- Nie podoba mi się to - mruknął pod nosem. Błyskawicznie przypomniawszy sobie, co F'lar mówił mu o zachowaniu Kylary, czego sam F'nor nie mógł jeszcze w tej chwili wiedzieć, albowiem miał tego dopiero doświadczyć w nadchodzącej przyszłości. Czyżby Lessa miała być aż tak nieodporna?

- Skok w czasie sprawa, że człowiek czuje się jakby - F'nor zawałał się, szukając właściwego określenia - niezupełnie... kompletny. Wczoraj polecałeś „pomiedzy” w czasie, by walczyć w Neral.

- Polecałem, ale ani ty, ani Lessa nie walczyliście dzisiaj - zauważył F'lar. - Musi to być jakiś wewnętrzny... umysłowy stres... charakterystyczny dla wędrowni „pomiedzy” w czasie. Posłuchaj mnie F'nor:

kiedy zamieszkacie w południowym Weyr, chce żebyś wyłącznie ty odwiedzał nas tutaj. To będzie mój rozkaz i powiem Ramoth, żeby zakazała smokom wracać do nas. W ten sposób żaden jeździec nie będzie w stanie powrócić nawet jeśli będzie chciał. Jest w tym wszystkim jakiś nieznany nam czynnik, który może okazać się bardziej niebezpieczny niż przypuszczamy. Nie wystawiajmy się na ryzyko.

- Zgoda

- I jeszcze jeden szczegół, F'nor. Bądź niezwykle ostrożny, kiedy będziesz wybierał czas swego powrotu do nas. Nie wykonywałbym skoku „pomiedzy” w czasie bliskim temu, w którym jesteś obecny w Weyr. Nie potrafię sobie wyobrazić co by się stało, gdybys powróciwszy stanął w korytarzu naprzeciw samego siebie. F'nor, ja nie mogę Cię stracić.

Z niezwykle rzadką u siebie demonstracją uczucia F'lar mocno uściśnął swego przyrodniego brata.

- Pamiętaj F'nor. Bylem tu przez cały ranek, a ty wróciłeś do Weyr ze swej pierwszej wyprawy dopiero po południu. I pamiętaj też o tym, że my tutaj mamy tylko trzy dni. Wy będziecie mieli dziesięć Obrotów.

F'nor wyszedł, mijając się w korytarzu z Manorą.

Manora nie mogła znaleźć żadnej przyczyny złego samopoczucia Lessy i w końcu doszli z F'larom do wniosku, że to było po prostu wyczerpanie spowodowane wczorajszym wysiłkiem, kiedy Lessa musiała przekazywać wiadomości smokom oraz jeźdźcom i dzisiejszą niezwykle męczącą podróżą w czasie.

Kiedy F'lar wychodził, by życzyć południowej ekspedycji szczęśliwej podróży, Lessa spała spokojnie. Jej twarz była blada, ale oddech głęboki i regularny.

F'lar, za pośrednictwem Mnemetha, polecił Ramoth, żeby wydała smokom biorącym udział w wyprawie zakaz opuszczania Południowego Kontynentu. Co prawda królowa wywiązała się z tego zadania, ale nie omieszczała poskarżyć się Mnemethowi, co ten natychmiast przekazał F'larowi, że wszyscy wokół mieli masę przygód, tylko ona jedna - królowa Weyr - była ich stale pozbawiona.

Zaledwie objuczone smoki jeden po drugim zniknęły z pola widzenia ponad Gwiezdnym Kamieniem, a już w Weyr lądował młodzieńki jeździec pełniący funkcję gonca w Osadzie Nerat. Błdy z przerażenia meldował:

- Władco Weyr, odkryto mnóstwo nor i nie sposób zniszczyć ich samym ogniem. Lord Vincent cie wzywa

F'lar nie wątpił, że jest w tej chwili Vincentowi potrzebny.

- Zjedz chłopcze obiad, zanim wyruszysz z powrotem. Wkrótce się tam udam.

Kiedy w drodze do sypialni mijął Ramoth, usłyszał jak z głębi jej gardła dobywa się pomruk niezadowolenia.

Królowa właśnie ułożyła się do snu.

Z dłonią wciśniętą pod policzek, Lessa jeszcze spała. Jej ciemne włosy zwisały luzno nad krawędzią tapczanu. Gdy tak patrzył na jej kruchą, dziecięcą jakby postać, wydała mu się nadzwyczaj droga. F'lar uśmiechnął się do swych myśli. Była wczoraj taka zazdrosna o niego, kiedy Kylara opatrywała jego rany. Pochlebiali mu to. Lessa nigdy się od niego nie dowiódł, że Kylara, przy całej swej doskonałej urodzie i namietności, nie była dlań nawet w dziesiątej części tak powabna jak ciemnowłosa, delikatna Lessa, której postępki nigdy nie był w stanie przewidzieć. Nawet niezwykła krnąbrność Lessy i jej cięty, złośliwy dowcip nie raziły go, a przeciwnie - podnosiły jeszcze atrakcyjność ich związku. Z czułością jakiej nigdy nie mógłby jej okazać, gdyby nie spała, złożył pocałunek na jej ustach. Poruszyła się na posłaniu i uśmiechając się przez sen westchnęła cicho.

F'lar zostawił ją taką, z niechęcią wracając do swych obowiązków. Kiedy zatrzymał się przy legowisku Ramoth, królowa uniosła swą ogromną, trójkątną głowę i spojrzała jarzącymi się ślepiami na Władce Weyr.

- Mnemeth, proszę cię, przekaz Ramoth, żeby skontaktowała się z młodym smokiem w warszacie Fandarela. Chciałbym, żeby Mistrz Kowalstwa udał się wraz ze mną do Nerat. Chcę zobaczyć jak jego trojgenon podziela na Nici.

Ramoth wysłuchawszy Mnemetha skinęła łbem.

- Już się skontaktowała. Młody zielony smok przybędzie tak szybko jak tylko zdoła - przekazał Mnemeth F'larowi. - Łatwiej się prowadzi takie rozmowy, kiedy Lessa nie śpi - mruknął.

w Komnacie Reprezentacyjnej i ze wszystkich cennych przedmiotów mojego rodu otaczany był największą troską. Gdzie on był? - jej oczy błyszczały złowrogo.

Pani, gobelin właśnie wraca na swoje właściwe miejsce - odparł Lytol bezbarwnym głosem, unikając jej spojrzenia. - To dzieło mistrza - kontynuował, dotykając z nabożeństwem ciężkiej, grubej tkaniny. - Jakież kolory; jakiz wzór. Z pewnością rzemieślnik, który wykonał dlań warsztat tkacki poświęcił temu zadaniu całe swe życie, a wykonanie dzieła było możliwe dzięki zbiorowemu wysiłkowi całego cechu. Jeśli tak nie było, to nie znam się na prawdziwie artystycznym rzemiośle.

F'lar przeszedł wzdłuż krawędzi ogromnego arras, żalując, że nie można go nigdzie rozwiesić dla pełnego ogarnięcia perspektywy heroicznych scen. W swej górnej części obraz przedstawiał formacje trzech skrzydeł smoków, lecących w szyku bojowym. Ziejąc ogniem nurkowały za opadającym, szarymi w kolorze, wiązkami Nici. Wszystko to na tle połyskującego nieba - nieba o jakże wiernie oddanym odcieniu błękitu, tak charakterystycznym dla jesieni. „Taki błękit już nie występuje, pomyślał F'lar, z chwilą nadejścia ocieplenia.” Niżej, zbocza wzgórza pokrywały się już złocistym kolorem żołknących pod wpływem zimnych nocy, jesiennych liści. Widoczne skały tupkowe wskazywały, że miejscem akcji jest region Ruatha. Czy to z tego powodu ten arras zawisł w Pałacu w Ruatha? Dalej widać było mężczyzn, którzy opuszcili mury bezpiecznego Pałacu przypadli do skał. Dźwigali ze sobą te dziwne rury, o których mówił Zurg. Aparaty w ich rękach wycelowane były w wijące się Nici, które próbowały zakopa się w ziemi. Z dysz owych urządzeń dobywały się długie jezory oślepiającego płomienia.

Lessa wydała okrzyk zdziwienia i weszła wprost na rozłożoną tkaninę. Bacznie przyglądała się murtynie utkaną sylwetkę Pałacu z jego masywnymi, otwartymi na oścież wrotami, których spiżowe ornamenty zostały wykonane przez tkacza z niezwykłą starannością i precyzją.

- Sądze, że taki wzór ornamentu znajduje się na wrotach Pałacu w Ruatha - zauważył F'lar.

- I tak... i nie - odparła Lessa niepewnie.

Lytol spojrzał najpierw na Lessę, a później na utkaną obraz wrót.

- To prawda. I nie, i tak. Nie dalej jak godzinę temu sam przechodziłem przez te drzwi - nachmurzywszy się wbił uważne spojrzenie w rysunek u swych stóp.

- Oto są modele urządzeń, które Fandarel chce przestudiować - rzekł F'lar, przyglądając się murtaczom ognia na gobelinie. F'lar zastanawiał się, czy Mistrzowi Kowalstwa uda się w ciągu trzech dni zbudować na podławie tego utkanego wzorca skutecznie działający miotacz ognia. Jeśli nie uda się to Fanderelowi, to znaczy, że nie uda się już nikomu.

Mistrz Cechu Kowalskiego na widok gobelinu nie posiadał się z radości. Leżąc na tkaninie wodził po niej nosem, studiując cało po calu szczegóły konstrukcji. Pojeikiwał, posapywał i mruczał coś do siebie, aż w końcu usiadł po turecku, by sporządzić stosowne szkice.

- Było zrobione. Może być zrobione. Musi być zrobione - mruczał pod nosem.

Kiedy Lessa dowiedziała się od młodego B'ranta, że ani on, ani Lytol nie mieli dziś jeszcze nic w ustach, sprowadziła z kuchni kłah, mięso i chleb. Z wdziękiem i wesołością obsłużyła wszystkich zgromadzonych mężczyzn. Widok Lessy, podającą posiłek Lytolowi przyniósł F'larowi znaczną ulgę. Lessa próbowała też siłą wmusić w Fandarela jedzenie i kłah. Ta mała istotka, nalegająca żeby zszedł wreszcie z rozłożonego gobelinu i zjadł coś, a później będzie sobie rysował i mamrotał, wyglądała zabawnie na tle mamuciej figury kowala.

Fandarel w końcu stwierdził, że już ma wszystkie niezbędne rysunki i natychmiast opuszcł zgromadzonych, odlatając na smoku do swej kuźni.

Nie ma sensu go pytać kiedy wróci. Za bardzo jest teraz pochłonięty myślami, żeby cokolwiek usłyszeć - skomentował nagle wyjście Fandarela, rozbawiony jego zachowaniem F'lar.

Jeśli pozwolicie, ja też już was opuszczę - powiedziała Lessa, uśmiechając się uprzejmie do czterech pozostałych przy stole mężczyzn. - Szanowny Panie Strażniku Lytolu, młodemu B'rantowi również należałoby pozwolić odejść do stołu. Zasypia na siedząco.

Z całą pewnością nie zasypiam, o Pani - zapewnił ją pośpiesznie B'rant i otworzywszy szeroko oczy udawał, że jest w wyśmienitej formie.

Lessa zaśmiała się na ten widok i wycofała się do sypialni.

F'lar odprowadził ją zamyslnym spojrzeniem.

zadnej informacji mówiącej dokąd się udają, bo to zniszczyłoby całe przedsięwzięcie. Podobnie jak ja nie mogłem powiedzieć F'norowi, że wiem, iż wyprawa na południe nie obędzie się bez problemów. Ale jak oni się tutaj dostaną, jeśli teraz jest czasem, w którym mają się pojawić? Teraz ich tu nie ma. Skąd mogli wiedzieć, gdzie będą potrzebni? To jest prawdziwy problem! Bo jakim sposobem można podać smokowi obraz czasu, który jeszcze nie nadszedł?

Ktos z nas musi polecić w przeszłość i podać im właściwe informacje – odparła Lessa cicho.

Chyba oszalałaś! – krzyknął F'lar z przerażeniem. – Dobrze wiesz co się z tobą dzisiaj dzieło. Jak możesz w ogóle myśleć o przeniesieniu się w przeszłość, której nie jesteś sobie w stanie nawet z grubsza wyobrazić? Czteryście Obrotów w przeszłość? Lot o dziesięć Obrotów wstecz sprawił, że zemdlalaś i odchorowałaś wywołany nim szok.

Czy ta gra nie jest warta świeczki? – spytała, patrząc na F'lara posepnie. – Czy Pern nie jest wart takiej ofiary?

F'lar chwycił ją za ramiona i ze strachem w oczach zaczął potrząsać drobną postacią Lessy.

Nawet Pern nie jest wart stracenia ciebie czy Ramoth. Lesso, Lesso nie ośmielaj się być mi w tej sprawie nieposłuszną – jego krzyk przeszedł w głośny, łodowaty szepł, drżący od gniewu.

Być może istnieje jakiś sposób wprowadzenia tego pomysłu w życie bez naszego bezpośredniego udziału – wtrącił Robinton przytomnie. – Ktoż może wiedzieć co przyniesie dzień jutrzejszy? Stoimy przed zagadnieniem, które niewątpliwie wymaga bardzo wnikliwej analizy i oceny pod różnym kątem.

Lessa, nie próbując wyzwolić się z kleszczowego uścisku F'lara, patrzyła uważnie na Robintona.

Wina? – zaproponował Mistrz Harfiarzy, nalewając Lessie kubek trunku. Jego zachowanie odniosło pożądaną skuteczną i rozładowało atmosferę napięcia wywołaną sprzeczką Lessy z F'larem.

Ramoth nie boi się spróbować – powiedziała Lessa i z determinacją zacisnęła usta.

F'lar popatrzył badawczo na złocistego smoka, który odwróciwszy łeb wyciągnął szyję, aż po staw grzbietowy swego ogromnego skrzydła i obserwował rozmawiających ludzi.

Ramoth – sił młoda – rzucił F'lar i zaraz pochwycił pełną urazy myśl Mnemetha.

Lessa, która również odebrała myśl spiżowego smoka odrzuciła w tył głowę i zaśmiała się głośno, aż dźwięk odbił się echem o sklepienie jaskini.

Ja też chciałbym się pośmiać z jakiegoś dobrego dowcipu – Robinton niedwuznacznie domagał się wyasnienia.

Mnemeth powiedział F'larowi, że za to on nie jest młody, a także nie boi się spróbować. To dla niego po prostu jakby dłuższy krok – wyjaśniła Lessa, ocierając łzy z roześmianych oczu.

F'lar gwałtownie spojrzał w głąb korytarza, na którego końcu Mnemeth leżał sobie na skalnym progu.

Nadlaty obładowany smok – poinformował Mnemeth. – To B'rant i Lytol na brązowym Fant-hu.

– Co, znowu niesie hłobowe wieści? – spytała Lessa ironicznie.

– Lesso z Ruathy, dla Lytola jazda na obcym smoku sama w sobie jest już wystarczająco trudna, podobnie jak sam fakt przybycia tutaj jest dlań bolesny. Nie powiększaj zatem jego cierpienia swym dziecinnyim zachowaniem – powiedział F'lar surowo.

Lessa spuściła wzrok wściekła, że F'lar zwraca się do niej w ten sposób przy Robintonie.

Lytol wkroczył do legowiska królowej, trzymając jeden koniec ogromnego, zrolowanego gobelinu. Młody B'rant, obłany potem z wysiłku, z niemałym trudem podtrzymywał drugi jego koniec. Lytol z szacunkiem oddał ukłon Ramoth i dał znak młodemu brązowemu jeźdźcowi, by pomógł mu rozwinąć niesiony przez nich ciekar. Gdy olbrzymi gobelin ukazał się oczom zgromadzonych, F'lar zrozumiał dlaczego Mistrz Cechu Tkackiego tak dobrze go zapamiętał. Kolory, jakkolwiek malowane w zamierzonych czasach, nadal pozostawały żywe i klarowne. Treść obrazu była jeszcze bardziej interesująca.

Mnemeth, ściągnij tu Fandarela. Oto wzór miotacza ognia, który chciał zobaczyć – powiedział F'lar.

To jest gobelin z Ruathy – wykrzyknęła Lessa gniewnie. – Pamiętam go jeszcze z dzieciństwa. Wisiał

F'lar skwapliwie przyznał mu rację. We wczorajszej bitwie ta umiejętność Lessy była ich poważnym atutem, który czasem stanie się jeszcze cenniejszy.

Może byłoby lepiej gdyby spróbowała porozmawiać z F'norem na wskrosz czasu, ale nie, przecież F'nor wrocił.

F'lar szybkim krokiem wszedł do Sali Obrad. Wciąż żywił nadzieję, że gdzieś wśród tych prawie nieczytelnych partii starych Kronik uda mu się odnaleźć tę jedną jedyną wskazówkę, której tak rozpaczliwie potrzebował. Musi przecież istnieć jakieś wyjście z tego impasu. Jeśli nie wyprawa na Południowy Kontynent to coś innego. Coś innego!

Fandarel okazał się być człowiekiem o równie stalowych nerwach co mięśniach. Ze spokojem spoglądał na ohydne klebowisko rosnących w oczach bruzd rytych przez mnożące się Nici.

– Setki, tysiące w jednej norze – krzyczał jak obłąkany Lord Vincent z Neral. – Kiedy wy tak stoicie wahając się co zrobić, te rośliny wędną w oczach – wymachiwał beładnie ramionami, wskazując na plantację młodych drzewek, na której odkryto nore z Nicmi. – Zróbcie coś! Ile jeszcze młodych drzew zginie choćby na tym jednym polu? Ile takich nor uniknęło wczoraj smoczego dechu? Gdzie jest smok, który je wypali? Dlaczego jeszcze tu stoicie?

F'lar i Fandarel zafascynowani i poruszeni widokiem procesu zniszczenia dokonywanego przez ich odwiecznego wroga, nie zwracali uwagi na szalejącego Lorda. Paniczne zachowanie Vincenta nie znajdowało uzasadnienia w rzeczywistym rozwoju wypadków. Na zboczu góry, na którym się znajdowali, odkryto tylko jedną norę. F'lar nawet nie chciał zastanawiać się jak wiele Nici, mimo ogromnych wysiłków smoków i jeźdźców, mogło jednak dopaść cieplej i żyznej ziemi Neral. Gdyby tylko wczoraj mieli wystarczająco dużo czasu na to, by wysłać patrole, które zniszczyłyby zabiłakane wiązki Nici. Za trzy dni w Telgar, Ruatha i Crom będą już lepiej przygotowani do przyjęcia bitwy i unikną błędów popełnionych w Neral. To wszystko jednak za mało. Za mało.

Fandarel dał znak reka, by dwóch towarzyszących mu rzemieślników wystąpiło naprzód. Obaj dzwigali niezwykle urządzenie: okazał się metalowy cylinder, do którego przymocowana była rurka z szeroką dyszą. Z drugiego końca cylindra wychodziła druga rurka połączona z małym cylindrem, wewnątrz którego znajdował się tłok. Podczas gdy jeden z kowali zaczął energicznie poruszać tłokiem, drugi z trudnością podtrzymując szarpane przez pompującego urządzenie skierował dyszę ku norze z Nicmi. Na znak głowa, dany przez pompującego, trzymającego dyszę odkreślił mały kurek, znajdujący się na rurce i odpychając jej wylot jak najdalej od siebie skierował go w norę. Przezroczysty strumień aerozolu zatańczył u wylotu dyszy i opadł w głąb nory. Zaledwie kropelki kwasu zetknęły się z klebiącymi się Nicmi, z nory z sykiem wypadły obłoki pary. Jeszcze chwila, a z białych, skreślonych Nici pozostała jedynie dymiąca masa poczerwiałych włókien. Fandarel machnął dłonią, by jego ludzie cofnęli się i przez dłuższą chwilę spoglądali w kopcy doł. W końcu mruknawszy coś pod nosem, wyszukał sobie długi kij, który wrzucił w pogorzelisko, rozgrzebuując spalone resztki. Żadna Nica się nie ruszyła.

– He – bąknął z wyraźnym zadowoleniem. – Na dobrą sprawę, trzeba będzie tak chodźć od nory do nory – dodał. – Chce spróbować jeszcze raz.

Eskortowani przez wciąż dramatycznie załamującego rece, płacznego Vincenta oraz przez miejscowych rolników, udali się do plantacji nad morzem, gdzie odkryto nie zniszczoną norę z Nicmi. Nici wbiły się tam w ziemię tuż obok ogromnego drzewa, które w tej chwili prawie zupełnie już uschło.

Fandarel swoim kijem zrobił mały otwór w ziemi w miejscu, gdzie biegł kanał wydrążony przez Nici i polecił swym ludziom, by przystąpili do dzieła. Pompujący naparł na tłok, a drugi z kowali przygotował dyszę do włożenia jej w otwór w gruncie. Fandarel rozpoczął powolne odliczanie, w końcu dał znak do odpalenia. W małej dziurce w ziemi pokazał się dym.

Po upływie czasu niezbędnego dla zadziałania środka, Fandarel polecił rolnikom, by rozkopali ziemię nad norą, uważając jednocześnie, by nie wejść w bezpośredni kontakt z trójjagronem. Kiedy podziemny korytarz został odsłonięty stwierdzono, że kwas dokonał swego niszczycielskiego dzieła, nie pozostawiając na swej drodze nic oprócz całkowicie zwęglonej gmatwaniny Nici.

Fandarel uśmiechnął się lekko, ale zaraz później podrapał się w głowę z wyraźnym niezadowoleniem.

- Gdzie by nie wetknąć dyszy i tak to zabiera za dużo czasu. Najlepiej niszczyć je na powierzchni gderal.

- Najlepiej dopaść je w powietrzu - wtrącił się Vincent z pretensją w głosie. - A ta mikstura! Co ona pomoże moim młodym sdom? Co to pomoże?

Fandarel odwrócił się ku niemu, najwidoczniej dopiero teraz dostrzegając obecność sfrustrowanego możnowładcy

- Człowieczku, środek, którego używacie na wiosnę do nawożenia gleby pod uprawy to nic innego jak rozcienczony trojagenon. To prawda, że to pole zostało wypalone i będzie jałowe przez kilka lat, ale nie ma już w nim Nici. Lepiej by było, to jasne, gdybyśmy mogli użyć tego aerozolu wysoko w powietrzu. Wtedy opadałby powoli i rozproszyłby się na tyle, że nie byłby szkodliwy, a przeciwnie - użyźniałby znacznie glebę - przerwał, drapiąc się głośno po głowie. - Młode smoki mogłyby wzniesć obłęgę rozpylacza w powietrze... Hm, to jest pomysł..., ale aparat jest jeszcze zbyt niewygodny w użyciu - zawyrokował i odwrócił się tyłem do zaskoczonego możnowładcy. Następnie spytał F'lara czy gobelin wrócił na swoje miejsce. - Nie potrafię jeszcze dojść do tego, jak to zrobić, żeby rura miotła ogień - mówił do F'lara. - Ten rozpylacz skonstruowałem ma wzór opryskiwaczy, które robimy dla sadowników.

Nadal oczekuje wiadomości o gobelinie - odparł F'lar - ale ten aerozol jest skuteczny. Nici w norze są martwe

- Robaki piaskowe też są skuteczne, ale niezbyt wydajne - odburknął Fandarel niezadowolony. Machnął dłonią na swych ludzi i w zapadającym zmroku oddalił się w kierunku smoków.

W Weyr na ich powrót oczekiwał już Robinton. Z trudem ukrywał podniecenie. Niemniej jednak najpierw uprzejmie zapytał Fandarela o wynik jego wysiłków. Mistrz Kowalski wzruszył ramionami i mruknął:

- Cały mój cech próbuje rozwiązać ten problem.

- Cechmistrz jest niezwykle skromny - wtrącił się F'lar. - Zbudował już wspaniałe urządzenie, które rozpyla trójagenon w norze i wypala Nici na czarną masę.

- Mało wydajne. Mnie się podoba pomysł z miotaczem płomieni - powiedział Mistrz Cechu Kowalskiego z błyskiem w oczach na tle swej kamiennej twarzy. - Miotacz ognia - powtórzył i zamyslił się głęboko. Gwałtownie potraśnął głową, aż trzasnęły kregi szyjne. - Idę - rzucił i ukloniwszy się pośpiesznie harfiarzowi i Władcy Weyr - wyszedł.

- Podoba mi się zaangażowanie tego człowieka - stwierdził Robinton. Mimo rozbawienia wzbudzonego dość ekscentrycznym zachowaniem kowala, poczuł dlań duży szacunek. - Muszę przydzielić moim uczniom zadanie ułożenia odpowiedniej Sagi o Mistrzu Cechu Kowalskiego. Rozumiem - powiedział, odwracając twarz do F'lara - że południowa wyprawa została zainaugurowana.

F'lar przytaknął niepewnie.

- Masz jakieś wątpliwości? - spytał Robinton.

- Ta podróż „pomiedzy” w czasie pociąga za sobą pewne ofiary - przyznał F'lar, spoglądając niespokojnie w kierunku sypialni.

- Władcy Weyr jest chora?

- Śpi, ale dzisiejsza eskapada odbiła się na jej zdrowiu. Potrzebne jest nam inne, mniej niebezpieczne rozwiązanie! - F'lar uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- W zasadzie nie przychodzi z żadnym rozwiązaniem - powiedział Robinton szybko - ale z czymś co, jak sądzę, jest kolejną częścią zagadki. Znalazłem pewną wskazówkę. Czteryście Obrotów temu ówczesny Mistrz Harfiarzy został wezwany do Fort Weyr wkrocie po tym, jak Gorąca Gwiazda cofnęła się z nieba nad Pernem.

- Wskazówka? Jaka?

- Zwróć uwagę na fakt, że Nici właśnie zakończyły swe ataki, kiedy Mistrz Harfiarzy został wezwany po raz pierwszy do Fort Weyr. Niezwykle to było dziwne. Wprawdzie - tu Robinton wyciągnął długi, zakończony zrogowaciałym naskórkiem palec ku F'larowi, by podkreślić znaczenie swych słów - nie znajdujemy żadnej wzmianki o przebiegu tej wizyty - ale przecież jakas powinna być. Za takimi wezwaniami zawsze kryje się jakiś cel. Przebieg takich spotkań z zasady jest opisywany, a o tym jednym nie ma ani słowa. W kilka tygodni po wizycie Mistrza Harfiarzy w Fort Weyr w Kronice ponownie

pojawiają się jego zapiski tak, jakby to tajemnicze spotkanie w ogóle nie miało miejsca. Jakież dziesięć miesięcy później do zestawu obowiązkowych Ballad Instruktażowych zostaje dodana Pieśń-Zagadka

- Jesteś zdania, że te dwa fakty pozostają w związku z opuszczeniem pięciu Weyrów?

- Tak, chociaż nie umiem powiedzieć dlaczego. Czuje jedynie, że te wydarzenia, ta wizyta, te zniknięcia i Pieśń-Zagadka są ze sobą powiązane.

F'lar nalał dwa kielichy wina.

- Ja też sprawdziłem stare Kroniki, szukając jakiegoś punktu zaczepienia - wzruszył ramionami. - Do momentu zniknięcia jeźdźców, życie musiało toczyć się normalnie. Kroniki mówią o przyjmowaniu transportów z dziesięciną, o składowaniu zapasów, podają liczby ramionych smoków i jeźdźców wracających już do czynności patrolowych. W pewnym momencie tekst urywa się i od tej chwili wszystkie opisy dotyczą wyłącznie Benden Weyr

- Ale dlaczego z szóstki pozostał właśnie ten Weyr? - zapytał Robinton. - Gdyby należało zostawić tylko jednego, to wybór Ista Weyr byłby bardziej celowy. Benden, położony tak daleko na północ, jest miejscem, którego szanse przetrwania setek Obrotów są znacznie mniejsze.

- Benden położony jest wysoko w gorach i pozostaje w izolacji od przyległych terytoriów. Czyżby zaraza opanowała tych pięć Weyrów, nie sięgając Benden Weyr?

- I nie została żadnych śladów? Oni wszyscy, to znaczy jeźdźcy, smoki i pozostali mieszkańcy Weyrów, nie mogli nagle w jednej chwili paść martwi. Zostałby przecież po nich spalony słońcem szkielety.

- A zatem zadajmy sobie pytanie: po co wezwano harfiarza? Czy kazano mu ułożyć Balladę Instruktażową na temat tego masowego zniknięcia?

- No cóż - mruknął Robinton - z pewnością ułożono ją nie po to, by rozproszyc nasze wątpliwości, a już na pewno nie za pomocą tej melodii - o ile to w ogóle można nazwać melodią. Poza tym ta pieśń nie odpowiada na żadne pytania. Ona je stawia.

- Stawia pytania, na które my mamy odpowiedzieć? - zasugerował F'lar niepewnie.

- Ależ tak - oczy Robintona błysnęły - żebyśmy na nie odpowiedzieli. To prawda, nie sposób zapomnieć tej pieśni, a to znaczy, że skomponowano ją tak, by nie uległa zapomnieniu. F'larze, te pytania są bardzo ważne!

- Jakże pytania są takie ważne? - zapytała Lessa, która właśnie bezszelestnie weszła do pomieszczenia.

Obydwaj mężczyźni zerwali się na nogi. F'lar z niezwykłą sobie troskliwością podsunął Lessie krzesło i nalał jej wina.

- Nie jestem ze szkła - powiedziała kwaśno, jakby urażona nadmiarem uprzejmości. Zaraz jednak uśmiechnęła się do F'lara, chcąc złagodzić kąśliwość uwagi. - Wypałam się i czuję się dużo lepiej. O czym to tak zawzięcie dyskutujecie?

F'lar w paru słowach przekazał jej treść rozmowy z harfiarzem. Kiedy wspomniał o Pieśni-Zagadce, Lessa drgnęła.

- Ja też nie potrafię zapomnieć, tak mi ją wbijano do głowy - tu skrzywiła się na wspomnienie nieubliżanych lekcji u R'gula. - Oznacza to jednak, że jest istotna. Ale dlaczego? Przecież tylko stawia pytania - zatrzepotała powiekami i spojrzała na mężczyzn. W jej oczach zobaczyli zdumienie. - Wszyscy odeszli, odeszli... przed siebie! - zacytowała, zrywając się z krzesła. - To jest to. Wszystkie pięć Weyrów odeszło przed siebie. Ale od kiedy?

F'larowi aż odebrało mowę. Oszołomiony wytrzeszczył oczy na Lessę.

- Poszli przed siebie w nasz czas. Pięć Weyrów wypełnionych smokami - powtórzyła z respektem w głosie.

- Nie, to niemożliwe - zaproponował F'lar.

- Dlaczego nie? - rzucił Robinton podniecony nową ideą. - Czyż to nie rozwiązuje problemu, z którym się zmagamy - problemu zdobycia bojowych smoków? Czyż to nie wyjaśnia przyczyny, dla której opuścili tak nagle swe Weyry, nie zostawiając żadnego wytłumaczenia oprócz tej Pieśni-Zagadki?

F'lar odgarnął kosmyk włosów, który opadł mu na oczy.

- To by tłumaczyło ich postępowanie przed odlotem - przyznał F'lar - bo przecież nie mogli zostawić

z polskiej fantastyki

Ron i Ber siedzieli na tarasie widokowym restauracji hotelowej. Obaj wysocy, barczysti i ciemnowłosi sprawiali w pierwszej chwili wrażenie braci. Zastanawiała u obu oszczędność gestów i spokojne, zdające się niezdolne do wyrażenia uczuć twarze. Przyciągały wzrok wpięte w kłapy ich kurtek ciemnogatowe plakietki Dalekiego Związku Ziemskiego. Byli jednymi z pierwszych. Plakietka Rona miała numer siedmiu, a Bera osmiu. Nosili je od dwóch dni, kiedy to zdali ostatni z wielu egzaminów. Obecny kilkudniowy urlop był tylko krótką przerwą przed przygotowaniem do pierwszego załogowego skoku hiperprzestrzeni. Cztery obywatelskie statki z napędem zero - przestrzennym stały już w hali załadunkowej euroazjatyckiego kosmodromu. Ich otwarte brzuchy połykały codziennie nieprzerwany strumień zapasów i sprzętu. Potem jeszcze tylko dwie kontrole - zwykła i automatyczna - sprawdzą stan statków i 1 marca 08 r. wystartują. Silniki plazmowe wyniosą cztery giganty na okołoziemską orbitę, po czym statki wraz z dwuosobowymi załogami znikną w normalnej przestrzeni.

Ostatni rok Ron i Ber spędzili razem. Jako przyszła załoga ZP-04 musieli się dobrze poznać. Przeszli dziesiątki testów na nietolerancję i uzyskali nieprawdopodobny wręcz wynik. Ponad 98% zgodności. To zresztą przeważało. Wprawdzie do Bera nikt nie miał zastrzeżeń, był szkolony w Centrum od początku, pełne sześć lat, ale Ron był jednym z młodszych stażem kadetów. Miał wprawdzie bardzo dobre wyniki, a indywidualne kształcenie zacierало różnice, jednak gdy rok temu zaproponował Berowi utworzenie dwójki wszyscy sądzili, że ten odmówi. Stało się inaczej i już pierwsze testy wykazały wyjątkową zgodność charakterów i niezwykle wysoki stopień wzajemnej tolerancji, a w miarę upływu czasu okazało się, że Pierwszym załogi będzie Ron.

Przygotowano ich na wszystkie sytuacje, możliwe i niemożliwe, jakie tylko umysł człowieka mógł wymyślić. Tworzyli parę podobną do innych załóg, którym niewiele tylko rzeczy mogło przeszkodzić w osiągnięciu wytyczonego celu. Znali i rozumieli się doskonale, wiedzieli czego mogą się w każdej chwili od siebie spodziewać. Długie mi, cienie przerwał Ron.

- Ber, muszę wyjaśnić ci pewne sprawy. Nie sądzę, żeby to było konieczne, ale dawno już postanowiłem opowiedzieć Ci moją historię. Dane na mój temat, które otrzymałeś z kartoteki Centrum są nieprawdziwe.

- Około trzydziestu pięciu lat temu grupa naukowców zaczęła prowadzić badania nad stworzeniem idealnego człowieka przy pomocy inżynierii genetycznej. Już wówczas badania takie były nielegalne, dlatego pracowali w tajnym laboratorium w spuszczonej budynkach na automatycznej farmie. Mimo że byli naprawdę dobrymi specjalistami, przez wiele lat nic nie wskazywało na to, że się im powiedzie. Rezultaty eksperymentów - małe, zwyrodniałe potworki - wzbudziłyby Twoją litosć i przerażenie. Jedynie czasami udało się stworzyć dziecko wyglądające normalnie. Każde z nich miało swoją kartotekę, w której notowano wszystko: rodzaj zabiegu genetycznego, okres inkubacji i rozwój dziecka, średnio przez 2-3 lata. Kartotekę zamykała zwykle notatka: „MUTACJA NEGATYWNA”. W praktyce oznaczało to zastrzyk penoxu i spalenie małego ciała w wybudowanym w tym celu krematorium.

Obiekt nr 761 był chłopcem. Po sześciu miesiącach życia w jego

kartoteczce pojawiła się notatka: „MOŻLIWOŚĆ MUTACJI POZYTYWNEJ”. Szesciomiesięczny nr 761 był wspaniale rozwiniętym dzieckiem. Już chodził, próbował mówić, fizycznie odpowiadał dobrze rozwiniętemu, dwuletniemu dziecku. Jednakże i jego postanowiono zgładzić. Plany przewidywały przebadanie przynajmniej kilku mutacji pozytywnych i odtworzenie najlepszej z nich. Dala, jedna z лаборantek, usłyszała kiedyś o możliwości skasowania 761. Wydaje mi się, że już wtedy kochała go jak własne dziecko. Przerażona możliwością jego śmierci zawiadomiła o laboratorium Komisję Etyki Badan Naukowych i korzystając z zamieszania powstałego po wkroczeniu policji ukryła 761 u siebie w mieszkaniu. Jego ucieczka - nikt nawet przez chwilę nie pomyślał, że



Mutant

Jan Lubos

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”

ktoś mógł mu pomóc - poruszyła wszystkich, a najdokładniejsze poszukiwania nie dały rezultatu. W czasie rozprawy przed KEBN o niczym innym nie mowiono, nawet właściwy podmiot sprawy - nielegalne badania - zszedł na drugi plan. Zarówno kartoteka, jak i zeznania naukowców pozwalały stwierdzić, że jedenastomiesięczny już 761 doskonale rozumiał co dzieje się w laboratorium. Nie wiadomo kto pierwszy powiedział głośno, że 761 musi nienawidzić ludzi. Gdy w dodatku komputer orzekł, że przy pomocy dotychczas stosowanych kategorii jego inteligencja jest niemierzalnie wysoka, cała KEBN z jednym chyba wyjątkiem wpadła w panikę. Sprawę postanowiono utrzymać w tajemnicy. Wkrótce potem zaczęto masowo wprowadzać testy na inteligencję.

- Reszcie pozostających przy życiu mutantów - było ich wówczas 34 - zabrano i umieszczono w odosobnionym sanatorium w Alpach. Szybko wymierały. Do dziś żyje tylko dwóch moich braci. Tak, braci, bo ja jestem obiektem nr 761. Cztery miesiące przesiedziałem ukryty w mieszkaniu Dali. Po zakończeniu rozprawy Dala przeniosła się do Ameryki Południowej. Jej brat pracował tam w Instytucie Ewidencji Ludności. Odwiedzając go w pracy zdołała wprowadzić do pamięci komputera rejestrującego dane

o swym dziecku - Ronie. Dodała mi cztery lata, bo na tyle wyglądałem, potem zresztą musiałem sam dolożyć jeszcze dwa dalsze. Tak więc mam teraz dwadzieścia, a nie dwadzieścia sześć lat.

Najtrudniejsze były pierwsze lata w szkole. Nie mogłem znaleźć wspólnego języka z „rowieśnikami”. Miałem zupełnie inne problemy i zainteresowania, nudziły mnie ich zabawy. Nie lepiej było w czasie zajęć. Wiadomości przyswajałem sobie kilkakrotnie szybciej niż inni, w dodatku nigdy niczego nie zapomniałem. Bardzo się męczyłem usiłując wysłuchać do końca lekcji bez zwracania na siebie specjalnej uwagi. Wtedy też pierwszy raz zetknąłem się z Testami. Na szczęście zaczęło je dopiero wprowadzać i jak wiesz były dość prymitywne. Przewidziana była wprawdzie możliwość fałszywych odpowiedzi w celu obniżenia wyniku, komputerowa analiza wykryłaby natychmiast takie próby. Nie uwzględniono jednak najprostszego sposobu - braku odpowiedzi. Komputer nie znajdował w tekście sprzecznych informacji, sumował punkty za moje odpowiedzi i informował o wyniku bardzo dobrym, lecz nie odbiegającym od przyjętych norm. Było to bardzo proste. Po kilku latach Testy udoskonalono, brak odpowiedzi był również interpretowany. Były to już prawdziwe zawody między mną, a maszyną.

Gdy miałem nominalnie osiemnast lat otrzymałem, jak wszyscy, identyfikator. Zmusiło mnie to do podwójnej ostroż-

ności. Do tej pory w razie popełnienia błędu mogłem liczyć na to, że mnie nikt nie rozpozna i uda mi się uciec, teraz identyfikator natychmiast pomógłby mnie odnaleźć. Wkrótce potem zostałem sam. W czasie mojej nieobecności zmarła Dala. Gdy wróciłem było już za późno na reanimację. Nie chciałem dalej tam mieszkać. Przeniosłem się do Luny, ówczesnej stolicy Księżyca. Nie wiele brakowało, a zostałbym tam rozpoznany. Zdarzył się wypadek. Dzisiaj druga strona jest już bezpieczna, ale siedem lat temu nie było jeszcze na Księzycu rejestratorów obecności, dlatego zbyt późno zauważono za długą nieobecność grupy turystów. Byłem na samotnej wycieczce po drugiej stronie, gdy ogłoszono alarm. Na podstawie podanych szczegółów szybko obliczyłem, że muszę znajdować się gdzieś w pobliżu. Odnalazłem ich po godzinie. Polot, którym podrozowali spadł z dość znacznej wysokości. Maszyna była nie do użytku, a ludzie nadawali się do intensywnego leczenia. Musiałem natychmiast podać ich położenie, ale nie mogłem zostać rozpoznany. Zbyt szybko jak na człowieka ich odnalazłem. Dlatego przed połączeniem się z Mózgiem kierującym poszukiwaniami ekranowałem identyfikator. Po podaniu położenia rozłączyłem się i szybko odciekałem. Wprawdzie nie zostałem rozpoznany, ale szukający mnie zyskali pewność, że między dwoma milionami ludzi, przebywającymi na Księzycu, ukrywa się obiekt nr 761. Zrobiła się z tego gruba afery. Wszyscy mężczyźni w wieku od 14 do 30 lat byli testowani indywidualnie przez Centralny Mózg Luny. Dla mnie było to coś całkiem nowego. Liczyło się wszystko: treść odpowiedzi, czas namysłu, ton głosu. Czujniki mierzyły temperaturę ciała i ciśnienie krwi. Wygrałem ten pojedynek. Dowiedziałem się, że potrafię oszukać każdego, nawet największy Mózg.

- Te „przesłuchania” narobiły dużo szumu. Nikt nie wiedział o co w nich chodzi, a Rząd nie dawał żadnych wyjaśnień. Chyba dla odwrócenia uwagi, wideowiadomości podały informacje o udanych próbach ze zjawiskiem przenoszenia hiperprzestrzennego i budowie pierwszych statków z napędem zero-przestrzennym. Było to udane pociągnięcie. Cała ludzkość zaczęła dyskutować o możliwościach jakie się przed Ziemią otwarty. Niedługo potem otwarto Centrum Szkolenia Dalekiego Zwiadu Ziemskiego. To była dla mnie szansa! Warunki nakładane na kandydatów były tak wysokie, że tylko naprawdę nieprzeciętni ludzie mogli zostać kadetami. Między nimi czułbym się swobodniej, nie byłoby między nami aż takiej różnicy...

- A potem - długie pobyty w innych układach, samotna praca, krótkie urlopy na Ziemi. Nie mogłem tej szansy zmarnować. Ze względu na wiek musiałem odczekać jeszcze trzy lata; złożyłem podanie i przyjechałem do Centrum na egzaminy. Mimo olbrzymiej konkurencji - tysiące kandydatów, z których tylko dziesięciu miało wygrać - atmosfera była wspaniała

- Dalej wiesz, badania, próbne testy, znowu badania. Wstępna selekcja. Zostało nas osiemdziesięciu. Przedostatnim sprawdzianem był indywidualny test na inteligencję ogólną; wprawdzie przeszedłem - musiałem przejść - i przez to sito, ale pierwszych dziewięciu miało nade mną dużą przewagę. Zdecydować miał sprawdzian wydolności fizycznej organizmu. Nikt nie dawał nam z drugiej dziesiątki żadnych szans. Dziewięciu kandydatów odeskoczyło już od innych zbyt daleko, a dziesiątym był mistrz olimpijski w wieloboju lekkoatletycznym. Wtedy drugi raz w życiu postanowiłem zaryzykować. Chciałem zostać kadetem i zostałem nim. Reszta już dobrze znasz.

- Powiedz Ron, dlaczego mi to opowiedziałeś?

- Po pierwsze - uśmiechnął się - chce abys wiedział, że mogę dużo więcej niż inni ludzie. Jak wiele, sam jeszcze nie wiem. Po drugie i tak już wiedziałeś. Szef Ci powiedział?

- Tak. Gdybys był od początku w Centrum wiedziałbys, że jest moim ojcem. Potem jakos przestali o tym mówić. Ucieszył się, że wybrałeś do dwójki mnie, a kim jesteś powiedział mi wczoraj. Wtedy po egzaminie wstępnym, zorientował się, że 761 to ty. Wiedział o mutacji pozytywnej prawie od początku. Dziewiętnastu lat temu był członkiem KEBN.

- Fajnie, że razem leczymy.

- No jasne, zadziwny cały świat. To już tylko dwa tygodnie.

Luty 1983

Jan Lubos

Kiedy był mały, stał tam zawsze; tuż przy szklanej ścianie. Z nosem spleśzczonym na zimnej tafli; uważny i cierpliwy; wpatrzony w szare obłoki snujące się nisko nad ziemią - za szkłem.

Świat za szkłem

Dariusz Romanowski

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”

Było to miejsce ustronne. Nie chodzili tedy dorośli, nie bawili się tu dzieci, jakby świadomie unikając bezpośredniego kontaktu z przezroczystym pancerzem. Tylko on nie odczuwał przed nim lęku. Całymi godzinami mogli tkwić nieruchomo zwarty z gładką powierzchnią. Nie doskwierała mu przy tym samotność, nie trwożyła panująca wokół cisza; czuł się tutaj sobą bardziej niż na ruchliwych ulicach czy gwarnych placach zabaw. Był chyba jedynym człowiekiem w mieście, który lubił tu przebywać. Dziwił się, kiedy rodzice niechętnie spoglądając w tę stronę ze wstrętem mówili: „Ponure miejsce”, a rówieśnicy spieszenie dodawali: „I nudne”.

W ścisłości, miejsce, w którym spędzał większość swego wolnego czasu, nie przedstawiało się imponująco. Trochę karłowatych drzew rosnących na owalnego kształtu piaskowych wyspach, siłą wydartych gładkiemu oceanowi i betonowi, kilka zapomnianych już dawno metalowych ławek, obłożonych z zielonej farby i miejscami zardzewiałych, kosze na śmieci - nic ciekawego. Martwe bezładnie. Peryferie miasta. I jeszcze ta szklana ściana odgradzająca dostęp do reszty świata... Dwa metry przed nią urywał się rzadki laszek wiatych drzew i dalej był już tylko lity beton schodzący się pod kątem prostym z pionowym masywem.

Ogrom. Może to tak bardzo urzekło siedmioletniego chłopca? Ściana była wprost nadnaturalnych rozmiarów. Nie można było dostrzec ani jej kranców górnego (na wysokości kilkuset metrów wszystko tonęło w chmurach), ani kranców bocznych (w dalekiej perspektywie przesłaniały je niebotyczne budynki). Wydawać się mogło, że jest po prostu nieskończenie wielka. Jedynie jej grubość można było ocenić z pewną dokładnością - nie więcej jak dwa metry. Dwa metry krystalicznego szkła, przez które można było obserwować to, co działo się po tamtej stronie. Widzieć tamten świat. To i tylko to było przedmiotem jego zainteresowania. Obserwacja. Śledzenie kolejnych przemian, jakim podlegały ciemne, wolno wędrujące tumany. Pyłowe? Oparowe? Kurzu?... Nie miał pojęcia.

Zawile kombinacje, pasma i kłęby lotnej substancji działały na wyobraźnię. Widział w nich wszystko to, co może zobaczyć dziecko w jego wieku. Potwory, duchy, gryfy i postacie z bajek... całe basznowe krainy; inny świat, bliższy jego sercu, gdyż stworzony przez niego samego. Odnalazł w nim siebie nawet o tym nie wiedząc, dzięki niemu mógł zaspokoić swe najskrytsze pragnienia. Ale nie tylko to. Było jeszcze coś, co budziło jego ciekawość, chęć poznania, głód wiedzy - nieznane.

Wielu rzeczy i zjawisk tam zachodzących nie rozumiał. Nie mieszczyły się one w utartym sposobie pojmowania, jakiego go nauczono. Dlaczego jest tam tak ciemno? Jaki jest powód tego nieustającego ruchu, w którym przy pomocy odrobiny fantazji można odnaleźć wszystko, co jest do pomyslenia? Dlaczego jeszcze nigdy za „szkłem” nie zobaczył człowieka? Tego typu pytania nurtowały go zawsze, kiedy przez dłuższy czas wpatrywał się w świat za szkłem. Szukał tam odpowiedzi, lecz nie znajdował ich, dlatego też zawsze powracał w to miejsce w nadziei, że może kiedyś uda mu się poznać prawdę.

Pewnego dnia, kiedy chęć uzyskania odpowiedzi zaważnęła na nim całkowicie, a dziecięca ciekawość sięgnęła szczytu, zdecydował się na wypowiedzenia swych pytań pełnym głosem, wobec całego świata.

Pierwsze kroki skierował do matki.

Kosztowało go wiele trudu, zanim zdołał pokonać wewnętrzne opory niezrozumienia i podejrzliwości, jakie przejawiała. Wreszcie jednak udało mu się „zaciągnąć” ją w to miejsce.

- Mam, co tam jest? - powiedział i małą dłoń wskazał szklaną ścianę

Matka najpierw udawała, że nie rozumie, później chrząknęła i chciała coś powiedzieć, ale zająknęła się tylko, jakby w ostatniej chwili zmieniła decyzję - nie powiedziała nic. A on czekał uparcie wpatrując się w jej oblicze.

- Co tam jest? - powtórzył z nadzieją.

Tam... tam nie ma... - zaczęła łamiącym się głosem. - Zupełnie nic - dodała już całkiem pewna siebie.

Odwrocił głowę. Patrzył teraz na szklaną ścianę i przez chwilę zastanawiał się dlaczego to zrobiła. Dlaczego oszukała go?

Matka chciała dotknąć jego ramienia, ale cofnęła rękę i szybko odeszła. Pozostał sam w swym ulubionym miejscu. Całe zdarzenie w jednej chwili poszło w niepamięć. Od wczorajszego dnia nie zmieniło się nic. Nadal był sam na sam ze swą tajemnicą... i ze swymi pytaniami

Chmury - jedne zwiewne, pierzaste, umykające, zanim uda się pochwycić wzrokiem ich formę, inne gęste i ciężkie, wiszące nisko nad ziemią w pozornym bezruchu; wszystkie ciekawe i absorbujące uwagę, niezrozumiałe... ale piękne. W ich ruchu było coś, czego istoty nie mogli zgłębić. Coś... naturalnego.

Były to prawdziwe chmury, które w niczym nie przypominały białych prostokątów unoszących się nad jego miastem i noszących tę samą nazwę. „Chmury” miejskie równomiernie nawilżały atmosferę, którą oddychał, wzbogacały powietrze w tlen, usuwały z niego toksyny i ochraniały ludzi przed szkodliwym promieniowaniem sztucznego mikroświata, przeznaczenia chmur z szklanej nie umiałby określić, były zbyt nieregularne, wymykały się logice... I może właśnie dlatego za wszelką cenę musiał dowiedzieć się dlaczego i po co w ogóle istnieją. Samodzielnie nie był w stanie rozwikłać zagadki; im więcej tworzył prawdopodobnych rozwiązań, tym więcej rodziło się wątpliwości...

Nazajutrz spróbował raz jeszcze. Tym razem zwrócił się do ojca; jego wiedza wydawała mu się przecież tak wielka. Wystarczy tylko wszystko opowiedzieć, a rozwiązanie przyjdzie samo.

Zadawał pytania jedno po drugim, w taki sposób, że tworzył dziwny tasemcowy monolog, w którym nie było nawet krótkich przerw na zastanowienie się nad ich sensem, a już zupełnie wykluczona była możliwość udzielenia jakichkolwiek odpowiedzi. Chłopiec wyrzucał je z siebie jednym tchem, nie pozwalając dojść do słowa, dopóki nie skończył, jakby w obawie, że przedwczesna odpowiedź zrujnuje ten potężny gmach wątpliwości, który, wybudowany przezeń, teraz przyniesie go swym ciężarem. Był coraz bardziej podniecony. Bał się. I pytał, pytał, pytał...

Ojciec wcale nie zamierzał przerywać. Czekal zatopiony w swym fotelu, a zachłystujący się z wrażenia mały człowiek skończył. Kiedy to nastąpiło, spokojnym i łagodnym tonem jął wszystko po kolei wyjaśniać.

W miarę jak niewiedzę zaczął zastępować ciąg logicznie powiązanych ze sobą faktów, które w dodatku wszystko tak do końca tłumaczyły, zaczęło chłopca ogarniać dziwne uczucie, jakiego jeszcze nigdy dotychczas nie doświadczył...

Było to rozczarowanie.

- Więc za tym szkłem nie ma nic? - usiłował jeszcze nie dowiedzieć.

Nic. Wszystko co widzisz, to taki sam film jak w kinie, tylko że bez porównania bardziej nudny i monotony - dorosły nie przedstawiał żadnej nadziei. Druzgotał każdy przejaw wątpliwości czyniąc swe słowa jedynym i doskonałym wyjaśnieniem.

- Ale po co? Po co oni wyświetlają ten film? Przecież tam nikt nie chodzi... oprócz mnie...

- Gdyby nie było tego filmu, „szklana ściana” - jak ją nazywasz - byłaby matowa i nieprzezroczysta, jak ekran wyłączanego telewizora. Jak czułbyś się widząc taką przytłaczającą szarą masę?

- Ale coś przecież musi być za tym... ekranem... Co tam jest?

- Za ekranem jest inne miasto, takie jak nasze.

- A po co między miastami taka ściana?

- Widzisz, ludziom lepiej się żyje w mniejszych grupach, dlatego podzieliли ogromne miasto, jakim jest świat, na szereg mniejszych, aby nawzajem sobie nie przeszkadzać.

Wiedział. Ludzie nie chcą sobie przeszkadzać, dlatego budują między sobą ściany. Jego koledzy też zawsze budowali takie ściany, kiedy chciał się z nimi bawić. On też budował taką ścianę, kiedy nie chciał bawić się z nimi. Była tak gładka i przezroczysta, że nikt nie mógł jej zauważyć. Ale wiedział, że jest wystarczająco mocna, by nikt nie potrafił jej zburzyć.

Wybiegł z pokoju. Po kilku minutach znalazł się na swym miejscu przy szklanej ścianie. Postanowił, że zanim odejdzie stąd na

zawsze musi jeszcze coś sprawdzić. Chwile patrzył na nieme obrazy zza szkła, ale nie odnalazł już w nich tego, co zawsze go tu przyciągało. „Za szkłem” nie było już natury. Odnajdzie ją gdzieś indziej; w świecie domów-wież, betonu, automatów i elektryczności termojądrowych, tam gdzie panuje czystość, ład i porządek, celowość, jednomyślność i praca. Zrozumie sens współistnienia z nią tak samo nieodzowną, jak niegdyś przynależność do zwierząt i roślin, jak uzależnienie od nich.

Odwrocił się i odszedł.

Do wieczora bawił się z ojcem kolejką elektryczną.

Następnego dnia chciał pojechać tam jeszcze raz, aby ostatecznie sprawdzić jak to jest z tym ekranem, ale koledzy wciągnęli go do wspólnej zabawy w roboty i tak zeszło do wieczora.

Po tygodniu nie pamiętał, że kiedykolwiek zamierzał tam chodzić.

Po miesiącu miejsce to wydało mu się tak samo nudne jak wszystkim.

Później była szkoła, dorastanie, nowe zainteresowania...

Przebudzenie nastąpiło pewnego szarego dnia.

Siedział właśnie zasnęty na wykładzie prowadzonym przez tego nudziarza „amebę”, kiedy z ust profesora padły słowa, które przypominały mu straszliwe podejrzenia z dzieciństwa. Początkowo nawet nie bardzo docierały do niego. Słyszał je jakby przez grubą zawieszoną mgłę odgradzającą go od wykładowcy. Pamiętał poszczególne zdania, ale nie potrafił zbudować z nich logicznej całości. Zresztą wcale nie usiłował tego robić. Oczekiwał upragnionego sygnału końca lekcji, by móc wreszcie wyjść i nie oglądać już starczej twarzy „ameby”. Poza tym nic więcej go nie interesowało.

Dopiero po kilkunastu minutach, kiedy opuścił salę wykładową, te kilka zdań, wypowiedzianych jakby na marginesie, bez nadania należytej im wagi, eksplodowało w jego umyśle.

TOTALNA KATASTROFA EKOLOGICZNA. NA OBSZARZE 54% POWIERZCHNI KULI ZIEMSKIEJ NIE WYKRYTO ŻADNYCH PRZEWIDUJĄCYCH ŻYCIA. SKAŻENIE GRUNTU SIĘGA 12 M GŁĘBOKOŚCI. SKAŻENIE WÓD SŁODKICH - 40%, SŁONYCH - 25%. ZANIECZYSZCZENIE ATMOSFERY - 55%. ROZPAD OZONOSFERY - PRZENIKANIE PROMIENIOWANIA ULTRAFIOLETOWEGO O 12% WYŻSZE OD DOPUSZCZALNEGO. ŚREDNIA TEMPERATURA OBNIŻYŁA SIĘ O 10°. TOTALNY ZANIK NATURALNEJ FAUNY LĄDOWEJ, PRAWDOPODOBIEŃSTWO RÓWNIEŻ WODNEJ. POSTĘPUJĄCA DESTRUKCJA FLORY NATURALNEJ. JEDYNE „MIASTA POD KŁOSZEM” STWARZAJĄ MOŻLIWOŚĆ EGZYSTENCJI LUDZIOM NA ZIEMI. 300 MIAST HERMETYCZNIE ZAMKNIĘTYCH SZKLANymi CZASZAMI O PRZECIĘTNEJ ŚREDNICY 5 KILOMETRÓW, ROMIESZCZONYCH W RÓŻNYCH STREFACH PLANETY. IZOLACJA OD ŚRODOWISKA ZEWNĘTRZNEGO. PRZEBYWA W NICH ŁĄCZNIE 300 MILIONÓW LUDZI - OFIAR POSTĘPUJĄCEJ DEGENERACJI. PRZECIĘTNY WZROST DOROSŁEGO MIESZKANCA „MIASTA POD KŁOSZEM” W GRANICACH 1 M 10 CM. BRAK UZĘBIENIA I OWŁOSIENIA. CHARAKTERYSTYCZNY NIEBIESKAWY ODCIEN SKÓRY, CZARNE ZROGOWACIAŁE PAZNOKCIE, GŁĘBOKO ZAPADNIĘTE OCZY...

300 MILIONÓW LUDZI...

POZOSTALI, NIE PRZEJAWIAJĄCY OBJAWÓW DEGENERACJI, ZAMIESZKUJĄ 100 TYS. TZW. KOSMOPOLIS ORBITUJĄCYCH WOKÓŁ ZIEMI.

Teraz wiedział... Nareszcie. Tyle wystarczyło, aby mógł dopowiedzieć sobie całą resztę. Wspomnienia ukryte w pamięci nagle ożyły. Na pytania, które kiedyś tak bardzo go dreczyły, mógł wreszcie udzielić prawdziwych odpowiedzi. Dlaczego świat za szkłem jest taki ciemny i ponury? Proste - regresja wzroku. Światło prawdziwego słońca, które można było tam zobaczyć w porównaniu z miejskim mikroświatem było jak świeczka w zestawieniu z reflektorem. Brak ludzi po tamtej stronie wyjaśniał się sam przez się.

Teraz było to oczywiste i zrozumiałe w takim samym stopniu, jak niegdyś nieodgadnione. Każdy obraz zapamiętany z tamtego świata znalazł swe nowe znaczenie, był odzwierciedlony w jego wnętrzu, był jego wnętrzem.

Siedział teraz wolno miejskim trotuarem z metalu i plexi, zawieszonym kilkadziesiąt metrów nad ziemią i łączącym najwyższe kondygnacje okolicznych budynków. Podświadomie zachowywał wciąż ten sam kierunek, nie zamierzony - do centrum miasta, lecz zupełnie przeciwny. Siedział w stronę szklanej ściany. Myślał o tym, dlaczego tak długo oszukiwano go.

Ostatni raz był widziany tam, na tej wysokiej, ażurowej konstrukcji, wpatrzony w swój świat.

Tego dnia Pierre Beaucourt nie przyszedł do pracy. Był to niewątpliwie najdziwniejszy przypadek w jego nudnym życiu. W biurze spółki akcyjnej pracował już trzynast lat. W tym czasie nie spożył się ani razu, co dopiero mówić o absencji. Szef podejrzewał, że - jak to czasem się zdarza przesadnie zdyscyplinowanym pracownikom - Beaucourt postanowił zerwać z dotychczasowym trybem życia. Może znalazł kobietę, która doradziła taki krok - a może jego samego opętało szaleństwo. Szef tak czy owak zadzwonił do mieszkania Beaucurta - zrobił to raczej z

Encelograf kreslił małą, lecz charakterystyczną linię. Ciało nie stygło. Policjanci dokładnie przeszukali dom. Uderzyło ich jedno: zapach w sypialni Pierre'a. Nikt z obecnych nie umiał skojarzyć tej woni z niczym znanym.

Wobec faktów i orzeczenia lekarskiego, szef został wypuszczony, a Beaucurta odwieziono do kliniki przy Lyonne Avenue 16. Dalsze dokładniejsze badania potwierdziły, że Beaucourt żyje, jego organizm jest pogrążony w letargu, serce uderza raz na mniej więcej 82 sekundy. Pierre został podłączony w małej salce do apa-

Okrag czasu

Jacek Martynik

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”

czystej ciekawości, aniżeli z chęci zadoskuczania przepisom. Telefon nie odpowiadał. Długo, przenikliwy sygnał odezwał się także za drugim razem. Dochodziła ósma rano, a wszyscy byli pewni, że Beaucourt wrócił na noc do domu. Litus Seacort zapewniał szefa, że odwoził Pierre'a osobście.

Rozważania kierownika prowadziły do przypuszczenia następujących: Beaucourt wyjechał w pilnej sprawie, ale uprzedziłby telefonicznie, lub też Beaucourt... Nie, to niemożliwe żeby uległ jakiemuś wypadkowi. Policja właśnie biuro powiadomiłaby w pierwszym rzędzie. A zatem nie pozostawało nic innego jak jechać do domu Beaucurta i wyjaśnić sprawę osobście.

W poł godziny szef dojechał do przedmiescia, gdzie mieszkał Beaucourt. Skrzywił się z niesmakiem patrząc na koslawę i niezbyt gustowną fasadę domu. Podeszedł do drzwi. Zadzwoił. Z wnętrza nie wydobywał się żaden odgłos. Włączył dzwonek powtórnie. Narisnął kłamkę, drzwi nie ustąpiły pod naporem ciała. Szef uznał, że nie ma nikogo w domu i w tym samym momencie pomyślał ze współczuciem - szkoda, że Pierre nie ożenił się do-
ład

Mógł wracać, miał jednak niejasne podejrzenia. Przeczuciwał coś groźnego i nieznanego. Odkał pojawił się przed domem Beaucurta czuł, że sprawa nie jest prosta i oczywista. Obszedł dom dookoła. Wszędzie zasłanki były zaciągnięte. Niepodobne to do pedantycznego Pierre'a. Był już wręcz pewien, że jego podwładny miał wypadek. Musi dostać się do wnętrza domu - postanowił. Okno w kuchni było lekko uchylone. Szef rozglądał się ostrożnie dookoła. Czuł się jak włamywacz, choć był pewien swoich dobrych intencji. Pchnął nieco okno. Wszedł na blat stołu. Zeskoczył i ruszył w głąb mieszkania. Nie znalazł jego rozkładu. Sypialnia, jak się domyślał, znajdowała się na piętrze. Wszedł po skrzypiących schodach. Pod sufitem jarzył się rząd drobnych lamp wiodących ku drzwiom jakiegoś pokoju. Szef otworzył powoli drzwi. Mała norna lampka oświetlała krawędź łóżka, pościel leżała w miętazie. Wokół unosił się subtelny, nierzanny zapach. Było w nim coś upojnego, podniecającego, delikatnie oddziaływa-
jącego na umysł szefa. Rozejrzał się po pokoju. Nie było nikogo. Na stole leżała na wpol otwarta książka. Odwrócił ją... „Szescset pozycji z rysunkami i opisem” z serii „Erotyka dla nieprofesjonalistów”. Od tej strony nie znalazł go - pomyślał ze zdziwieniem. Obrocił się na piecie. Czuł się dziwnie nieswojo przeszukując obce mieszkanie. Czynał to dla zaspokojenia swojej ciekawości? Sam już nie miał pojęcia. Być może Pierre zerwał w nocnym telefonem wyjechał natychmiast. Ale gdzie? Nie miał przecież bliskiej rodziny. Szef otworzył drzwi łazienki. Ostre jarzeniowe światło uderzyło go w oczy. Zmrużył je i powoli przyzwyczaił do mocnego blasku. Na lewo, przed małym stolikiem, naprzeciw lustra siedział Pierre. Ubrany w ciemnozielony szlafrok, głowę miał opartą o zacisnięte pięści spoczywające na stoliku. Włosy miał nieco wzburzone, zupełnie jakby polargane dłońmi w gescie rozpacz. Jego wygląd był naturalny, lecz jedno było bardzo niepokojące - Pierre nie oddychał. Z drżeniem serra szef podeszedł do Beaucurta, wyciągnął ostrożnie rękę jakby bojąc się by tamten go nie pogryzł, dotknął palcami dłoni Pierre'a. Była ciepła. Nicco spokojniejszy ujął Beaucurta za ramię. Głowa opadła lekko na bok. Szef cofnął się gwałtownie o krok, przyglądał się Pierre'owi. Oczy miał zamknięte, bladą twarz, usta bezwładnie otwarte. Wszysko to było podejrzenie i przerażające. Otrząsnawszy się z pierwszego wrażenia szef pobiegł na parter zawiadomić pogotowie i policję. Wiedział, że sprawa przyniesie mu wiele kłopotów, będzie głównym świadkiem, lecz będąc z natury człowiekiem uczciwym bał się co najwyżej biegający od komisariatu do sal rozpraw i długich rozmów z policjantami.

Policja zjawiała się szybciej, wyprzedzając o kilka minut pogotowie. Pierwsi zajęli się szefem, drugzi Pierre'em. Lekarz po pierwszych oględzinach chciał uznać zgon, lecz nie był zbyt pewien swej decyzji. Poszkodowany wykazywał bowiem prace mózgu.

ratu odżywczego. Jego przypadek zakwalifikowano jako nietypową śmierć kliniczną. Okreslenie „nietypowa” dodano ze względu na nieznajomość przyczyn stanu, w jakim znalazł się Pierre.

Po dwóch tygodniach bezskutecznych poszukiwań najbliższych i najdalszych krewnych zarządzono przeniesienie Beaucurta do Polikliniki Paryskiej. Tam, w sali dla przypadków ostrych, umieszczono go pod opieką profesora Louviera. Zespół profesora pracował około pół roku nad zagadką. Jedyną rzeczą, którą ustalono był fakt świadomej wewnętrznej pracy mózgu, a zatem tak jakby Pierre został zamknięty w podwójnej klatce: snu i ciała.

W drugą rocznicę przybycia do Polikliniki Paryskiej profesor postanowił na własną rękę, bez uprzedzenia jakiegokolwiek osoby z zespołu, odłączyć aparaturę odżywczą. Przez trzy tygodnie stan Pierre'a nie zmieniał się. Wynikało z tego, że organizm nie potrzebował żadnych pokarmów. Przestały także rosnąć paznokcie i włosy, procesy starzenia ustały. Z pewnością było to sensacją, lecz należało jeszcze rzecz sprawdzić dokładniej. Zespół został powiadomiony o dotychczasowym przebiegu nowego doświadczenia. Przejął też wszystkie czynności, które przez trzy tygodnie wykonywał Louvier. Profesor po wielu zarwanych i nieprzespanych nocach wyjechał do swojej willi nad morzem, utrzymując przez cały czas kontakt telefoniczny. W dwa tygodnie później Louvier zmarł na zawał serca, pośrednią przyczyną było przemęczenie spowodowane pracą nad „przypadkiem Beaucurta”

Zespół przejął docent Serquet, który w rok po śmierci profesora Louviera opublikował pełen zesław badań i komentarz dotyczący nienaturalnego stanu Pierre'a. Praca Serqueta wywołała dużą sensację w świecie medycznym, lecz ludzkość wpatrzona była w wyczyny trzech amerykańskich astronautów lądujących po raz pierwszy na Księżycu. Po roku inwencja Serqueta, w owym czasie już profesora, skończyła się. Nie umiając wyjaśnić przyczyny letargu zajął się czym innym.

Mijały długie lata, a Pierre nadal leżał doglądany przez coraz to nowych ludzi - sprawdzających, „czy aby nie umarł?”. Samopoczucie jego było świetne i przeżył już siedmiu swoich opiekunów. Świat, zafascynowany osiedlami na Księżycu i kopalniami na Marsie, zapominał co prawda o nim, ale lekarze dbali o niego, jak o relikwii przeszłości. Został właściwie stałym elementem, wręcz częścią wyposażenia Policlinique de Paris. Doglądano go troskliwie, częściowo obsługiwał Pierre'a komputer zmieniający położenie jego ciała, by nie spowodować odleżyn. Z biegiem lat zmienił sale i umieszczono go głęboko pod ziemią w małym laboratorium. Opiekowało się nim dwóch mężczyzn i automat sterujący pracą łoża, na którym spoczywał Beaucourt. Zaglądali do niego dwa razy na miesiąc. Przychodzili odziani w śmieszne opinające ubrania, które były ich sterylnymi fartuchami. Dotykali Pierre'a strojąc blazenskie miny. Niekiedy nie wierzili już, że ich pacjent nadal żył; że od setek lat był taki sam, bo przecież nie przyjmował pokarmów, nie oddychał prawie, a serce jego było tak wolno jakby przelaczało nie krew, lecz gęstą zimną smole. Mówili o nim „dziadek Pierre” i traktowali jak dobrodusznego zółwia, który może coś sobie myśli pod twardą skorupą, lecz kogo to obchodzi? I ci dwaj młodzi ludzie zestarli się przy nim, i odeszli w cien wieków, nie zrobiwszy właściwie nic pożytecznego. Ludzie dowiedzieli się wiele o planetach odległych gwiazd, zamierzali je skolonizować. Tymczasem Pierre żył, a konkretniej trwał. Istniał przez wieki, a świat podziwiał go, mówiąc o wiecznej młodości sedziwego Francuza.

Wiele lat później, gdy pionierzy poczeli opuszczać grupkami Ziemię, by szukać szczęścia we Wszechświecie, Pierre przejechał

kilka korytarzy dalej i znalazł się w nowej rzeszcie oświetlonej sali, obsługiwany wyłącznie przez samosterujące się automaty. W ściany sali zostały wprawione okna, za którymi przewijał się tłum ludzi przyglądających się owłosionemu, nagiemu mężczyźnie sprzed tysięcy lat. Jak go traktowali? Ogłębnie mówiąc nie traktowali go w ogóle. Historię jego długiego życia znali wszyscy ze szkół elementarnych. Z czasem przestali przychodzić, a jedynie wycieczki ze szkół w dniu rozpoczęcia roku szkolnego przychodziły odwiedzić „wiecznego pana Pierre’a”. Był już postacią legendarną niczym Dziadek Mroz czy Królowa Śnieżka. Jedyne co odróżniało go od lamtych, to fakt, że rzeczywiście istniał. Później trwała cisza przerywana pracą automatów i skrzypem łoża. Pewnego dnia automat mierzący puls zatrzymał się, a reszta światła zgasiła i salę rozświetlił nagle blask luminescencji. Pierre nadal miał zamknięte oczy. Nie reagował nawet na zmianę oświetlenia i martwość sceny. Jak kamień leżący na polu, jak monument nie potrzebujący niczego, opierający się wichrowi czasu i deszczowi zdarzeń.

Ile to już lat? Nikt nie zliczy. Ile wieków upłynęło w tej całkowitej ciemności? W porządnej sali, wśród zakurzonych automatów, we własnym cieple, w chaosie dziejów. Czy cokolwiek, co zrobił człowiek przebrnęło przez tyle epok w stanie nienaruszonym? Czy istniało coś ludzkiego, czego burzący i mściwy czas nie zniszczyłby dla swojej przyjemności i chęci niwelowania działania i formy?

Pierre otworzył oczy. W jakim dniu tygodnia? Nikt, nigdy nie odpowie. Może była to niedziela, a może ... Czas i wszechświat w obłędnej spirali i gonitwie zniszczyły wszelką rachubę. Jedno było pewne: Pierre Beaucourt.

Oczy odwykłe od patrzenia uczyły się patrzeć, rozpoznawały kształty i słaby poblask jakiegoś fosforyzującej substancji. Uszy odwykłe od słuchania uczyły się rozróżniać dźwięki. To – skrzyp łoża, to – głęboki oddech płuc, które uczyły się oddychać, to – bicie własnego serca, które uczyło się bić. Nos odróżniał zapachy: kurzu i własnego ciała. Mózg uczył się myśleć, reagować, kojarzyć, zadawać pytania, wysnuwać wnioski. Pierre myślał!

„Jestem nagi, jest ciemno, jest cisza, jest bezwonnienie. Gdzie jestem, co to za dzień, gdzie są ludzie, czemu jest tu tak brudno?” Beaucourt czuł jak kurz zsypuje się z jego ciała. Podniósł się i stanął na własnych nogach. Przy tak wielu niewiadomych było jedno pytanie zasadnicze: „Co się stało?” Ostatnie co pamiętał, to dziwny zapach, odłożona książka, łazienka i lustro, w którym nie zobaczył własnej twarzy.

Opanowując słabość i drżenie mięśni doczołgał się do drzwi. Otworzył je. Uderzyła go cisza dźwięcząca i potężna. Był to zgiełk i nieporządek oszalałymi wielki po małym poukładanym w przegrodach świecie. W korytarzu zalegała ciemność groźna i spokojna, kryjąca wszystko niczym kłamstwo rzucone komuś, kto nie umiał w nie wierzyć. Beaucourt stał w miejscu, chwiał się na nogach oparty o futrynę. Chciał krzyknąć, lecz o czym? Bał się teraz swojego własnego zamiaru. Ogarnął go strach przed samym sobą. Uciec! Dokąd? Na tych słabych nogach?

Ruszył przed siebie. Na końcu korytarza znajdowały się schody. Pięły się łagodnie w górę. Bezwiednie kierował się ku górze. Czuł, że tam będzie jego wybawienie, ratunek i odpowiedź. Szedł powoli krok za krokiem, jakby delektując się poszczególnymi stapieniami. Potem schody skończyły się. Pierre osiągnął poziom, który był ostatnim. Tu także panowała ciemność. Dopiero daleko w głąb w jednej z sal zobaczył oslepiający promyk dziennego światła. Na małym pulpicie leżała księga z pożółkimi, rozpadającymi się kartami. Spośród niewyraźnych gryzmołów rozpoznał tylko jeden – datę.

„To już tak bardzo późno” – pomyślał wzdychając. Kilkutysięczny cień lat, które upłynęły od ostatniego zapisu i lała następne opady nań ciężkim brzmieniem. Nie wydał już głosu, było mu wszystko jedno. Chciał tylko kogoś spotkać. Wyszedł z gabinetu. Szukając po omacku wyjścia dotarł do niszy, w suficie której mieściła się mała lampka. Uniósł ją do góry.

Czuł, że rozrywa jakąś kruchą powłokę, a piach i kamyczki padają na jego twarz. Przez powiększającą się szparę przenikało coraz więcej słońca. Do jego uszu dochodził dźwięk falujących traw i szumiącego wiatru. Radością powtórnym urodzin peczęniało jego serce. Napinał zwiótczale mięśnie chcąc już dosięgnąć o-wych łąk. Pragnął całować piach obsypujący twarz, tulić się do ziemi. I otworzył kłapę krzycząc radośnie, nie bojąc się już własnego głosu!

Wtem usłyszał jakiś obcy dźwięk! Jakby grzechot, huk, głuchy miarowy łomot. Wyszedł na powierzchnię. Przetrzął oczy. I dalej stał osłupiały. Nie reagował. Zapomniał. Był zbyt zaskoczony. Naprzeciw maszerowała tysięczna armia. Legion. Zbroje, miecze i tarcze błyskały w słońcu. Szli równo, potracając go, uderzając i powalając, depcząc, dobijając, wdeptując w proch ziemi. Proch w proch.

I tylko myśl, jedna jedyna pozostała w tej potoczce wieczności z nonsensem „Galia est omnis divisa in partes tres”.

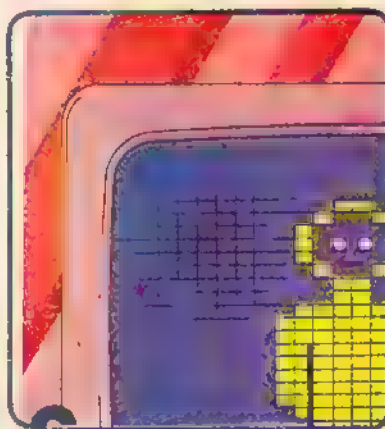




11 PISZCZĄLEK

Rafał A. Ziemkiewicz

Mikrsin był najlepszym organmistrzem pomiędzy Svarn a Bagniskami Szariatnego Lasu. Jego instrumenty miały cudowny, niemal magiczny dźwięk, którym zachwycali się wszyscy. Najwspanialsze, największe organy wybudował w Gahiramez. Było w nich jedenaście ogromnych piszczałek, które nie wydawały z siebie głosu, ale gdy bard zaczynał na nich grać, ludzie w świątyni powoli popadali w obłąd, w końcu umierali. Zagrano na nich tylko raz: podczas zaślubin komesa Ranora. Mikrsina ścięto uroczyscie, a jedenaście tonów odłączono od klawiatury.

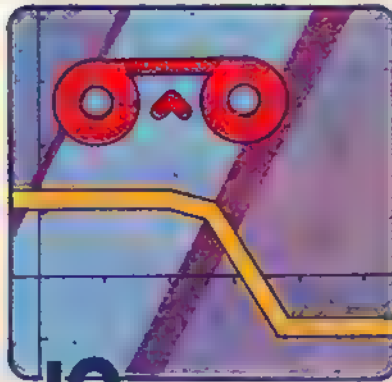


SOBOWTÓR

Rafał A. Ziemkiewicz

W czasie jednej z najdłuższych, nudnych podróży zaprogramowałem w komputerze samego siebie. Potem stworzyłem tam kopie świata, który miałem przed oczyma i spróbowałem, jako sobowtór, pożyć trochę we wnętrzu maszyny. Spychałem mego sobowtóra na dno, kazałem mu głodować, cierpieć, ~~przeżywać~~ przeszedłem go seksem i faszerowałem narkotykami. Od czasu do czasu robiłem coś, mały gest, żeby wydawało mu się, że idzie na lepsze, a potem powtarzałem wszystko od nowa. W końcu zbuntował się. Skasowałem więc program, ale od tego czasu mój komputer nie był normalną maszyną.

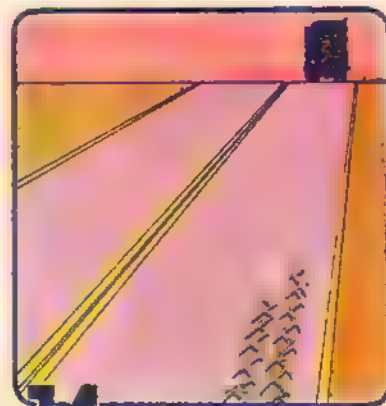
Czytałem kiedyś książki, ale literatura umarła, kiedy wymyślono kasety. Twórca przez wiele miesięcy układał na taśmie przeróżne uczucia i przeżycia. Potem, żeby się wzruszyć wystarczyło tylko włożyć na głowę metalową obrecz i nacisnąć przycisk. Nikt tak dobrze jak ja nie może zdawać sobie sprawy z całego bogactwa doznań nagranych na kasetach. Dzień w



IQ

Rafał A. Ziemkiewicz

dzień siedziałem osiem godzin z obreczą na głowie i plikiem instrukcji, usuwając z kaset bezsilność, zniechęcenie, gniew i inne uczucia, zanim skierowano taśmę do produkcji. Potem naukowcy stwierdzili, że korzystanie z kaset powoduje systematyczne obniżanie inteligencji. W ciągu dwóch lat moje IQ spadło o 20 punktów. Wystąpiłem o odszkodowanie, chodziłem po urzędach, biurach, sądach – wszędzie mówiono mi, że taki uszczerbek na zdrowiu nie przeszkadza mi w pełnieniu obowiązków służbowych i że nie należy mi się ani centa.



14 LAT TEMU

Przemysław Skulski

Dzisiaj mijają czternaście lat od chwili, gdy spotkałem Coxa. Przyleciał na Ziemię z Syriusza H, o którym nasi naukowcy nie mają zielonego pojęcia. Cox był podobny do małej gruszki, do robienia lewatywy. Powiedział, że nauczył nas, Ziemiaków, jak żyć bez różnych świństw, wojen, chorób, złości. Nie zdążył mi opowiedzieć wszystkiego. Przejechała go szesnastotonowa ciężarówka. Widocznie tak chciał ktoś, tam na górze. Cox zanim zmienił się w plasterzek substancji organicznej przekazał mi część swojej wiedzy. Nauczył mnie tak dużo, że od czternastu lat uważam na szesnastotonowe ciężarówki.

SHORT STORIES po polsku

kosmiczna noc była ciepła. Zewsząd migotały gwiazdy. Co pewien czas przelatował obok mnie jakiś meteor. Nadal poruszałem się z dużą prędkością, ale przyspieszenie malało. Być może nie był to już lot jednostajnie przyspieszony, lecz jednostajny. Przelatywałem właśnie obok Sa-



JAK CIĘ KOPNĘ...

Leszek Kraskowski

turna. Tak, pierścienie ma wspaniałe. Szkoda, że nie zabrałem ze sobą aparatu fotograficznego albo kamery. Naprawdę wielka szkoda. W dodatku ten jednostajny lot zaczynał męczyć. Postanowiłem więc uprzyjemnić go sobie wykonywaniem różnorodnych ewolucji. Były więc i przerzuty przez plecy, i koziołki, i pływanie żabką. Wokół wiała kosmiczną nudą. Pływanie w przestrzeni kosmicznej każdego przeciętnego może w końcu znużyć. Spojrzałem w dół. Ziemi nie było widać już od dłuższego czasu. Strzepnąłem z włosów jakiś biały proszek. Przypominał wyglądem tynk. Nie dociekałem jednak przyczyn z jakich ów tynk znalazł się w mojej czuprynie. Pojawiły się bowiem nowe zmartwienia. Coraz bardziej dokuczał mi głód. Żoładek domagał się pożywienia, a ja wciąż leciałem, leciałem i leciałem. Kiszki grały mi marsza. Zawstydzilem się. Co sobie pomyśla mieszkańcy innych planet, gdy usłyszą to burczenie. Wezmą mnie jeszcze za niedożywionego głodomora. Tak, tak, głód dokuczał mi bezlitośnie, a żoładek bezskutecznie domagał się pożywienia. I pomyśleć, że zlekceważyłem słowa tego podpitego faceta z baru: „Jak cię kopnę, to w locie z głodu zdechniesz!”

Żeby tylko nie kazali mi się rozbić! – Otoż to! Dokładnie tak pomyślałem, gdy ICH zobaczyłem. Nie stanąłem jak wryty, nie zdziwiłem się nawet, nie krzyknąłem ze strachu. Musiałem być od dawna podświadomie nastawiony na to spotkanie. Możliwe, że była to ICH robota.

Teraz to widzę. Jak mogłem nie domyślić się od razu kto za tym stoi, czytając w tygodnikach spekulacje, że ludzkość dorosła do KONTAKTU! Że ONI nie wzbudzą takiej sensacji, histern, paniki. Mistyke kontaktu podlaną pseudofilozoficznym sosem lansowała gromada zaslepionych szaleńców. Durnie wiedli uczone dysputy na temat podróży międzyplanetarnych, nie znając rynkowej ceny tony paliwa rakietowego „jak mogłem przypuszczać, że mówią to sami z siebie, nie podpuszczeni przez Obcych? Słowo daje, że gdy teraz przypominam sobie ich pseudonaukowy

niejsze utrzymać inicjatywę. – I co tam u Was słychać? Wszyscy tacy zieloni?

– Tak – stwierdził wyższy.

– I wszyscy mają tak jak wy po sześć rączek, to jest, przepraszam, kończyn górnych?

– Tak, ale...

– W porządku! A antenki na głowie też obowiązkowe?

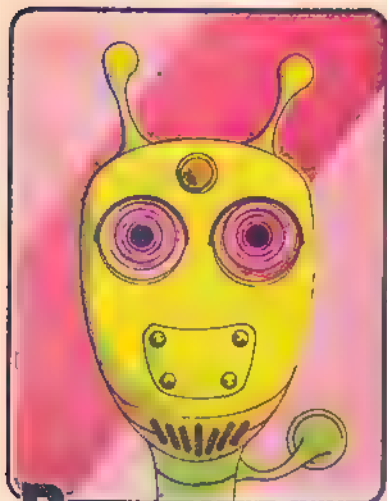
– Tak, w celu...

– Nieważne! A takie trąbki na karku?

– Też – odpowiedział wyższy wyraźnie zbity z tropu bo jednak, chyba żeby się upewnić, spojrzął na tył tego niższego.

– Świetnie – kontynuowałem, zacierając w duchu dlonie. Perspektywa rozbierania się przy siedmiu stopniach marcowego przedpołudnia oddalała się coraz bardziej. – A te pulsujące lampki na środku czoła?

– Tylko Żydzi i Murzyni! – odpowiedzieli chórem.



BLISKIE SPOTKANIE

Paweł Tomczyk

mistyczny jazgot, mam ochotę zawołać na całe gardło jak stary Fromage: „Naukowcy do nauki!!!”

Ale nie będę przecież krzychał tutaj, w parku, stojąc sam naprzeciw dwóch takich nie wiadomo skąd. Chytrze się ustawili – tuż za zakretem parkowej alejki, gesto w tym akurat miejscu przesłoniętej krzakami. Widzę ich tylko ja; zresztą park o tej porze zawsze jest pusty.

Cholera! Chyba nie każdą mi się rozbić – pomyślałem znowu, bo już mnie zauważyli, a marcową aurę nie zachęcała do streakingu. Nie lubię zresztą tej kosmopolitycznej nazwy – o ileż lepiej brzmi nasze „gołość”. Trzeba ich jakos zażyć z manki. Przejąć inicjatywę. Zaczne pierwszy – pomyślałem podchodząc na odległość cienia rzucanego przez wyższego z nich.

– Przyjacie! – dobiegł mnie głos z sitka ulokowanego na czymś co przypominało jego szyję

– Ciam aszaw awruk! – rzuciłem. Dam im do zrozumienia, że również dysponuje translatorem. Niech sobie nie myślą.

– Nie rozumiem – rzekł niższy.

– Przykro mi, ale nieważne. Skąd droga prowadzi? – starałem się być gościnnie i przyjacielski.

– Z re... – zaczął ten wyższy.

– Acha – wpadłem mu w słowo. Najważ-



NIHIL NOVI

Eugeniusz Dębski

W sali panował potworny tłok. Ledwo dało się otworzyć drzwi, nad którymi świecił napis: „DZIAŁ USŁUG TELEKOMUNIKACYJNYCH”. Saniewski, ostrożnie, by nie nadepnąć kogoś i nie potrącić, przedarł się w kierunku okienka, skąd co jakiś czas dobiegał kobiecy głos wymieniający nazwy różnych miast – Kraków, Łomża, Wiecbork, Warszawa... Warszawa nawet trzy razy.

Stanął przed okienkiem, poczekał aż kilka osób, zasłaniających mu widok, zabierze formularze i odejdzie, a kobieta za szybą przestawi kilka z kilkudziesięciu przełączników i wywoła kolejne miasto.

– Piotrków Trybunalski! Trzecia!

– Tak, tak – krzyknął ktoś z tyłu.

– Proszę pani – zaczął grzecznie Saniewski. – Ja chciałbym uzyskać połączenie ze Słupskiem...

– Najwcześniej za trzy dni... – przerwała panienka i poganiana brzęczykiem trzasnęła w klawisz. Podniosła oczy i słuchała chwilę, a potem szybko przestawiła cztery dźwigi i zawołała:

– Genewa! Szósta! Genewa – szósta kabina!

– Proszę pani – jęknął Saniewski, uśmiechając się przymilnie. – Wnuczka mi się urodziła i tylko dlatego...

– To niemożliwe – patrzyła na niego zmę-

SHORT STORIES po polsku

czonymi oczyma i Saniewski czuł, że kobieta stara się mówić uprzejmie, ale już za chwilę straci cierpliwość. – Czy pan nie widzi co się tu dzieje? Zawsze tak przed wolną sobotą. Nic panu nie poradzę. W dodatku trzy kabiny wysiadły. Napraw-

de! Tłum zafalował i przycisnął Saniewskiego do lastrykowej ludy. Jakaś kobieta, która najprawdopodobniej zapoczątkowała ruch tłum, przecisnęła się do okienka.

– Co to jest, proszę pani? – krzyknęła oburzona. – Nie ma połączenia z Piotrkowem. Czekam już trzy godziny i teraz co? Przecież to granda! – szarpnęła kołnierz płaszcza w górę, poprawiając obcignięty podczas walki ze zwartym tłumem materiał.

– Chwileczkę – urzędniczka postukała w klawisze. – Ha! Dwojka? Dwojka! Ha! Dwojka? Kochanie, co jest z linią na Piotrków? – słuchała kilka sekund. – Acha... Dobrze. Dziękuję ci, kochanie – odwróciła się do oburzonej klientki. – Kabina niesprawa. Zaraz panią połączę jeszcze raz, tylko niech się jakaś zwolni. Chwileczkę.

– No właśnie – sapnęła kobieta obok Saniewskiego. – Bo już się bałam, że znowu będę stała w kolejce – usprawiedliwiała się pokonana szybkością działania kobiety zza szyby. – To przechodzi ludzkie pojęcie – zwróciła się teraz do Saniewskiego. – Niby udogodnienie, a w sumie... – machnęła ręką i rozpoczęła odwrót, by być bliżej kabiny w chwili wywołania.

– Proszę pani... Ja muszę połączyć się ze Słupskiem – Saniewski włożył w to tyle prosby, ile mogło zmieścić się w tych kilku słowach. – Jedna osoba nie zakłóci pani aż tak bardzo...

– Przecież mnie rozszarpią! Boże, co za ludzie? Czy pan tego nie rozumie? A poza tym dlaczego pan ma być lepszy? Inni stoją godzinami – wzruszyła ramionami.

Saniewski poczuł, że się poci i czerwieni ze wstydu. Oparta o nagrzaną dziesiątkami rąk blat dłoń ślizgała się mokra od potu.

– Ja rozumiem, ale niech i pani mnie zrozumie. Jestem emerytem.

– Dzisiaj nie ma kolejki dla uprzywilejowanych – kobieta straciła resztki cierpliwości. Znowu przestawiła kilka dźwignek.

– Rzeszów piąta! Rzeszów piąta! Piotrków siódma! Piotrków! Siódma kabina! – krzyknęła w tłum.

– Więc nic nie można zrobić? – jeszcze raz spróbował Saniewski.

– Naprawdę – kobieta złagodziała nieco ton, czując załamanie natręta. I to nagle rozświeciło Saniewskiego.

– Poproszę o książkę życzeń i zażaleń!

– A proszę bardzo! – kobieta wychyliła się do tyłu i zdjęła z półeczki za sobą oprawioną w czerwoną okładkę ciekawą książeczkę. Położyła ją na blacie i pchnęła w stronę Saniewskiego.

Chwycił zeszyt i przepychając się znowu przez zwarty tłum wyszedł do drugiej sali. Przystanął obok jednego z nieczynnych okienek kasowych, otworzył zeszyt i znalazł pierwszą wolną stronę. Pogrzebał w kieszeni i wyjął długopis. Myślał chwilę.

Z prawdziwą przykrością dokonuję wpisu do Książki Życzeń i Zażeń Urzędu Poczтового numer 43. W dniu dzisiejszym chciałem uzyskać połączenie ze Słupskiem. Jestem emerytem i uważam, że powinno to być uwzględniane również w dni przedświąteczne. Nie mam pretensji do urzędniczki – pisał – ale Ministerstwo Poczty i Telekomunikacji powinno opracować nowy regulamin, uwzględniający również potrzeby ludzi, którzy odeszli na zasłużony odpoczynek. Nie jestem pieniaczem i nie uważam, że z racji wieku powinienem wszędzie być obsługiwany bez kolejki, ale dzisiaj bardzo chciałem uzyskać połączenie ze Słupskiem, gdzie urodziła mi się wnuczka, więc powód chyba miałem. A poza tym, będąc emerytem nie dysponuję finansami, które pozwoliłyby na kosztowne podróże tradycyjnymi środkami lokomocji i właśnie dlatego chciałem połączyć się ze Słupskiem i teleportować się tam. Po to przecież istnieją usługi telekomunikacyjne, prawda? Pozostaję w nadziei, że zostaną przedsięwzięte odpowiednie kroki, by tego typu sytuacje nie męczyły więcej ludzi.

Henryk Saniewski
Wrocław, 23 maja 2001 r.



NIEPEWNOŚĆ

Andrzej Drzewiński

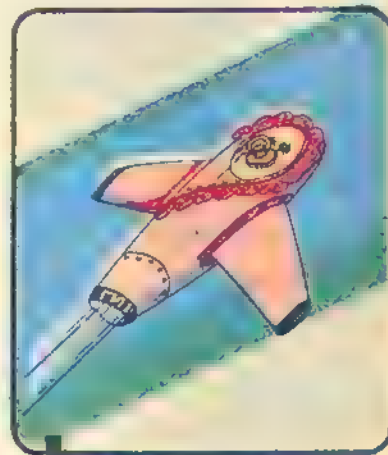
Mok z szybkością równą połowie prędkości światła, zbliżał się do jakiegoś układu słonecznego. Kosmos był idealnie czarny, lecz bynajmniej nie pusty. Nieskończoność kul ognistych trwała w przestrzeni, dzieląc się ciepłem z planetami, kometami i pyłem kosmicznym. Bąble żaru tkwiły zatrzymane w kadrze, niczym rój piłeczek ciśniętych ręką olbrzyma. Niewiarogodne odległości zlewały je w gejzery białej mgły, kryjącej nieprzebrane bogactwo żywych istot. Kosmos nie był ani pusty, ani zimny, ani martwy. Mok rozwinał swoje ciało i czuł bicie serca Kosmosu, płynące przez próżnię, gdzieś zza chmur pyłu. Był swobodny i szczęśliwy, ale coś tkwiło zadrą w jego umyśle. Był istotą wieczną, przemierzającą od niepamiętnych czasów wszechświaty i gromadzącą swą olbrzymią wiedzę. Mimo to nie pamiętał stworzeń, których kres ewolucyjny stanowił. To było tak dawno... Światy, które oglądał były różne: dobre i złe. Często zniechęcony beznadziejnością któregoś z

nich, rzucał się w wir „czarnej dziury” przechodząc w inny świat. Czasami wychodził na tym dobrze, a czasami źle. Ostatnio szczęście przestało mu sprzyjać. Trafiał na wszechświaty przesiąknięte bólem i gniewem, a jeżeli było inaczej, to okazywało się, że w danym świecie już kiedyś gościł. Wyrzucony, potężniejszym niż zazwyczaj, wirami czasoprzestrzeni wpadł w ten wszechświat i od razu poczuł mocne tętno Kosmosu. To jeszcze nic nie znaczyło, gdyż podłość jest tak samo żywa, jak prawda. Musiał się przekonać. Wystarczyło znaleźć jakieś życie i przyręczyć się jemu. Świat nie kłamał: wystarczy jedno jego słowo, aby wiedzieć, co napotkał. Mocniejsze tętno bez trudu wskazało mu drogę do układu słonecznego i do zielonej planety, trzeciej od Słońca. Zwinął ciało i przeciął welon atmosfery. Zieleni drzew zachwyciła go, gdyż jego rasa nade wszystko ceniła piękno. Potem przeleciał nad miastem, zdziwiony jego formą i spoczął tuż za gmachami wśród zieleni. Zaduśmał się, lecz już po chwili przybrał postać małej kropelki wody zaczepionej na jednym z liści. Tak ukryty, miał zamiar czekać na jakieś zdarzenie, bądź zjawisko, które rzuci światło na jego problem. Z doświadczenia wiedział, że miejsca obserwacji nie należy wybierać, polecając się ślepemu trafowi. Ale, gdy tylko rozszerzył swoją percepcję, leżące w zaroślach ciało momentalnie zwróciło jego uwagę. Zaintrygowany przeniósł się na drzewo, pod którym spoczywało. Zajrzał w głąb tego ciała i głęboko się zasmucił. Ale bynajmniej nie dlatego, że odkrył przyczynę śmierci tej istoty. To co dzierżyła w ręce, wyglądało na prymitywną broń, zdolną wysyłać z dużą prędkością małe bryłki metalu. Jedną z nich przebiła istotce szereg ważnych narządów, uniemożliwiając jej dalszą egzystencję. Najsmutniejsze było to, że istota sama spowodowała swój zgon: To było straszne, gdyż świat ten wyglądał na bezlitosny. Mok postanowił jednak czekać. Krag Słońca majestatycznie zsunął się za widnokrąg. Mijał czas. Przez krótką chwilę z ziemi i liści odrywały się krople wody, ulatując ku chmurom. Ale deszcz był tylko przelotny. Jeszcze kilka liści zdążyło, dostojnie kołując, wrócić na drzewo, zanim pojawiły się istoty. Mok uważnie analizował, gdyż teraz wszystko miało się wyjaśnić. Istoty jechały pojazdem mechanicznym o opływowych kształtach, oświetlając drogę za sobą. Zatrzymały się koło leżącego ciała. Mok obserwował ich niepokojący sposób poruszania się. Najwyższa z istot wyjęła zza paska przedmiot podobny do broni jaką miał leżący osobnik. Reszta tubylców siedziała w pojeździe wciągając z powietrza dym i wdmuchując go w krótkie, białe paliczki. Istota z bronią skierowała ją w stronę leżącego ciała. I nagle, nieznaną Mokowi siłą wyciągnęła z martwego osobnika kulke metalu i wraz z hukiem i dymem, wessała ją w swój otwór. Tkanki tamtego zasklepiły się. Mok cały drżał ze szczęścia, gdyż ozdrowiały tubylec gwałtownie wstał. Chyba będąc pod wpływem szoku, trochę się szamotał, ale już po chwili szybko schował broń i uspokoił się. Druga istota również wsunęła swój przedmiot pod pachę. Jeszcze moment, a osobnicy wracali objęci do pojazdu. Siedzący w nim cofają twarze od szyb i wciskają się głębiej w siedzenia. Wolno ruszają, znów oświetlając drogę za sobą. Światła reflektorów giną w meandrach leśnej ścieżki. Roziskrzony Mok spoglądał pod siebie. Ani śladu czyjejkolwiek obec-

SHORT STORIES po polsku

ności. Cisza, spokój. Serce Kosmosu bije teraz szczególnie mocno. Mok odrywa się od liścia i wirując, szczęśliwy pnie się w górę ku gwiazdom. Jeszcze tylko na mgnienie oka zatrzymuje się nad miastem, gdzie teraz zapalają się małe punkciki światła. Czuje wdzięczność dla istot, które przekonały go do tego świata. Świata, w którym nieszczęśliwym nie pozwala się umierać. Promienistą smugą wbiła się w czern Kosmosu, aby poznać, jak najszybciej, inne życia tego wszechświata. A tu? Tu może jeszcze wróci: z wdzięczności.

Samolot rozleciał się w powietrzu. Spadałem. Zetknięcie z mroźnym powietrzem przeraziło mnie. Jeszcze przed chwilą



Lot

Tomasz Matkowski.

tkwiłem w ciepłym brzuchu maszyny, siedziałem wygodnie w fotelu, jadłem obiad podany na tacy. Teraz to wszystko zniknęło. Dookoła wirowały poszarpane blachy, powyginane prety, deszcz szkła; kawałki jedzenia, gumowych uszczelek, kabli; strzępy obić, wykładzin, ubrań i ludzi. Niektórzy, tak jak ja, jeszcze żyli. Początkowe przerażenie powoli mijało. Obok spadała dziewczyna. Udało mi się chwycić ją za rękę i przyciągnąć. Pocieszałem ją, jak umiałem. Po pewnym czasie przestała płakać, a nawet się uśmiechnęła. Z resztek fotelowych obić uwiłszy gniazdko, w którym jest o wiele cieplej i przytulniej niż na dworze. Przyzwyczajaliśmy się do nowej sytuacji. Z czasem zapomnieliśmy o tym, że lecimy. Zdawało nam się, że stoimy w miejscu i że tak już zostanie. O tym, że pedzimy z zawrotną szybkością, przypominały nam z początku przebijane z furkotem, stada ptaków i przeszywane z sykiem, lepkie, wilgotne chmury. Z czasem jednak przestaliśmy na nie zwracać uwagę. Bedziemy mieli dzidziusia. Jeszcze dziewczyna, wydany ją za synka pilota i stewardesy, szybujących w pobliżu. Staraliśmy się lecieć na plecach, twarzami do góry, i jak najrzadziej spoglądać w dół, gdzie na zbliżającej się ziemi można już rozróżnić coraz więcej szczegółów.

Literatura science fiction wykorzystuje wiele wątków baśniowych, mitologicznych, a nawet biblijnych. Do najprostszych elementów pochodzenia baśniowego należą imiona bohaterów, nazwy przedmiotów, miejscowości, a także rekwizyty, jak latający dywan przemianowany na statek kosmiczny, czy czarodziejska różdżka zastąpiona przez uniwersalnego robota. Elementem baśniowego pochodzenia są również mity, w różny sposób wykorzystywane w fantastyce naukowej. Zazwyczaj są one jedynie

punktem wyjścia do przedstawienia jakiejś historii, ale zdarzają się mity przeniesione na teren SF niemal w całości. Popularne jest także tworzenie nowych wersji dawnych mitów. Ukoronowaniem „baśniowości” w literaturze SF jest styl, czy raczej gatunek noszący termin „fantasy”. Ponieważ trudno znaleźć równie lapidarny polski odpowiednik tej nazwy, będę się posługiwać terminem „współczesne baśnie”, a słuszność i adekwatność tego określenia postaram się udowodnić.

Baśń a fantasy - podobieństwa i różnice

Grażyna Lason

I
Trudno jest czasem odróżnić SF od fantasy, gdyż utwory często oscylują między jednym i drugim, a są i takie, które elementy tych dwóch gatunków świadomie łączą. Stanisław Lem w swej „Fantastyce i Futurologii” tak je klasyfikuje: „jeśli tłumaczyć zjawiska niezwykłe sposobem empirycznym – uzyskamy science fiction, jeśli „spirytystycznie”, a raczej „kontrempirycznie” – mieć będziemy horror story czy fantasy”.

dalej, autor wyprowadzając rodowód fantasy z baśni, określa na czym polega konwencja gatunkowa tej ostatniej. Otóż baśń tworzy zamknięty świat, rządzący się swoimi prawami. Nic w nim nie dzieje się bez przyczyny, a bardzo dużo zależy od woli bohaterów. Tworzy więc swoisty kodeks nakazów i zakazów, którego naczelną zasadą jest, że Dobro musi być nagrodzone, a Zło ukarane. A więc, jeśli Szewczyk Dratewka zabija smoka, to dlatego, że smok najpierw pożera ludzi. Zabić go może natomiast dzięki sprytowi i odwadze i, jak pisze Lem, „nie bywa w baśni tak, żeby smok zjadł w końcu rycerza i aby stało się tak jeszcze dlatego, ponieważ rycerz posłuszny się na łupinie banana”.

Następnie: baśń posiada z góry określone zakończenie – konwencja wymaga, by kończyła się dobrze. A jeśli dzieje się coś złego, to zło jest jedynie opóźnieniem dobrego końca. Los baśniowych bohaterów jest niejako zdeterninowany: jeśli byli dobrzy – zostaną nagrodzeni, jeśli źli – ukarani. Każda postać ma tu swoją rolę do odegrania – dżiny i dobre wróżki spełniają każde życzenie, czarodzieje za dotknięciem czarodziejskiej różdżki budują pałace i nie zdarza się, „żeby się dżin spóźnił, bo się czar popsuł” lub żeby się różdżka połamała.

Świat „współczesnych baśni”, jak już sama nazwa wskazuje, musi zawierać w sobie podobieństwa do dawnej baśni magicznej. Czerpie z niej więc całe zestawy rekwizytów typu: obdarzone niezwykłą mocą kamienie, ukazujące przyszłość zwierciadła itd. Z niej też pochodzą wszelkie motywy magiczne np. uzdrawianie lub uśmiercanie mocą czarodziejskiego zaklęcia, przywoływanie sił przyrody będących na usługach bohaterów. Podobnie z doбором postaci: wszystkie czarownice, wróżki, księżniczki i królowie, a także różnego rodzaju potwory zaludniające świat fantasy same świadczą o swojej proveniencji.

II

ale podobieństwa te sięgają jedynie „zewnątrznej” warstwy porównawczej. Gdy przyjrzymy się dokładniej obu gatunkom, dostrzeżemy duże różnice. Istotną różnicą między baśnią a fantasy tkwi w funkcji tych dwóch odmian literatury

fantastycznej. Otóż baśń emanuje wprost dydaktyką, morał, czy to sformułowany wprost, czy niepowiadany jest jednym z najważniejszych elementów utworu. W fantasy natomiast ten moralizatorski nie zostaje ujawniony. Jeśli zawiera ona w ogóle jakieś elementy dydaktyzmu, to ograniczają się one do spraw natury generalnej (np. Dobro zwycięża Zło). Niechęć do moralizowania objawia się tu również w ten sposób, że nie znosi ona wszelkich aluzji do współczesności, w jakiej powstaje, nawet w postaci alegorii. Tak, jakby chciała o tej rzeczywistości zapomnieć, odcięcie się od niej.

Świat fantasy jest jak gdyby odbiciem świata rzeczywistego, współczesnego, ale przetransformowanym na baśń. Nie jest to już więc nieświadome tworzenie kodeksu nakazów i zakazów ubranych w literacką szatę, ale raczej ucieczka od szarej rzeczywistości dnia dzisiejszego w Krainę Arkadii. Droga do tej krainy wiedzie przez negację naszej codzienności, a wynika to z prostej i dziecięcej może potrzeby kontaktu ze światem baśni.

Postawowa rozbieżność między baśnią a „współczesnymi” a dawnymi, polega też – najogólniej mówiąc – na różnicy światopoglądu tak twórców, jak i odbiorców. Baśnie magiczne tworzone przez ludzi „pierwotnych” były fikcyjną realizacją rzeczy niemożliwych, chęcią przewyższenia nieubłaganych sił przyrody. Człowiek współczesny przez posiadany bagaż wiedzy naukowej, ma tak zakodowaną nieuchronność pewnych praw rządzących światem, że nie jest w stanie tworzyć już klasycznych baśni. Autentyczny światopogląd „magiczny” zastąpiony został świadomą zabawą zjawiskami, w które dziś nikt już nie wierzy, co w niczym zresztą tej zabawy nie psuje.

III

Zasygnalizowane różnice między fantasy i baśnią dotyczą problemów natury ogólnej, sprawa wymaga jednak bardziej wnikliwej analizy. Warto by było zastanowić się nad relacją „baśń a fantasy” w aspekcie czasu, przestrzeni literackiej, bohatera.

W baśni czas jest kategorią odległą, nieokreśloną. Sformułowania typu „działo się to dawno, dawno temu” oznaczają bliżej nieskonkretyzowaną przyszłość, ale każdy czytelnik zdaje sobie sprawę, że równają się one po prostu baśniowemu „nigdy”. Baśń nie stara się w żaden sposób urealnić swojej opowieści, choćby przez osadzenie jej w jakimś fikcyjnym, ale konkretnym przedziale czasowym. Inaczej w fantasy. Autorzy tego gatunku albo stwarzają „alternatywne światy”, współczesne naszej rzeczywistości, albo osadzają swoje opowieści w przeszłości, ale jest to za-

wsze przeszłość bardziej lub mniej konkretna. Znika więc wrażenie baśniowego „nigdy” – opowiadane historie dział się bowiem mogą „zawsze”.

Chyba najwięcej rozważań nad zagadnieniem czasu w fantasy może dostarczyć ektura książki będącej szczytem osiągnięć tego gatunku „Władcy Pierścieni” J.R.R. Tolkiena. Jest to gigantyczny (1530 stron!) rozmiarów baśń a raczej fantastyczna historia świata jakby sprzed naszej ery, świata poprzedzającego nasz, ale o ilez bardziej wartościowego. Historia walki pomiędzy Dobrem i Złem, od której wyniku zależały może kiedyś i nasze losy.

Bardzo ciekawie omawiają problem czasu w powieści Tolkiena P. Kuncewicz i A. Zgorzelski. Andrzej Zgorzelski w „Konwencjach gatunkowych i rodzajowych w trylogii J.R.R. Tolkiena” wyodrębnia trzy kręgi czasowe powieści: a więc czas rocznikański, baśni i epicki. Czas baśni ma tu słabą najniższy zasięg: nazwą ją obejmuje autor wszystkie wydarzenia opisywane w konwencji baśniowego „nigdy”, np. opowieść o Aragornie i Arwenie, czyli historię tajemniczego królewicza i pięknej księżniczki elfów. Dwa pozostałe kręgi czasowe mają charakter umowny, tworzą one tło historyczne dla właściwej akcji trylogii. W ich obręb wchodzi przede wszystkim trzy „dodatkowe” założone do utworu. Uściślają one wydarzenia opisywane w powieści: osadzając je w konkretnym czasie, który jest zresztą liczony według specjalnego kalendarza. Dają one również wrażenie ogromnej rozpiętości czasowej z jednej strony sięgając daleko w przeszłość, z drugiej wybierając w przyszłość. Jednocześnie autor, broniąc się przed jakimkolwiek próbą porównywania swej opowieści do wydarzeń rzeczywistych (co, jak wspominałam jest typowe dla fantasy), celowo chyba zaciemnia organizację czasową książki. Robi to na przykład przez wprowadzenie różnych kalendarzy dla różnych plemion oraz przez używanie tych samych terminów dla różnych epok.

Stosowanie tych wszystkich zabiegów urealnających ma więc na celu nadanie opowiadanej historii cech autentyzmu, pozbawienie czytelnika wrażenia, że dzieje się ona „nigdy”. Dzięki temu czas akcji trylogii wychodzi poza obręb „zamkniętego” czasu baśni, który ma swój początek i koniec w jedynąkową zwyczajną opowieść. Na czas akcji „Władcy Pierścieni” nie składają się bowiem poszczególne, fikcyjne zdarzenia, ale cała niestrajająca historia.

Właśnie w wymiarze procesów historii przemija, traktuje problematykę powieści Piotr Kuncewicz. Píše on w swej książce „Samotni wobec historii”, że „Władca Pierścieni” jest przede

krytycy o fantastyce

Wielkim książka o historii o presji historii na literaturę. A dzieł jest więcej, każdy dzień o siebie i świat. Mój jest pod nowymi, a więc są one sprawy, ale jeszcze czytel.

IV

Kolejnym zagadnieniem, które zamierzam omówić, jest przestrzeń i teraźniejszość. Bohater basni pokonywał na swe, drodze zaczerpnięte przestrzeni. Ale z pokonaniem odmiennych przestrzeni (wielu dużych) nie miał nigdy kłopotów. Dla bohatera to jest, często powtarzającym problemem staje się pokonanie jakiejś odległości, gdyż nie zawsze przybywają mu na pomoc latające dywany, czy inne rekwizyty. Pojawiają się przed nim nowe niespodziewane przeszkody. Jak w basni zaczerpnięte z natury, wynikają one z naturalnego ukształtowania przestrzeni. Bohaterka Świata Czarownic Andre Norton ucieka przed pogonią poronując niemoty, szmal drogi, choć jest przeciwna czarownicy, a myślenie kategorii basniowych – mogłaby dostać moty. Także bohaterów trylogii Tolkiena przeraża nie tylko zły czar Piersienia, ale i trudności, w których wynikają ze względów naturalnych: góry, bagna, śnieg, mgła zimna. Przestrzeń funkcjonuje więc w fantastyce jako samodzielny konstrukcyjny element utworu. Jest to sprzeczne z konwencją basni, w której była ona podporządkowana poczynaniom bohaterów. Miejsce akcji w drodze od basni do fantastyki również uległo dużym przemianom. Basniowe opowieści działy się „za siedmioma morzami, za siedmioma górami, czyli” – naczaj mówiąc – nigdzie. W fantastyce akcja rozgrywa się w nie istniejącym, ale konkretnym miejscu. Mogą nim być inne planety (widoczny jest tu wpływ science fiction), jak u U. Le Guin, na przykład w opowiadaniach „Naszynik Semley” czy „Kroliwa Ziemi” z tomu „Wszystkie strony świata, albo też alternatywne światy”, jak u A. Norton w „Świecie czarownic”. I znowu najciekawszy cnyba ten problem rozwiązał J.R.R. Tolkien. Miejsce akcji umieszczone jest tu gdzieś na Ziemi, ale to „gdzieś” nie ma żadnego odniesienia do jakiegokolwiek miejsca, na niebie kuli ziemskiej, tak jak czas nie miał odniesienia do jakiegokolwiek kalendarza. Choć są przecież kalendarze i mapy bardzo dokładne. Mapy oddają tak, jak kroniki, jedynie fragment przedstawienia świata, ich dokładność zmniejsza się, gdy zbliżamy się do brzegów. Tak, jakby autor chciał skupić uwagę czytelnika na wyniku w obrębie którego dzieje się akurat akcja powieści.

Naczaj też kształtuje się w obu gatunkach problem bohatera. W basni dobre wroki, czarodziej, jak wspominałam z aws z e spełniają życzenia, nie ma dla nich rzeczy niemożliwych, w fantastyce zdarzają się wroki dobre, ale bezsilne wobec zła. Dlatego też świat basni współczesnych bliższy jest rzeczywistości. Coraz częściej wkrada się w ten przypadek, już nie jako „opoznaczać

dobrego końca, ale jako wyraz bezsilności bohatera, nawet potężnego czarodzieja. Świetnym przykładem może być opowiadanie U. Le Guin „Magiczne słowo”. Jest to historia walki dwóch czarodziejów pochodzących z Ziemiomorza – równoległego świata. Młody czarodziej, Festin, stara się wyzwolić z niewoli przebiegłego Volla. Przekształca się w złotą obrączkę, w mgiełkę, w psiraga, ale żadne próby nie udają się, za każdym razem zostaje schwytyany. Jest osaczony i bezsilny, ale zostaje mu ostatnia „szansa” – wypowiada magiczne słowo, którego każdy czarodziej może użyć tylko raz i które jest jednocześnie wyrokiem śmierci.



Opowiadanie to jest bardzo reprezentatywne dla fantastyki. Mówi o czarach, ale także o bezsilności i o ludzkiej bezsilności takiej, że jedyną wolnością wydaje się wypowiedzenie magicznego słowa i to nie tylko czarodziejom. Bohater basni nigdy nie przegrywał dlatego, że jest za słaby, najwyżej, na skutek czarów. Bohater fantastyki jest pod tym względem bardziej ludzki. Czarodzieje ze „Świata czarownic” dysponują wprawdzie Mocą, ale ich możliwości są ograniczone. Muszą więc liczyć same na siebie, a nawet na pomoc człowieka. Hobbici Tolkiena marnią się nie tylko o wypełnienie swej Misji, ale także o to, co będzie dziś na kolację. Ten mały, skrzętny narodek w ogóle bardziej przypomina zapobiegliwych Anglików niż dzielnych rycerzy z basni. Ale nawet ci ostatni, jeżeli występują w fantastyce to w nieco zmienionej postaci. Zostają tu jakby „odbrązowieni”. Czasami nawet najlepszym zdarza się zejść z drogi, choć przykładem może być Boromir z „Władcy Pierścieni”. Zanika więc czarno-biała problematyka basni, ale jej miejsce zajmuje powoli coś, co jest nam dobrze znane – szarość. Zdarza się o tym wiedzieć bohaterowie trylogii Tolkiena, jakby mieli świadomość tego, że wraz z upadkiem Zła, zbędne będzie również Dobre. Zginie Sauron, ale wraz z nim zginie też epoka elfów, krasnoludów i hobbitów. Zostanie już tylko człowiek. Elf, wedza, jak pisze Kunciewicz, że „ich przygody są tylko odcinkiem długiego pasma wydarzeń, że są tylko uwytkiem dzieł, które jeszcze nie zmerają do końca. Czują więc przeszłość, i przyszłość, traktują siebie samych jak legendę, jak opowieść z dawnych czasów”.

Jest więc „Władca Pierścieni” historią powolnego upadku basni jako gatunku. Jego „niezwykły” bohaterowie współistnieją tu jeszcze z człowiekiem, ale wedza, że zostaną niedługo przez niego wyparć. O tym, że bohaterowie „współczes-

nych basni” są bardziej ludzcy świadczyć może jeszcze jeden fakt. Otóż elfy u Tolkiena zdają sobie sprawę z własnej słabości. Nie chcą wziąć Misji zniszczenia Pierścienia, będącego symbolem władzy, obawiając się, że mogą go sobie po prostu przywłaszczyć. Także czarodzieje nie są tu zawsze wszechmocni, czasem ponoszą porażki (jak Gandalf).

Postaci fantastyki to coraz częściej ludzie „przegranii”, zdegenerowani, co nie jest zgodne z konwencją basni. Przykładem może być twórczość Petera S. Beagle’a, awanturnicy Conan R.E. Howarda, czy Simon Tregartha, jedna z głównych postaci wspomnianego już „Świata czarownic”. Przed-

staje się on do mrocznego, pełnego tajemnic i magii świata, rządzonego przez czarodziejkę z naszej rzeczywistości, w której był coś tu ukrywać bohaterem raczej negatywnym. Tutaj, ma natomiast szansę stać się człowiekiem wartościowym, odrodzić się w nowej postaci. Tak jakby autorka chciała zasugerować, że niektórzy dopiero w basni odkrywają swe prawdziwe „ja”.

V

Jest jeszcze jedna rzecz charakterystyczna dla fantastyki. Otóż raczej nie kreuje ona bohatera indywidualizowanego, choć wszystkie pojawiające się postaci są na swój sposób wybitne. Nie przedstawia życia jednostki, a jest, już to jednostka, ta zawsze jest uwikłana w problemy natury ogólnej, generalnej, jak np. walka Dobra ze Złem. Temat ten szczególnie ulubiony przez fantastykę wyrasta niewątpliwie z konwencji basni. Jednak nie sama basni budowała podwaliny tego gatunku.

Na podwaliny „tego” konwencji składały się także regionalne mitologie. Ślad tego

znajdujemy chyba we wszystkich utworach, czy to u U. Le Guin, u A. Norton, czy u Tolkiena. Najczęściej są wykorzystywane podania irlandzkie, germanskie i celtyckie. Sam autor „Władcy Pierścieni” z wykształcenia filolog, skupiony był wraz z innymi naukowcami w kółku, które nazywał „The Inklings”, a w którym zajmowali się właśnie brytyjską tradycją tego typu literatury. Zresztą trylogia również niesie w sobie całą galerię postaci rekwizytów i motywów zaczerpniętych prawdopodobnie z legend dawnych Celto- i tak na przykład demoniczny Sauron, którego oko nieustannie poszukuje Powiernika Pierścienia, może być wzorowany na celtyckim bogu, o imieniu Balor, którego jedynok, a spojrzenie zdolne było zniszczyć wszystko, a do podniesienia powieki trzeba było siły czterech ludzi. Motyw odpływania za Morze również wywodzi się z legend Celto- Morze jako nieokreślana potęga stanowiło naturalną przeszkodę, za którą znajdowały się Wyspy Szczęśliwe. Była to Kraina Życia i Śmierci, skąd przychodzili ludzie, aby urodzić się w cielesnej postaci i dokąd odchodzili, gdy przemijały ich dni. Tolkien, znawca języka staroangielskiego jest również twórcą fantastycznej mitologii, nazwanej przez autora „Smaraglowy”. Dzieło to, pisane przez wiele lat, dokończył po śmierci pisarza „jego syn”.

W „Świecie czarownic” z kolei autorka przywołuje echa dawnych legend o Królu Arturze, z którego czasów zachowały się rzekomo jeden z kamieni służących za siedzenia przy Okrągłym Stole, o nazwie Siegie Perilous. Kamień ów pomaga bohaterowi przenieść się w obręb innej rzeczywistości. Temat króla Artura jest zresztą motywem często powracającym w literaturze (wykorzystał go np. w swych opowiesiach inny współczesny Tolkienowi brytyjski pisarz Terence Manbury White). Czasy sprzed upadku legendarnej Atlantydy wskrzesza na kartach swej opowieści R.E. Ho-

Grażyna LASOŃ

jest absolwentką Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego i od wielu lat interesuje się problematyką fantastyki. Artykuł który zamieszczamy na łamach naszego miesięcznika, stanowi fragment jej pracy magisterskiej „Funkcjonowanie wątków basniowych w literaturze SF” pisanej w roku 1983 pod kierunkiem prof. Jana Trzmiadłowskiego.

AN

ward. Jego bohater Conan to typ awanturnika walczącego w słusznej sprawie, oczywiście w otoczeniu potworów i demonów. Po tragicznej śmierci autora, przygody Conana kontynuowali Lin Carter i R. Sprague de Camp. Powieść ta, pisana w latach międzywojennych, otworzyła nowy rozdział w powstającej dopiero fantastyce. Nie był to niestety rozdział chlubny w krótkiej historii tego gatunku. Nowa odmiana szybko się zdegenerowała, niejednokrotnie wulgaryzowana przez autorów łączących na pokaski szerokich rzesz czytelników.

VI

Fantasy to gatunek bardzo młody, nie w pełni jeszcze skryształizowany, dlatego trudno tu mówić o ścisłych kanonach czy wykształconej konwencji. Poza niewątpliwymi wpływami baśni, z której wyrasta i różnych mitologii, nie można pominąć także wpływu SF. Widoczny jest on w wielu utworach, np. w omawianym już „Świecie czarownic”, gdzie magia krzyżuje się co chwila z wynalazkami technicznymi, zaczerpniętymi niewątpliwie z fantastyki naukowej, czy w opowiadaniach U. Le Guina, której bohaterki, dosadają nie tylko wiatronogów, ale podróżują także na statkach kosmicznych („Naszyjnik Semley”).

Myszę, że jakkolwiek by na fantastykę patrzeć, i jakichkolwiek podobieństw by się w niej doszukiwać, jedno jest pewne: nie wystarczy jej już produkowanie coraz to nowych fenomenów magicznych i zaludnienie kart powieści przerażającymi potworami. Tworzy ona po prostu nowe fikcyjne światy.

Piotr Kuncewicz we wspomnianej książce „Samotni wobec historii” pisze, że autor „Władcy Pierścieni”: „nie ku baśni, ani eposu zmierzał. On był jedynie środkiem. Postanowił stworzyć świat – obcy, a jednak prawdziwy, baśniowy i zarazem ściśle konkretny”.

Myszę, że słowa te można odnieść do wszystkich współczesnych baśni.

Grażyna Lasoń

Przypisy

- 1 St. Lem „Fantastyka i futurologia” Kraków 1970, T. I, s. 34
- 2 Tamże s. 66
- 3 Tamże, s. 66
- 4 P. Kuncewicz „Tolkien, czyli świat” (w) „Samotni wobec historii” Warszawa 1967 s. 137
- 5 Tamże s. 137
- 6 Tamże s. 135-136

Bibliografia

- Kuncewicz Piotr „Tolkien, czyli świat” (w) „Samotni wobec historii” Warszawa 1967
- Le Guin Ursula „Wszystkie strony świata” Warszawa 1980
- Lem Stanisław „Fantastyka i futurologia” Kraków 1970
- Norton André „Świat czarownic” (w) „Fantastyka” nr 9, 1983
- Tolkien John R.R. „Władca Pierścieni” Warszawa 1981
- Wydmuch Marek „Goście w raj” (w) „Kultura” nr 9, 1979
- Zgorzelski Andrzej „Konwencje rodzajowe i gatunkowe w trylogii Tolkiena” (w) „Kreacje światła sensów. Szkice o współczesnej powieści angielskiej” Łódź 1975

1956 (dokończenie)

183. [PLATOV Léonid.] *Kraina Siedmiu Traw* Tłum. [z ros.] Zofia i Stanisław Głowiakowie. Postłowe B. Dolgich i A. Gapijew. Warszawa Iskry 8° ss. 441, nrb. 3. 10 000 egz. Na k. tyt. aut. L. Piatow
184. RUTH-BUCZKOWSKI Marian *Złota Irzcina* Warszawa PAX 16° ss. 137, nrb. 2 5 000 egz.
185. [TOLSTOJ Aleksiej] *Aelita* Tłum. [z ros.] Alicja Stern. Warszawa Iskry 16° ss. 191, nrb. 1 20 000 egz. Na k. tyt. aut. Aleksy Tolstoj
186. UMIŃSKI Władysław *Zaziemskie śniaty* Warszawa 1948 [druk ukończono w r. 1956] Gebethner i Wolff 8° ss. 360, nrb. 2
187. WELLS Herbert George *Opowieści fantastyczne* Wybór Władysław Kopaliński. Tłum. z ang. Eugenia Żmijewska [i in.]. Warszawa Czytelnik 16° ss. 561, nrb. 3 30 000 egz.
188. ŻULAWSKI Juliusz *Na srebrnym globie. Rękopis z Księżyca* Przedm. Stanisław Lem. Postłowe K. Kordylewski. Kraków Wyd. Literackie 8° ss. 340, nrb. 4 40 000 egz.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

189. MICHALSKA Marta *Tajemnice górskiej groty* Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 202, nrb. 1 10 000 egz.
190. UMIŃSKI Władysław *Na drugiej planecie* Wyd. II [w notce mylnie I] powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 194, nrb. 2 30 000 egz.
191. UMIŃSKI Władysław *Samolotem dookoła świata* Wyd. I powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 361, nrb. 2 30 000 egz.
- UMIŃSKI Władysław *Zaziemskie* - zob. ASF.
192. UNKIEWICZ Józef *Podróże mikrokosmiczne prof. Rembowski* Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 130, nrb. 2 10 000 egz.

Utopia (U):

193. [BUERGER Gotfried August] *Przygody Muenchhausena* Tłum. [z niem.] Hanna Januszewska. Przedm. Zdzisław Ryko. Warszawa. Nasza Księgarnia 4° ss. 126, nrb. 2 20 000 egz. Utopia / C.J.F. - Na k. tyt. aut. Gotfried August Burger
194. [BUERGER Gotfried August] *Przygody Muenchhausena* Tłum. [z niem.] Hanna Januszewska. Przedm. Zdzisław Ryko [właśc. Ryko]. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 142, nrb. 2 80 000 egz. Utopia / C.J.F. - Na k. tyt. aut. Gotfried August Burger
- CAPEK K. *Biały zaraza. W Dramaty* - zob. ASF
195. CYRANO de BERGERAC [Savinien de] *Tamten świat* Tłum. [z franc.] Julian Rogozinski. Wstęp i komentarz Rachanien Brandwein. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 396, nrb. 2 5000 egz. Na k. tyt. brak imienia aut.
196. FRANCE Anatole *Wyspa Pingwinów* Wyd. VI [w notce mylnie I] powoj. Tłum. z franc. Jan Sten. Warszawa. Czytelnik 16° ss. 306, nrb. 5 30 000 egz.
197. GUTKOWSKI Wojciech *Podróż do Kalopai, do kraju najszczęśliwszego na świecie, gdzie bez pieniędzy i bez własności, bogactwa, przemysłu, światła i dobra wszystkich miennie jak najwięcej wygórowało i gdzie tom drugi historii życia Bolesława II króla polskiego, znajduje się Otrac*, wstęp i komentarz Zygmunt Głoss. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 276, nrb. 4 tabl. 6, por. 3 2 000 egz.
198. KRASICKI Ignacy *Historia* Oprac. i wstęp Mieczysław Klimowicz. Wyd. I w tym oprac. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 213, nrb. 3 tabl. 16 5 000 egz.
199. [MAAKOVSKIJ Vladimir] *Laznia Dramat w 6 aktach z cyrkiem i fajerwerkami* Tłum. [z ros.] Artur Sandauer. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 77, nrb. 3 5 000 egz. Na k. tyt. aut. Włodzimierz Majakowski
200. [MAAKOVSKIJ Vladimir] *Pluskwa. Komedia teatralna w 9 obrazach* Tłum. z ros. Seweryn Pollak. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 82, nrb. 2 2 200 egz. Na k. tyt. aut. Włodzimierz Majakowski
201. POE Edgar Allan *Opowiadania* T. I-II. Wybór i wstęp Władysław Kopaliński. Tłum. z ang. I. I. Stanisław Wyrzykowski, II. Marian Stemar [i in.]. Warszawa. Czytelnik 16° T. I ss. 470, nrb. 2, T. II ss. 320, nrb. 3 30 000 egz. Większość opow. fantast. - Utopia / Weir / AF
202. SWIFT Jonathan [han] *Podróże Guliwera* Tłum. [z ang.] Anonim z roku 1794. Oprac. i wstęp Jan Kott. Wyd. V [w notce mylnie I] Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 379, nrb. 1, tabl. 4, por. 20 000 egz.
203. VERCCRS. *Zwierzęta-niezwierzęta* Tłum. z franc. Julian Rogozinski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 234, nrb. 1 20 000 egz. Verccrs - pseudonim, właśc. nazw. aut. Jean BRULLEH

Fantazja dla dorosłych (AF):

204. BALZAC [Honoré de] *Jaszczur* Tłum. z franc. Józef Zeleniński. Boy. Wyd. III [w notce mylnie I] powoj. Czytelnik. Warszawa 8° ss. 238, nrb. 2 15 000 egz. *Komedia ludzka* - Na k. tyt. aut. Honoriusz Balzac
205. COSTER [Charles Theodore Henri de] *Legenda jako leż. bohaterów wesole i sławne przygody Dyla Sownidzala i Jagnuszka Poczwica w krajach flamandzkich i gdzie indziej* Tłum. [z franc.] Julian Rogozinski. Wstęp R[omain] Rolland - tłum. Hanna Szumanska-Grossowa. Postłowe Theum de Vries - tłum. Czesław Przymusiński. Warszawa. 1955 [antydat.] Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 635, nrb. 4 35 000 egz. Na k. tyt. aut. Karol de Coster
- POE E.A. *Opowiadania* - zob. Utopia

Horror (W):

- CAPEK K. *Matka* W Dramaty - zob. ASF
POE E.A. *Opowiadania* - zob. Utopia

„Zagadki nauki” (MS):

206. [BONCKOVSKI V.] *Budowa wnętrza Ziemi* Tłum. z ros. Wiesława Rączkowska i Halina Pabian. Warszawa 1955 [antydat.] Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 236, nrb. 1, mapa 1 600 egz. Monografie Popularnonaukowe. Fizyka - Na k. tyt. aut. W. Bonczkowski
207. [TICHOV G.] *Astrobiologia* Tłum. z ros. Michał Kamiński. Przedm. Eugeniusz Rybka. Postłowe V. Alpaiov. Warszawa. Wiedza Powszechna 16° ss. 76, nrb. 3 tabl. 8 + 1 duża, 6 000 egz. Na k. tyt. aut. G. Tichow

Współczesna krytyka literacka nie lubi metod biografistycznych: szanujący się recenzenci unikają odwołań do tego, co wiedzą o pisarzach prywatnie. Nie potrafię nieświele utrzymać się w roli nowocześniejszej krytyki. Zimą 1977/78 podczas jednego ze spotkań organizowanych przez OKM-F SF widziałem Czesława Chruszczewskiego opowiadającego publiczności o dzieciach – wszystkie one, twierdził pisarz, są dobre i niewinne. Słuchałem wywodu ze wzruszeniem i rozbowieniem: to co pisarz mówi wyglądało jak motto do jego twórczości. Przy czym rolę dzieci gra w dziele Chruszczewskiego cała ludzkość.

– A na przykład „Władca much”? – zapytał nagle

staci, ożywa zadziwiająco moralne perpetuum mobile. Mamym wprost ochotę wejść między karty powieści i pobić bohaterów komunikujących nam co kilkanaście stron, z jakimi to odwiecznymi bolączkami (i technologicznymi, i moralnymi) ludzie zdołali się uporać – i jak trzeba teraz im tłumaczyć, co to jest np. wojna, albo lęk człowieka przed człowiekiem, albo diabeł, albo wiara w Boga.

Ale wcale niełatwo byłoby dotknąć ich bądź spojrzeć im w oczy. Bo oto – a jest to kolejna cecha pisarstwa Chruszczewskiego – nie ma ich właściwie. To znaczy znamy głosy postaci, wysłuchujemy ich monologów i bon motów, nie wuemy jak

liżmie chłopców z powieści Goldinga. Na stwierdzeniu osobistej poczciwości pisarza krytyczna ocena książki niestety skończyć się nie może. Koniec z biografizmem. Zawiera ta proza pułapki i wlicze doły zakończone gstołkami. Dzięki przyjętej strategii literackiej pisarz wymąga z wdziękiem, my nie możemy sobie na to pozwolić. W oczach anielskiej ludzkości odmalowanej przez Chruszczewskiego migoczą diabelskie błyski mamy tam Człowieka Odpowiedzialnego za Spokój, Człowieka, Który Czuwa Nad Bezpieczeństwem Rodziny, Ludzi Decydujących o tym i o owym. Jest to więc społeczeństwo w najwyższym stopniu zcentralizowane. Ludzie czują się stokród nie mają imion, tylko funkcje. Centralna, może kolektywna (zresztą jeden diabeł!) władza podejmuje decyzje dotyczące prywatnego życia jednostek. W każdej chwili każdy jest lub może być słyszany przez dobroliwych mędrców. Stosuje się w tym społeczeństwie inżynierię genetyczną. Jedyną ręką miłą dobrej woli władców jest osobista uczciwość – a jeśli ta zawiedzie? Rozum, komputery, eksperci. Gdy wstuchac się w myśli tych ludzi, to widać, że myślą tylko o zadaniach, które przed nimi postawiono, istniejąc ponadto specjalna zaprawa Skromności i Prostoty, nauczono ich śmiać się z samych siebie. Można by wyliczać jeszcze trochę, ale czy to nie wystarczy, czy nie czujecie już państwo ciarek biegnących po grzbiecie? Pisarz pozostaje nieodrodnym dzieckiem Oświecenia, wierzy, że rozum jest dobry i wszystko może.

To o czym rozprawiam to najniej ukryte piętro powieści, dostępne dla szczególnie wnikliwych czytelników. I dla tych przygotowanych paroma już powieściami social-, political-fiction, które pojawiły się u nas w ostatnich latach. „Fenomen Kosmosu” ukazał się wcześniej, zanim ta fala ruszyła, bo w roku 1975. Może więc nie tylko predykcją autora, ale i datą powstania tłumaczy przynajmniej częściowo, anachronizm książki. Czyściec Czesława Chruszczewskiego, jak przewiduję, polegać będzie teraz na tym, że zwali się na jego powieść sporo zarzutów, z których najcelniejszy będzie zarzutek najbardziej wobec książki z gatunku SF absurdalny. Zabrzmi on tak mianowicie, że jest to książka nadto już fantastyka.

Maciej Parowski

Czesław Chruszczewski *Fenomen Kosmosu*
Wydawnictwo Poznańskie 1984. Cena 110 zł

ARKADIA

ktos z sali – A ci diaboliczni chłopcy, których pokazał Golding?

Chruszczewski nie podjął tematu. Powtórzył raz jeszcze swój sąd. Nawny, dobroliwy irochę uparły – tak mi go zapamiętałem i teraz po latach czytając czwarte wydanie „Fenomen Kosmosu” nie potrafię tamtego wrażenia zapomnieć. Żyjemy w wieku powszechnej szczęśliwości. Ludzkość otrząsnęła z siebie zło, zapanowała nad przestrzenią i materią. Prace fizyczne wykonują maszyny. Niestety Kobiety poczuły się znudzone. Mężczyźni, którzy tylko myślą, wynajdują wciąż nowe mechanizmy, nie mając za to w sobie nic z herosów. Trzeba więc zorganizować Wielką Kosmiczną Wyprawę, dzięki której mężczyźni zmniejszą, a przy okazji Ludzkość spoika. Inną Cywilizację. Dowódcą wyprawy będzie człowiek ideał, wymodelowany medycznie i genetycznie – stny cud. Wyprawa polec w przestrzeń i przeżyje mnóstwo barwnych, choć niezeczywistych przygód. Gdzieś w dalekim tle będzie trochę strata trochę kłwi, ale czytelnik tego nie zobaczy. Na pierwszym planie nieustannie bryluje do wódzstwo wyprawy, dialogujące wznoście i nawnie, śpijące sobie miod z dziobkow. Dowództwo myśli za wszystkich i o niczym nie zapomina. Jak zapomni to natychmiast sobie przypomina, wygłasza samokrytykę, a błąd naprawia. Pod władnych prawie nie widzimy. Napotyamy za to w końcu braci w rozumie, są to tzw. Rozumnijsi – dziwnie do nas podobni, dzwinnie człekokształni. Najpierw trochę kręca, próbują zaślawić na Ziemi pułapki, ale w końcu chcąc nie chcąc muszą nam złożyć hołd pełen zachwytu. Ludzkość – tytutowy Fenomen – jest zbyt duża, żeby je, nie pokochać i nie podziwiać. Koniec powieści.

Streszczać nieco złośliwie trudno, naprawdę jest to tekst, a w najwyższym stopniu irytująca. Widać wyraźnie, że autor pęłegnował złudzenia, które do nas nie mają dostępu. Wszystkie niemal po-

wyglądają. Wcale zresztą nie mam pewności, czy to zarzut, pod tym względem świat przedstawiony przez Chruszczewskiego wygląda bardzo interesująco, jest to właściwie przestrzeń intelektualna, basniowa i milicyjna, na pewno niezeczywista. Możliwe jest w niej przemawianie wielu osobom na raz, obserwowanie wydarzeń w paru punktach i czasach jednocześnie, komunikowanie sobie stanów psychicznych i poglądów z głowy do głowy. Te czasoprzestrzenne i mentalne zawirowania osiągały szczyt podczas kontaktu ludzi z kosmiczną rasą Rozumnijszych. Chwilami są to atrakcje pokrewne doznaniom po narkotykach i częściowo tym pokazanym przez Tarkowskiego w filmie „Stalker”. Tak więc, skracając się ze złości na dydaktyczne rezonerstwo i dziecinna chwila cikiwość Chruszczewskiego, nie można autorowi odmówić warsztatowej zręczności oraz daru budowy świata w sposób charakterystyczny i własny.

Krytycy wyprowadzają to pisarstwo z tradycji oświeceniowego racjonalizmu, z bajki filozoficznej. Ta diagnoza wiele wyjaśnia. W Oświeceniu budowano Świątynie Rozumu, „Fenomen Kosmosu” jest taką literacką kapliczką wybudowaną możliwościom, bo przecież nie dokonaniom, człowieczym. Czesław Chruszczewski (przepraszam, ale znowu będzie biografizm), człowiek, który działał w konspiracji, a po wojnie pracował jako dziennikarz – widział więc wiele – wyrzeka się jakby swych ponurych doświadczeń i śpiewa hymn na cześć tego, co potencjalne i radosne. Decyzja zadziwiająca, lecz godna szacunku i prawdopodobnie (uwaga biografizm!) głęboko zakorzeniona w osobowości pisarza. Przy końcu powieści narrator Kronikarz Wyprawy, stwierdza, że doszło do kłótni między kosmonautami, ale on jej nie opisał. Nie ma do tego głowy, nie uważa tego za konieczne? Czyż ten Kronikarz nie przypomina panstwu samego Chruszczewskiego, który nie chce, nie może, nie będzie dyskutować o diabo-

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Nasza Księgarnia

- D. Filar – *Nieostreść* (powieść)
- G. Górska – *Wezeł* (opowiadania)
- G. Górska – *Piekelną trojką* (powieść)
- M. Kuczyński – *Katastrofa* (powieść – wyd. 2)
- A. Zimnik – *Szlaki istnienia* (opowiadania)
- W. Zwikiewicz – *Bahada o przekleństwie* (powieść)

Iskry

- K. Borun, A. Trepka – *Zagubiona przyszłość* (powieść – wyd. 2)
- R. Cubleson – *Trawa* (powieść)
- H. Frank – *Dune* (powieść)
- M. Oramus – *Arsenal* (powieść)
- J. Zajdel – *Paradyżja* (powieść)

Wyd. Poznańskie

- Cz. Chruszczewski – *Fenomen Kosmosu* (powieść – wyd. 2)

- J. Sawaszkiewicz – *Kronika Akaszy. Metempsychoza* (powieść)
- W. Szefner – *Dziewczyna nad uniwiskiem* (powieść)

KAW

- Z. Lekiewicz – *Filozofia science fiction* (krytyka)
- W. Zwikiewicz – *Imago* (powieść)

Wyd. Literackie

- J. Koziński – *Smutek spełnionych baśni* (opowiadania – wyd. 2)

Wyd. Pomorze

- W. Zwikiewicz – *Delirium w Tharsys* (powieść)

Wyd. „Alfa”

- A. Lange – *Miranda* (powieść)

Zebrala Dorota Malinowska

FANTASTYKA nie spełnionych marzeń

Fantastyka Ameryki Łacińskiej kojarzy się w Polsce przede wszystkim z nazwiskami Cortázar, Borges, Bioy Casares. Zainteresowanie, jakim czytelnicy darzą twórczość wspomnianych pisarzy, często bywa przyczyną zaciekania literatury całego kontynentu, ponieważ dorobek autorów tej, mądrych, budzą nadzieję, że w dziedzinie fantastyki powstaje w Ameryce Łacińskiej więcej dzieł godnych uwagi.

Niesłusznie pojawia się na naszych polkach księgarskich powieści „Salamandra” napisanej przez Wenezuelczyka Pedro Berroeta z pewnością nie przyczyni się do utrzymania dobrej opinii, jaką cieszy się u nas proza łacinoamerykańska, w tym także – proza fantastyczna. Berroeta nie należy do najbardziej znanych pisarzy wenezuelskich. Krytycy wspominają o nim tu i ówdzie, zawsze jednak na marginesie twórczości innych, poczyniła wysiłki autorów. Dzieje się tak trochę dlatego, że wychował się w Europie, tworząc „Salamandry” nie nawiązuje tradycyjnym motywom wenezuelskim, próżny, tragiczny, pełny napięcia realizm, umiłowaniu tego, co ziemskie, kultowi dwóch biegunów życia ludzkiego: siły i talenty i śmierci – co według słów eseisty Juana Liscana, jest najbardziej typowe dla literatury jego kraju. Na „europejskość” Berroeta wpłynęło nie tylko paryskie wykształcenie, lecz także i to, że od 1945 r. reprezentował Wenezuelę jako urzędnik misji dyplomatycznych w Stanach Zjednoczonych i w kilku krajach Europy. Jego najwybitniejsze osiągnięcia literackie są zbiór opowiadań pod tytułem „Marianik” oraz „La leyenda de donde Luna” („Legenda o hrabim Lunie”) – osnuta na średnio-wiecznych motywach fantastycznych, za którą otrzymał nagrodę państwową. Uhonorowana została także – międzyna-

rodową nagrodą im. Simona Bolívara – omawiana „Salamandra”.

Trudno jednak dociec, czemu wyróżniono tę właśnie powieść. Być może przeważały humanistyczne treści, jakie zawarł autor w fabularyzowanym esejem publicystycznym, komentującym współczesną nam rzeczywistość. Tak można bowiem nazwać tę książkę, jeśli spojrzymy na nią pod kątem dygresji, które zajmują co najmniej połowę jej objętości. Gdy jednak za punkt wyjścia przyjmujemy fabułę i postać głównego bohatera, wówczas „Salamandra” staje się quasi-dydaktyczną powieścią bez jasno sprecyzowanej tezy.

Bohaterem utworu jest młody człowiek, Efrén Sarmiento, który został wybrany przez zagadkową Grupę Salamandry za narzędzie do zwalczania konkurencyjnej organizacji „Złodziej dusz”, legitymującej się godłem przekłutego szpilką motyla („psyche” to po grecku „dusza” a także „motyl”). Osobowość Efréna ulega podczas kontaktów z grupą całkowitej dezintegracji. W ciągu jednej minuty swego życia (gdyż taki jest czas trwania akcji powieści) Efrén odbywa podróże w czasie i przestrzeni, wciela się w postaci wielu znanych mu i nie znanych osób, by przez ich doświadczenia i odczucia poznać otaczającą go rzeczywistość.

O fantastycznym charakterze „Salamandry” decyduje właśnie – wspomniany brak barier czasu i przestrzeni, atmosfera tajemniczości i perspektywa narracji, która przeżycia bohatera ilustruje opisy dzisiejszego świata nakreślonymi przez historię z przyszłego wieku. Dygresje te stanowią zarazem główną wadę powieści, gdyż akcja – już sama w sobie zagałwaną i chaotyczną – przerywana jest nudnymi tyradami, łączącymi w sobie

umoraiący ton ze swoistą nawrością sądów.

Po upływie jednej minuty, która – dodajmy – w czytaniu okropnie się dłuży, kończą się męczarnie ziącego jednocześnie w dwóch światach Efréna, a jego misja (dla niego samego do osłabienia chwili zagadkowa i niepojęta) została spełniona w innym wymiarze rzeczywistości, zanim dokona się w świecie realnych zdarzeń. Wiemy już, że dobro zwycięży i ludzkość zostanie ocalona; dłużej człowiek nadal pozostaje elementem przetargu w rozgrywce dwóch konkurencyjnych sił.

Ciekawy w zamierzeniu pomysł książki – maksymalne skrócenie trwania akcji i jednocześnie rozciągnięcie jej w czasie i przestrzeni, ukazanie ludzkości jako zabawki w rękach potężnych sił, będące odbiciem i połączeniem dawnych koncepcji losu i walki Dobra ze Złem, Boga z Szatanem – w wykonaniu jest chybioną. Niespójna akcja i rozbita mało odkrywczymi dygresjami, lok opowiadania zaciemniają główną ideę powieści, a całość – pomimo zastosowania przez Berroeta typowych dla fantastyki chwytów formalnych – źle spełnia podstawową zasadę literatury fantastycznej. Zasadą tą jest bowiem wywołanie niepokoju i fascynacji tym, co nieznaną i niepojętą, zatarcie granicy między realnością a nierealnością, wyjście poza racjonalistyczną koncepcję świata. Tego rodzaju doznań lektura „Salamandry” nie wywołuje. Wywołuje natomiast irytację i znudzenie.

Dorota Walasek

Pedro Berroeta „Salamandra”. Przeł. W. Tinajero i R. Samel. Czytelnik, Warszawa 1983. Cena 110 zł.

Stanisław Lem zagadnięty o „Dialogi” w trakcie rozmów, jakie prowadził z nim Stanisław Beres, odpowiedział: „W żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, w jaki sposób ta książka wyskoczyła z mojej głowy. Nie wiem, jak to we mnie weszło, że włożyłem do niej swoją najlepszą wiedzę o funkcjonowaniu tego ustroju (...) Wiem tylko, że było to wszystko moje chałupnicze pomysły, które przełożyłem starannie na cybernetyczny język, co niewątpliwie pomogło”.

Autor wyraźnie dysantuje się dzisiaj do książki, którą zaczął pisać 30 lat temu, i która ukazała się po raz pierwszy w 1957 roku, ale też – może nie świadomie – ujawnia swo, ciekawość do niej. Chyba sam zdaje sobie sprawę z jej niezwykłości w porównaniu do wszystkiego, co napisał. Wprawdzie już wcześniej publikował Lem felietony naukowe w „Nowej Kult” i dopiero „Dialogi” ujawniły w całej pełni jego filozoficzne i publicystyczne zainteresowania – pamiętajmy, w roku wydania „Dialogów” Lem miał na swoim koncie „Asronautów”, „Sezam”, „Obłok Magelana” oraz „Czas nieutracony”. Wyjąwszy tę ostatnią pozycję, jego dorobek literacki nie miał jeszcze zbyt dużego ciężaru artystycznego ani intelektualnego. „Dialogi” były tu jakby otwarciem się na nowe obszary piśmiennictwa. Po „Czasie nieutraconym” były drugim gwałtownym wyłamaniem się z ram, w jakie wpasowano Lema – autora konwencjonalnych utworów fantastyczno-naukowych.

W 1957 roku trudno było przewidzieć, że kariera pisarza rozwinięta tak świetnie. Nawet pierwsze nieliczne przekłady, jego powieści, późniejszego rozkwitu, nie zapowiadały. Ale też „Dialogi” nigdy nie zyskały takiego rozgłosu, jak wszystkie następujące książki, eseisy, „filozofie”, nie takie jak

"DIALOGI" po latach

„Summa technologiae”, „Filozofia przypadku” czy „Fantastyka i futurologia” – bynajmniej nie napisane prostym językiem czy posiadające mniej skomplikowaną zawartość dyskursywną. Toteż zaskoczeniem jest – przynajmniej dla mnie – tegoroczna edycja „Dialogów” w nakładzie 100 tys. egzemplarzy. Jest to autentyczny i zadziwiający fenomen wydawniczy. Oto wydano w nakładzie takim, jak powieści sensacyjną, pracę poświęconą cybernetyce, napisaną dialogiem, wyrażone wzorowanymi na dialogach platońskich oraz uzupełnioną kilkoma obszernymi i trudnymi w lekturze esejami, wzbogacającymi i weryfikującymi zasadniczy zrab „Dialogów”. Jakkolwiek by patrzeć, jest to wydarzenie i nie wiem, czy gdziekolwiek na świecie wydano by taką książkę w tak wysokim nakładzie, książkę, która jest już dość ciekawa i jest owocem załascynowania cybernetyką, jakiemu ulegali 30 lat temu uczeni i intelektualiści.

Cybernetyka miała mieć cudowne działanie i zastosowanie do najróżniejszych dziedzin życia, miała uporządkować i zintegrować szczegółowe dyscypliny nauki, miała pokazać człowiekowi nowe możliwości stojące przed nim, przed maszyną, przed społeczeństwem, miała ułatwić kierowanie procesem i d. d. „Jest dokonanie wielkiego wspaniałego rzeczy, ale – niestety – niewiele z tego wypełniła i wypełnia. Odegrała ważną rolę, wpłynęła wyraźnie na nasz sposób rozumienia świata i mechanizmów nim kierujących, ale też nic już nie zostało z jej domniemanego donios-

mu, jak i przeceniania znaczenia. W latach pięćdziesiątych była swego rodzaju mitem – dzisiaj Lem jest tego w pełni świadomy, toteż w przedmowie do drugiego wydania (1972) napisał, że „Dialogi” „stały się świadectwem „rawie bezgranicznego optymizmu poznawczego, jaki nie tylko we mnie wzbudziło powstanie cybernetyki”. Książka nie tyle opisuje cybernetykę, bądź jej podstawy, ile wyobrażenia, która nie była moją ściśle prywatną własnością”. Dziś są „Dialogi” przede wszystkim świadectwem tamtego zauroczenia odkrywaniem dyscypliną wiedzy, próbą rozpatrzenia się w jej możliwościach i – jak się wydawało – imponujących perspektywach (o których nie można i dzisiaj napisać, że są określone i ograniczone). Musimy sobie jednak w pełni zdać sprawę z tego, że była to na naszym gruncie praca pionierska, poprzedzająca przekłady książek N. Wienera czy A. Ducrocqua, a także prace polskich autorów, których później ukazało się wiele. Znaczenie „Dialogów” jest więc bardzo duże, jest to książka ze wszech miar poważna, mimo iż dzisiaj prowokuje od czasu do czasu uśmiešek czytelnika – wesołość wywołuje platońska forma i antyczne imiona rozmawiających postaci zderzone z tematyką ich dialogów, a także tu i ówdzie wspomniana sielska sceneria rozmów.

Leszek Bugajski

Stanisław Lem „Dialogi”. Wydanie III. Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1984. Cena 180 zł.

Hollanek Adam

(ur. 1922)

Pisarz, dziennikarz

Urodził się we Lwowie w roku 1922. Studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Dziennikarz, wieloletni redaktor dzienników ogólnopolskich, redaktor naczelny miesięcznika „Fantastyka”. Działacz międzynarodowego ruchu SF, członek „The World SF Association of Professionals”. Dwukrotny laureat dziennikarskiej nagrody im. Bruno Wawera. Autor artykułów krytycznych z zakresu SF i prozy współczesnej oraz krótkich powiastek o charakterze popularyzatorskim m.in. „Węgiel nasze czarne złoto” (1954), „Woda wie kłódnicy” (1954), „Niewidzialne armie kapitulują” (1954), „Sobotnie spotkania” (1955), „Skarby z polskiemu” (1956), „Sprzedam śmierć” (1961), „Skóra jaszczurca” (1965), „Le-wicki cyklop” (1966), „Niesmiertelność na zamówienie” (1973), „Błysk milionów swiec” (1975), „Sposób na niewiadome” (1978). W swoich książkach zajmuje się historią sztuki lekarskiej (przez wiele lat redagując stałą rubrykę „Medycyna w Perspektywach”), popularyzuje obecne i przyszłe problemy stosunku człowieka do przyrody sygnalizując zagrożenia wynikające z niekontrolowanego rozwoju przemysłu i nierozważnej ingerencji w sferę procesów biologicznych. Pisze o zagrożeniach techniki i nauki. Kresli drogi rozwoju nowych gałęzi wiedzy psychosomatyki, biometeorologii, fizyki jądrowej ukazując różnorodność skutków oddziaływania rewolucji technicznej.

Adam Hollanek jest także autorem prozy o tematyce współczesnej („Plaza w Europie”, 1967, Bandyty i policjanci” 1982), książek które z wielką doświadczeniem przeprowadzają analizę uczuć, myśli, zachowań, poczucia nicości, osamotnienia, odmiennych postaw wobec życia. Są to opowiadania mówiące o alogiczności ludzkiego postępowania, niespodziankach psychicznego „zywiolu”, konfliktach wynikających z nieoczekiwanych decyzji, zaskoczeń, jakie przygotowuje człowiekowi nie tylko jego partner ale jego własny odruch, decyzja. Pisał przed laty Włodzisław Maciąg.

Adam Hollanek wydawał również (pod pseudonimem Jan na Martyn) powieści kryminalno-fantastyczne (m.in. „Rozińczył was na zawsze” 1977). Jako pisarz SF debiutował w roku 1958 antyutopią „Katastrofa na „Stońcu Antarktydy” („Wiedza Powszechna”). Wydał „Zbrodni wielkiego człowieka” (powieść kryminalno-fantastyczna, Wyd. Śląsk 1960), „Muzyka dla was, chłopcy” (opowiadania, Iskry 1975, zawartość „Bart 16”, „Skasować drugie ja”, „Za wszelką cenę powrócić”, „Muzyka dla was, chłopcy”), „Ukochany z Księżyca” (opowiadania, KAW 1979, zawartość „Ukochany z Księżyca”, „Jak koń trojański”, „Punkt”, „Aparat też chce żyć”, „Oni już tu są”, „Łazieży wstani”), „Jeszcze trochę pozyc” (powieść, Iskry 1980), „Ośnienie” (2 powieści, KAW 1982, zawartość „Ośnienie”, „Nie można go spać”), „Kochać bez skóry” (powieść, KAW 1983).

W najbliższym czasie nakładem Wyd. „Śląsk” ukaze się wznowienie „Katastrofy na „Stońcu Antarktydy”. Krajowa Agencja Wydawnicza opublikuje nową powieść Adama Hollanka „Homon R” a jego „Ośnienie” zostanie zrealizowane w TV. Z utworów o problematyce współczesnej zapowiadane są „Wersze” (LSW) i „Księżna z Fiorenci”, powieść Wyd. Literackie. W przygotowaniu: „Portret z cien i nowela himnowa – rzecz o Grotgerze”.

„Katastrofa na „Stońcu Antarktydy” została przełożona na język rosyjski i czeski. W zachodnoniemieckim wydawnictwie „Wilhelm Heyne Verlag” ukazał się przekład powieści „Jeszcze trochę pozyc” (w przygotowaniu „Kochać bez skóry”). Zapowiadana jest także edycja autorskiej książki A. Hollanka w wydawnictwie „Mir” w ZSRR.

Fantastyka naukowa pełni w twórczości Adama Hollanka funkcję pierwszoplanową, lecz nie sprowadza się to do popularyzacji zagadnień technicznych i problemów związanych z niekontrolowanym postępem nauki. Science fiction jest tu częściej kostiumem, sposobem rozszerzenia wiedzy o człowieka, którą przekazuje literatura obdarzona ambicjami poznawczymi i moralizatorskimi. Ów fakt dostrzegli recenzenci „Katastrofy na „Stońcu Antarktydy” – „jedną z ciekawszych antyutopii lat pięćdziesiątych. Wątek przygody, sensacji, zagadek zgola kryminalnych posłużył jako zaniebieranie wartości człowieczeństwa, jaką jest nasze życie emocjonalne, uczucia targające ludzką psychiką, sprawiające, że wszelka próba unifikacji, totalitaryzmu wydać się musi nieetyczną, ingerującą w najbardziej skryte, podświadome marzenia jednostki. Oczywiście odnajdujemy w „Katastrofie” wzjętą przyszłości świata – ze szlucznymi słoncami usuwającymi lód z Antarktydy, wyrzucającymi materię w przestrzeń kosmiczną za pomocą sił antygravitacyjnych. Poznajemy heroizm codziennych walk z przyrodą oglądamy panoramę szeptniczyznowanej planety z ciekawymi, intrygującymi wynalazkami (modelem jednoszynowego pociągu atomowego, koleoptrem etc.) – ale widac wyraźnie, że to nie tematyka futurologiczna zafascynowała autora. „Katastrofa” odczytana na nowo po 26 latach, rysuje się jako zespół wątków motywów, toposów literackich pogłębianych i rozwiniętych w późniejszych utworach Hollanka. W planie hipotezotwórczym którego mimo wszystko nie można lekceważyć, odkrywamy ideę „przyspieszająca myśli” – akceleracją mózgu sterującego ludzką inteligencją, wrażeniami, odczuciami, wpływającego na zmianę procesów fizjologicznych. Ów wątek powracający w einsteinowskiej „Zbrodni wielkiego człowieka” oraz w opowiesciach z tomu „Ukochany z Księżyca” („Punkt”, „Aparat też chce żyć”) – wiąże się silnie z klasycznym pytaniem o niesmiertelność, sprawiającym, że dążenie do doskonałości powoduje rozpad naszego życia psychicznego.

Innym, niezwykle istotnym motywem „Katastrofy” jest jej przesłanie antyutopijne dalekie od łatwego optymizmu fantastyki lat pięćdziesiątych (z wyjątkiem historii S. Lema i powieści K. Boru-nia). W tym wspinał się „raj techniczny” – wstrząsanym konfliktami społecznymi i środowiskowymi, dominuje refleksja, iż człowiek – mimo wszystkich zmian świadomościowych – pozostał ten sam w odruchach, żądach, dążeniach emocjonalnych. Treścią utworu staje się konfrontacja programu terrorystów, spadkobierców ideologii faszystowskiej (którzy pod przewodnictwem profesora Riskego pragną zastąpić ludzi nieczu-lymi bezdusznymi robotami) z obrońcami pokoju, zwolennikami tezy o twórczym, nieskrępowanym rozwoju człowieka. Pełna ambiwalencji batalia o zachowanie istniejącego status quo (świat rządzący odczuciami jest okrutny, lecz stanowi o naszej niepowtarzalności) toczy się w nader ciekawym schemacie „pożerowanej ingerencji kosmicznej” (pisałem o tym w „Fantastyce” nr 8/83). Motyw nieudanej inwazji, pogłębia wymowę przesłania sugerującego, iż prawdziwym wrogiem człowieka może być tylko człowiek. Kontynuację wspomnianą tezę odkrywamy w całej późniejszej twórczości Hollanka, od „Zbrodni wielkiego człowieka” podejmującej temat wyzolenia z niszczących więzi czasu, ucieczki przed śmiercią, aż po książkę „Jeszcze trochę pozyc”, w której nie-

śmiertelny, wszechpołeczny intelekt zrodzony z odpadów ludzkiej cywilizacji (echa zagrożeń cywilizacyjnych) pożąda paradoksalnie – dostępu do zawodowej psychiki człowieka. W dwóch niedawno wydanych powiesciach „Ośnienie” „Kochać bez skóry” dochodzi do głosu koncepcja trzeciego stanu istnienia – egzystencji poza czasem i przestrzenią będącą swoistym antydo-łtem na lęki i niepokoje naszego świata. Jej założenia zostają stormulowane w opowiadaniu „Oni już tu są” pochodzącym z tomu „Ukochany z Księżyca”. „Poza życiem i śmiercią może prze-cieć istnieć taka postać żywej, na wyżej, zorgan-izowanej materii, która nie jest ani tym co w nau-kowym i potocznym rozumieniu uważamy za ży-cie ani jego absolutnym końcem, czyli śmiercią. Czy można być nie żyjąc ani nie zmarłym wsta-jąc? Czy materialne bytowanie nie może organi-zować się w jakieś zupełnie inne od znanych nam i opisanych form?” Kwestię tę rozwiązuje Ho-lanek niebanalnie zaskakując swych czytelników. Trzeci stan istnienia jest siecią drogą rozwoju cy-wilizacyjnego kuszenie bohatera (jak w średnio-wiecznych moralistach) okazuje się czynnością daremną – zmierzająca do zagłębienia osobowości ucieczki w sferę marzeń narkotycznej i alienacji. Fabuła „Katastrofy” wprowadza jeszcze jeden niezwykle charakterystyczny motyw iteracki: dro-biawogaw, kliniczną obserwację postawy człowie-ka ujawniającą rozpad jego osobowości. Opis rozdzielenia jaźni nie jest jakąś anomalią, odchy-leniem od normy przeciwnie – zdaniem autora „Katastrofy” – w każdym z nas tkwi wiele wymia-rów życia emocjonalnego, częstokroć sprzecz-nych i zafascynowanych, które wyznaczają poczu-cie nieprzewidywalności, przypadkowości, co-dziennych kontaktów międzyludzkich. Pozna twórczość Adama Hollanka zmusza do u-wagi, refleksji, współpracy ze strony czytelnika. Autor „Ośnienia” jest uważany za kontynuatora polskiej odmiany „inner space” (por. rec. L. Bu-gajskiego), co dla wielu, krytyków oznacza przy-wołanie wątków mitologicznych, dowodzi, zna-o-mości psychoanalizy XX-wiecznych teorii filozo-ficznych. Fragment powieści, przedrukowywany na „Pozdółkach kartkach” świadczy jednak i o tym, że utwory Hollanka zachowują zasadę żywej, zwartej akcji, technikę narracji kryminalnej. De-tektywistyczna fabuła dominuje we wszystkich wypowiedziach autora, a do niezapomnianych krea-cji należą postacie Chryzostoma Głaza i Jana Lipki. Paradoks? Sprzeczność? Bynajmniej. Wątek kryminalny nie służy przecież wyłącznie za-spokojeniu rozrywkowych „ambicji” czytelników. Jest logicznym zwieńczeniem treści, w którym znacznie łatwiej wyrażać zagadkowość życia i świata.

Bibliografia wybrana

- Katastrofa na „Stońcu Antarktydy”
– A. Klimowicz „Przyjemna mistyfikacja” (w) Nowe Książki 1958/11
– (Karol) Kryminał interesujący (w) Książka 1958/116
– A. Trepka „Dyskusyjna fantastyka” (w) Proble-my 1959/4
„Muzyka dla was, chłopcy”
– J. Skuczyński „Człowiek w przyszłości” (w) Nowe Książki 1976/17
– W. Szymanderski „Nowy paskudny świat” (w) „Książka” 1976/8
„Jeszcze trochę pozyc”
– S. Kędzierski „Kompromis czy kapitulacja” (w) Książka 1981/1
„Ośnienie”
– L. Bugajski „Inner space po polsku” (w) Fan-tastyka 1983/9
„Kochać bez skóry”
– L. Bugajski „Trzeci stan” (w) Fantastyka 1983/12
– A. Niewiadowski „Najtrudniejsza z możliwych szans” (w) Życie Literackie 1983/51–52

pożółkłe kartki

Werbel w glosnikach wciąż wzmagają się. Ludzie nie słuchają już rozkazów. Nikt nie chce dyktować w wieży cze nad salą geografów. Słyszysz się tylko powtarzane glosno z ust do ust jedno słowo „uc ekac” i...

„Waga! Idą! Są blisko!”

Reed skacze ku oknu. Wicher gna tumany śniegu i igieł lodowych. Nic nie widać. Głaz natychmiast jest już na przenośniku. Pędzi pod wieżyczką. Na schodkach dudni kroki. Arroes wyprzedził Starego Detektywa i Reeda.

– Popatrzcie – mówi Dulan spokojnie. Czy ma przymrużone, szczurzą twarz. Czy to wyraz strachu czy odwagi?

W świetle reflektorów, w przerwie między jednym a drugim podmuchem huraganu widać ciemne, wlochaty postaci. Wyraznie odcinają się na tle śniegu. Lby mają osłonięte mgiełką. Tylko od czasu do czasu połyskują metalicznie w promieniach lamp.

– Jeden, drugi – liczy Głaz.

– O, trzeci i czwarty... – szepce Arroes. Idą gęsiego.

Widok potworów otrzeźwia wszystkich. Głaz czuje, jak krew napływa mu do twarzy i wyostża zmysły.

– Ach, gdyby mój mózg elektronowy działał przyzwyczajenie – mówi Dulan – obliczyłbym każdy ich krok, każdy gest, uprzedziłbym ich ruchy.

Śmieszne – przerywa Reed – ziemskimi sposobami chcesz badać reakcje istot, które kształtowała inna przeszłość niż nasza.

Arroes milczy i lornetuje okolice.

– Już osmy – szepce Stary Detektyw – ale przez lornetę widac gorzej niż gołym okiem. Czego oni chcą?

– Istoty te są podobne do nas – Dulan mówi jakby do siebie. – Maszyny elektroniczne, gdyby działały prawidłowo, uchwytyłyby szybciej niż nasze mózgi zespół tych podobieństw.

– A jeżeli się mylisz? – pyta nagle Arroes.

– Nie rozumiem. W czym się mylę? Aha, jeśli się mylę, to dzięki maszynom szybciej poznałbym swoją omyłkę. A tak jestem skazany na własne obserwacje.

– Jesteś maniakiem maszyn...

– A jednak Dulan ma rację – wola Głaz – te istoty są bardzo do nas podobne.

Głosniki warczą coraz głośniejsze. Trudno wprost rozmawiać.

– Musi tak hurczeć? – Arroes zwraca po błądla twarz ku Dulanowi. Dulan mruga oczami. Obserwuje nieregularne zygaki na ekranach rozpiętych obok pulpity z zegarami.

– Musi. To mi pomaga stroić. Alez głuszą. Już sam fakt, że wiedzą, jak głuszyć nasze sygnały, świadczy o ich ludzkich cechach.

Dulan ma teraz twarz zmarszczoną. Oczy prawie niewidoczne. Pochylony nad ekranami zupełnie nie patrzy w okno. Jest tak pochłonięty tą zabawą, jakby niebezpieczeństwo w ogóle nie istniało (...).

– A może byśmy spróbowali jakos się z nimi porozumieć? – Arroes patrzy błagalnie na Dulana. Czego od niego oczekuje? Cudu?

Dulan odwraca głowę. Znowu obserwuje ekrany. Arroes rozumie mowę złotych kul i zygaków. Rozumie jedynie troskę Dulana czy w razie konieczności strzelania uda się trafić.

– Nie! – wola – na razie siedźmy cicho. Pierwsi nie zaczniemy. Nie strzelaj nawet na postrach! Może oni nie mają złych intencji? Gdyby chcieli.

Rzeczywiście – stwierdza obojętnie Dulan – atakują w dość dziwny sposób. Chcą nas wziąć wyciem i pokazywać u siebie jak zabawki?

Głaz przez lornetę obserwuje nierzucięte ciała.

– Popatrzcie – wola to szalency... to jednak nie...

Kilkadziesiąt metrów przed bazą wylania się zza pagórka kanciasty leb. Porusza trąbkowatymi oczami, jakby obserwował ludzi w wieżyczce. Oczy ludzi i potwora spotykają. Arroes szybko odklada lornetę. Coś się ku drzwiom.

Zza pagórka wylazi cała postać. Góra futra. Za nią w odległości jakichś dwudzie-

Dulan zaczyna usta. Rece ma jak automaty. W morderczym pasażu przebiega palcami po klawiszach spustów. Bombarduje wzgorza nieustannym ogniem. Baza wygląda jakby otoczona pożarem. Wieżyczka obraca się wolno wokół swej osi. Nad lotniskiem kleby czarnego dymu.

– Trafili w lotnisko! – krzyczy Reed. Rzuca się na schodki. (...) Od niedomkniętego wjazdu płynie fala mrozu. W jasnym

KATASTROFA

na »SŁOŃCU ANTARKTYDY«

Adam Hollanek

stu metrów – druga. Z tyłu ciemniej już trzecia. Ciągłe idą gęsiego. W równych, doskonale odmierzonych odstępach.

Nie zdają sobie sprawy, że możemy ich skosić? A może tacy pewni siebie? – wola Reed.

– Zupełnie nie uzbrojeni – szepce Arroes patrząc na ich sztywne rece opuszczone wzdłuż ciała, rece o długich, wąskich dłoniach i koscistych palcach. – Zupełnie nie uzbrojeni – powtarza cicho, jakby się bał, że tamci mogą go dosłyszeć.

Dulan wysyła sygnały świetlne i dzwinkowe. Krajobraz czerwienieje, zielenieje, rozowieje i żółknie. Huk syreny przenika do wnętrza mimo doskonałej izolacji ścian.

Metalowi ludzie nie reagują. Sztywnymi krokami brną przez zasypy.

– Przecież nie pozwolimy im tu wejść – wola Dulan. Arroes, Głaz i Reed milczą. Dulan naciska spust. Pocisk zatacza świetlisty łuk i pada przed stopami potwora. Potwór omija miejsce wybuchu.

– A jednak zrozumiał – krzyczy Reed.

Jeszcze dwanaście metrów i metalowi ludzie wejdą w cien bazy. Dulan bez rozkazu pierze z broni maszynowej. Atomówek nie chce rzucać. W razie konieczności opuszczenia bazy bron taka odwróciłaby się przeciw słuszającą ją – nie mieli ubrań chroniących przed promieniowaniem.

Potwory nie reagują na ogień.

Kule albo nie trafiają, albo nie szkodzą. Dulan raz po raz naciska spust. Nie wierzy automatom. Trzyma oko na celowniku. Mierzy i pluje ogniem. Bierze wreszcie na cel najbliższego potwora. Użyje granatnika. Mierzy w głowę.

– Nie celuj w niego! Wal w drugiego – krzyczy nagle Głaz, starając się zagłuszyć warkot silnika i huk wystrzałów. Dulan gwałtownie się odwraca.

Zwarłowałeś?

Głaz go odrzucił. Celuje krótko. Naciska spust.

Drugi potwór tonie w ognistej fontannie. Już nie wstaje. A najbliższy? Chwieje się przez moment i wali się na ziemię wyprostowany.

– A widzisz! – krzyczy Głaz.

– Nie pojmuję – skanduje Dulan. nie...

W tej chwili w wieżyczce jasnieje, jakby wleciał do niej wnętrza piorun. Niemal jednocześnie podmuch i huk rzuca wszystkich na szyby i pulpity. Głosniki milkną gwałtownie.

Po huku cisza, jeszcze bardziej ogłuszająca.

Pierwszy unosi się z kłeczek Arroes. Dulan! – ryczy Dulan, wal czym po-
pół... do każdego, który się zbliży!

kregu widac ogromną szescienną morde z trąbkowatymi oczami. Za nią druga i trzecia (...).

Reed wydobywa zza pasa granat. Cofa się kilka kroków. Ciska i pada na schodki. Czuje jak po wybuchu opadają na niego drobne metalowe odłamki i plastikowy pył. Podnosi się. Oswiebla otwór. Bestia leży nieruchomo. Głowy nie widać. Wygląda jak kolosalny jez.

Słychać z sali wołanie Głaza.

– Reed uważaj. Atakują ze wszystkich stron. Reed!

Znowu wybuchy, widocznie załoga się broni. Krzyki rosną. Potem cisza. Wpada Głaz z latarką w dłoń.

– Uciekajmy! Na wieże! Potwory opanowują bazę... No, Reed!

Dostrzegają powalonych potworów.

– Przekonaj się, że miałem rację. I tak już wszystko jedno – mówi nagle.

– Nie podchodź!

Ale Stary Detektyw nie słyszy. Opanowała go potężna żądza poznania prawdy. W tej może ostatniej chwili życia chce się przekonać o wartości swoich przypuszczeń.

Kopie potwora. Potwór przewala się bezładnie na bok. Piersi ma rozłupane na dwoje. Sterczą z rany zwoje poszarpanych przewodów, odłamki kryształów i lamp. Nieludzki, lecz jakże bardzo ludzki widok. Tak nie wyglądają wnętrza żywej istoty, tak wyglądają wnętrza mózgow elektronowych skonstruowanych przez ludzi. Przez ludzi.

– To roboty, Reed. Mówiłem.

Fala radości ogarnia na chwilę Głaza. Ale oto w otworze nowy kanciasty leb. Reed ciągnie Starego Detektywa na gore. Wpadają do wieżyczki. Od strony elektronu bije w niebo fura. W świetle pożaru widać doskonale dziesiątki potworów. Wchodzą do bazy. Spokojnym, sztywnym krokiem – jak wojsko na mustrze. Za chwilę kroki ich zadudnią na schodach. Reed daje ognia z raketnic. Drży cały. Nie trafia.

Ostre swisty przecinają powietrze. Najpierw pojedyncze. Po chwili zlewają się w jeden nieprzerwany jęk. Jęk staje się coraz wyższy. Wdziera się w uszy. Szereg metalowych ludzi łamie się. Potwory padają po kilka na raz, a nad nimi wyrastają gejzery ognia i dymu.

– To pomoc! – krzyczy Głaz. Reed, to pomoc!

A. Hollanek, „Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«” (powieść fantastyczno-naukowa), Wiedza Powszechna 1958, wybór ze stron 301-325.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

W 1987 r. głośno było na świecie o Jamesie Bedfordzie, pewnym mało znanym profesorze psychologii z miasta Phoenix w Arizonie (USA). Profesor stał się sławny dopiero po śmierci - był bowiem pierwszym na Ziemi człowiekiem, którego w momencie śmierci zamroził. Jego ciało dotąd spoczywa w płynnym azocie (196°C poniżej zera), w pojemniku ze specjalnej stali. Bedford miał pewien rodzaj nieuleczalnego nowotworu i wiedział, że musi umrzeć. Jeszcze zanim zachorował, interesował się problemami zamrażania żywych istot. Był przekonany, iż kiedyś zamrażanie nieuleczalnie chorych będzie być może jedyną drogą zapewnienia im powrotu do życia. Ufał, że dzięki postępowi nauk przyszłe pokolenia będą mogły ożywić zamrożonych i leczyć ich choroby, w przyszłości już uleczalne.

Bedford nie był naiwny. Zdawał sobie sprawę, że jego szanse są tak niewielkie, iż właściwie ich nie ma. Technik zamrażania w owym czasie gwarantowały przeżycie (scisnąć - przetrwanie w stanie "odwracanej śmierci") co najwyżej, tkankom narządów (ale nie wszystkim - bo już nie np. mózgowi!), niektórym niższym organizmom. Były już wprowadzone udane próby przywracania do życia po zbiegnięciu nawet tak wysoko ewolucyjnie stojących zwierząt jak szczury, ale oziębiono je tylko do minus 6°C , wobec tego płyny tych organizmów pozostały nie zamrożone. Ale odwracalne zamrożenie człowieka było wtedy i jest do dziś niemożliwe. Bedford mógł więc tylko liczyć na tak postępowi biologii w przyszłości, który umożliwiłby rekonstrukcję jego tkanek zniszczonych przy zamrażaniu. Miał podobno powiedzieć, że szanse powrotu do życia ciała obroconego w proch są zerowe, czyli: nie ma ich w ogóle. Szanse ożywienia ciała utraconego w ciekłym azocie są niewątpliwie małe, prawie zerowe, ale przecież jednak o włos większe od zera. Nikt to po cechu, prawdę mówiąc też naciągana, ale być może nie o to wcale chodziło. Bedford był uczonym i sprawę swego zamrożenia po śmierci klinicznej, potraktował jako swoisty eksperyment. Chciał także przełamać opory różnej natury. Chciał jednym słowem: by nauka poważnie zajęła się problemami odwracalnego zamrażania wyższych organizmów, chciał zwrócić uwagę na możliwości, którymi dotąd zajmowali się tylko autorzy SF.

Odwracane zamrażanie ludzi to nie tylko kwestia leczenia chorób dziś nieuleczalnych. To przede wszystkim niezwykła, niewyobrażalna możliwość podróży w czasie - w przyszłość. Jest to uzyskanie pewnego rodzaju nieśmiertelności. Wprawdzie średni czas ludzkiego życia pozostałby niezmienny, bo życie jest właśnie procesem zużywania organizmu i proces ten można zwolnić, ale nie można go w żaden sposób wyeliminować (choć kto wie, co będzie w dalekiej przyszłości?) - ale pozostaje taka właśnie możli-

wość rozłożyć życie na raty! Powiedzmy że ktoś, zamiast „odbyć” swoje krótkie 80 lat jednym ciągiem, w jednej przypisanej sobie epoce woli żyć kawałkami - na przykład po pięć lat w każdym stuleciu. Wówczas, jeśli zaczął jako dwudziestolatek, może zobaczyć, jaki będzie świat za tysiąc i za dwa tysiące lat. Może, oczywiście poprosić o odmrożenie i za tysiące lat i znaleźć się w świecie, którego w żaden sposób nie można sobie wyobrazić.

Prawdę mówiąc, byłaby to decyzja heroiczna, nikt bowiem nie wie, czy człowiek w ogóle może żyć

Z tamtej strony lustra

Nieśmiertelność w pojemniku

Maciej Iłowiecki

poza swoim czasem, czy nie skończyłoby się to wszystkim szaleństwem. Możemy tylko wyobrazić sobie, jakby się na przykład czuł wojownik z czasów Chrobrego, przywrócony nagle do życia w Warszawie 1984. Zresztą, czy nasi potomkowie żyjący napewniej na przeludnionym do ostatku nosisi globie, zechcieliby jeszcze przywracać do życia swych praprzodków? Jak zauważył słynny genetyk Herman Mueller: „Byłoby wyjątkowym egzemplarzem pchać się między przyszłe pokolenia. A może oni wcale nie zechcą nas odmrażać?” Zostawmy tę kwestię na boku. Niezależnie bowiem od wątpliwej przyjemności bezpowrotnie, podróży w przyszłość sprawa odwracalnego zamrażania ma ogromne znaczenie naukowe i medyczne. Nie wdając się za bardzo w szczegóły, można tylko stwierdzić, że w ogóle oziębianie organizmów i tkanek kryje w sobie nadzwyczajne możliwości lecznicze (już dziś tzw. hipotermię czyli obniżanie temperatury organizmu, stosuje się przy leczeniu pewnych schorzeń). Ponadto w trakcie doświadczeń ze ssakami zauważono, że oziębianie ich w pewnych granicach czasu i temperatur prowadzi do wyraźnego odmłodzenia, być może organizm stałocieplny zyskuje w czasie hipotermii możliwość swobodnego fizjologicznego odpoczynku, jakiejś regeneracji? Kto wie, czy odwracalne zamrażanie nie stanie się kiedyś metodą odnowy organizmu?

Płyny w żywych tkankach zamrażają całkowicie, jeżeli ich temperatura obniży się do około minus 15°C . Proces zamrażania powoduje jednak zasadnicze zmiany w strukturze komórkowych roztworów koloidalnych. Zmienia równowagę zawartych w nich soli (znający biologię wiedza, iż równowaga ta jest podstawą procesów życiowych) nadto tworzące się kryształki lodu uszkadzają delikatne struktury wewnątrzkomórkowe. Rada na to mogłoby być na przykład zamrożenie natychmiast - ale jest ono możliwe tylko wobec struktur bardzo małych (stąd właśnie łatwość odwracalnego zamrażania organizmów mikroskopijnych). Jest także oczywiście, że łatwiej zamrażać organizmy zmiennotęplne niż stałocieplne, które dysponują różnymi mechanizmami chroniącymi przed oziębianiem. Różne rodzaje komórek zwie-

rzają wyższych mają także różną odporność na obniżanie temperatury, np. wyjątkowo nieodporne są komórki mięśnia sercowego, tylko niewiele z nich zachowuje zdolność skurczu po rozmrożeniu. Istnieją już natura nie pewne specjalne metody zamrażania i pewne substancje chroniące przed złymi skutkami tego procesu (np. nieszkodliwa dla tkanek gliceryna albo związek chemiczny zwany 2-metylosofollenkiem). W każdym razie techniki kriobiologiczne (krio - przedrostek oznaczający w wyrazach złożonych zimno, zamrażanie, niskie temperatury) są dziś tak rozwinięte

że udaje się „uz przywrócić do życia psy ochłodzone do stanu śmierci klinicznej, - to znaczy do stanu, w którym zostają zatrzymane procesy i zjologiczne. Trwają jeszcze wtedy procesy biochemiczne w komórkach odbywa się przemiana materii. Dopiero temperatura minus 190°C całkowicie zatrzymuje wszelkie reakcje biochemiczne powodując „zawieszenie życia” na czas nieograniczony, ale przywrócenie po tem życia organizmowi stałocieplnemu, jeszcze się nikomu nie udało. Zatem dopiero 190°C poniżej zera jest granicą nieśmiertelności.

Zdarzały się oczywiście, nieprawdopodobne z punktu widzenia medycyny przypadki ożywiania ludzi „zamrożonych na bryle”. Na przykład w 1978 r. zdarzyło się to pewnemu amerykańskiemu Szwajcarowi, który przeleżał w szczelnym lodowcu około trzech godzin. Wydobyto go zupełnie sztywnego, w stanie śmierci klinicznej. Bardzo powoli rozgrzewano go, zabieg reanimacyjny przywrócił go do życia ku zdumieniu lekarzy. Znamy to za coś w rodzaju cudu, choć, przedtem i potem w czasopismach naukowych opisywano podobne historie (ostatnio np. czytalem o pewnym chłopcu w ZSRR, którego wydobyto z jeziora spod lodu w postaci sztywnego, młodego i który również ożył pod wpływem intensywnych zabiegów).

No cóż, ani oziębiane psy ani ożywione ofary tzw. hipotermii przypadkowe, nie przekroczyły jeszcze bariery nieśmiertelności, owych 190°C poniżej zera. Były od niej, jeszcze bardzo, bardzo daleko. Nie przeszkadza to ludziom żyjącym nadzieją, że zamrożenie uchroni ich od kresu ostatecznego. Historia Jamesa Bedforda miała i tak i skutki, że w Stanach Zjednoczonych zaczęły się tworzyć firmy specjalizujące się w zamrażaniu. Największa jest kalifornijska firma „Trans Time”, oferuje ona usługę za kwantę tysiący dolarów i więcej, (zamrożenie w pojemniku dwu osobowym jest nieco tańsze). Tak więc owa wątpliwa nieśmiertelność jest bardzo droga, podobnie jak dotąd i istota „Trans Time” skurczyła to około 50 bogatych Amerykanów. Niektórzy przypuszczają, że w pojemnikach z płynnym azotem w specjalnych warunkach (słowo utworzone na wzór kłopotliwych „Stanach Zjednoczonych”) już teraz można zamrażać ludzi, ale na pewno nie w celu odwracalnej sprawy te są okryte tajemnicą. W 1979 roku był skanda-



CZAS MÓZGÓW

Jerry Pournelle

Oto przekład obszernych fragmentów kolejnego rozdziału książki Jerry Pournelle'a „A Step Farther Out”. Myśląca maszyna zostaje tu sprowadzona na ziemię – „do teraz” lub raczej w bardzo bliską przyszłość. Perspektywy rozwiązań opartych na uzasadnionych domniemaniach o sposobie funkcjonowania ludzkiego mózgu i – jednocześnie – perspektywy usprawnienia tego funkcjonowania wydają się nie mniej pasjonujące niż modele proponowane przez SF. Tym bardziej że nauka coraz częściej dogania fantastykę i dzieje się to na naszych oczach. Tak i tutaj: „Pisarzom fantastyki naukowej coraz trudniej nadać za czasem – nawet my przeżywamy szok przyszłości” – pisze Pournelle. „To wszystko może się zdarzyć. Czas wielkich mózgów nadchodzi”.

(A. T.)

okazało się, iż firma „Cryonic Interment” oszukiwała klientów – taki ten (a może w ogóle spadek zainteresowania taką drogą powrotu do życia po śmierci) spowodował odwrót od zamrażania. Amerykanie wolą teraz oddawać do kriołonów fragmenty własnych tkanek (zabezpieczenie na wypadek konieczności przeszczepu) oraz plemniki i komórki jajowe (zabezpieczenie przed ewentualną bezpłodnością, daje to także możliwość urodzenia dziecka po śmierci jednego z rodziców...) – ale to już temat na inną opowieść.

Sprawa „odwracalnego zamrażania” wybuchła przecież ostatnio na nowo. Najpierw jeszcze cofniemy się w czasie – w 1974 r. dr Wittingham z Cambridge w Anglii przeprowadził takie doświadczenie: wyjęła z macicy myszy kilkudniowe embriony zamroził w płynnym azocie i trzymał je w stanie anabiozy (zahamowanego życia) przez 8 miesięcy. Potem delikatnie „rozmarzył” i wszczepił mysiej matce. Myszka w odpowiednim czasie urodziła zdrowe mysięta! Doświadczenia takie wykonano potem z zarodkami szczurów, królików, owiec, kóz i koni. Wszczepianie zamrożonych u przednio zarodków stało się dziś nadzieją hodowców. Na przykład od specjalnie dobranej, najwartościowszej krowy, pokrytej najwzrostowszym buhajem, można nawet w ten sposób uzyskać do kilkudziesięciu kilkudniowych zarodków. Wszczepia się je następnie „zastępczym matkom” krowim, które donoszą cielęta. W ten sposób z jednej najlepszej pary zwierząt można zamiast jednego uzyskać od razu wiele supersasowych cieląt. Zarodki wszakże mogą przetrwać „w probówce” najwyżej 3-4 godziny, więc trzeba je zamrażać. Wówczas mogą być przewożone, mogą spokojnie czekać na „zastępczą matkę” itd. (Nb. zaawansowane badania nad transplantacją „mrożonych embrionów” zwierząt hodowlanych prowadzi się w krakowskiej Akademii Rolniczej.)

No tak, skoro udaje się wyhodować zdrowe cielę z zarodka, który miesiącami przebywał w płynnym azocie, w niewyobrażalnym mrozie minus 196°C, dlaczegoż nie miałoby się to udać z zarodkami człowieka? Kiedy w 1982 r. ogłoszono, że takie doświadczenia planują uczeni francuscy, część opinii publicznej wyraziła przerażenie i zgorszenie. Były to już wprawdzie czasy licznych „dzeci z probówki”, ale tym razem chodziło o zamrożenie kilkudniowego zarodka ludzkiego, a więc nie samego plemnika czy komórki jajowej, ale czegoś, co wielu ludzi na świecie uznaje za początek osoby ludzkiej, której przysługuje prawo do życia. Niezależnie zresztą od poglądów na tę sprawę, manipulacje z embrionami ludzkimi mogą budzić różne obawy. Być może obawy te wynikają z naszych przestarzałych już zasad lub niedobrych skojarzeń (Frankenstein...), być może to instynkt przestrzega nas przed zbyt dużą ingerencją w procesy regulowane dotąd przez naturę. Ale postępu nauki zatrzymać się nie da – i w roku 1984 wybuchła kolejna bomba. Zdarzyła się rzecz właściwie niebywała, rzecz z powściągliwością naukową. Oto w szpitalu w Melbourne w styczniu tego roku przyszła na świat dziewczynka, która w postaci trzydniowego embrionu (poczętego zresztą w „probówce”, poza organizmem matki) była zamrożona przez kilka miesięcy w temperaturze 196°C poniżej zera. Dziewczyńce nadano imię Zoe. Jest zdrowa, więc lekarze australijscy nie wahali się już ogłosić, że trzymają w płynnym azocie jeszcze 230 ludzkich zarodków, że 40 z nich po rozmrożeniu wszczepiono przyszłym matkom i że „przyjęło się” – 23. Dwadzieścia trzy kobiety są więc w ciąży po wszczepieniu rozmrożonych embrionów. Zoe jest zdrowa, ale ponieważ jest to pierwsze tego rodzaju doświadczenie na świecie z organizmem człowieka, nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy paromiesięczny okres zamrożenia w stadium zarodkowym w żaden sposób nie wpłynie na jej przyszłe życie.

Jest już zatem nie teoretycznie, ale praktycznie możliwe, że jakiś embrion w stanie anabiozy zostanie przetrzymany setki lat i że może urodzić się wówczas, kiedy jego genetyczni rodzice dawno, dawno już nie będą żyli. Moment zapłodnienia został od momentu urodzenia rozdzielony dowolnie długim czasem. Embrion ludzki przekroczył „granice nieśmiertelności”. Czyżby był to początek drogi, którą kiedyś próbował wytyczyć odważny Bedford?

(...) Począwszy od lat pięćdziesiątych, ilość informacji, która mogła być zgromadzona w określonej objętości kostki pamięci kalkulatora, wzrosła każdego roku dwukrotnie i nic nie wskazuje na spadek tej tendencji. I chociaż mózg ludzki pozostaje, pomimo całej techniki mikrokostek, najwydajniejszym ze znanych systemów przechowywania danych, to elektronika zbliża się do niego coraz bardziej. A mózg nie jest tak niezawodny jak dzisiejsze komputery. Niemniej posiada on zdolność upakowania dużej liczby danych w małej przestrzeni i zapewnia szybki dostęp do nich.

Mózg ma jeszcze jedną wielce użyteczną cechę – wydaje się, że informacja nie jest przechowywana w jakimś określonym miejscu (...). Pamięć pozostaje nawet wtedy, gdy usunie się 90% substancji korowej. Świadczy o tym fakt, że uszkodzenia mózgu potwierdziły, że wspomnienia przechowywane są nie w jednym określonym miejscu, lecz w wielu miejscach, w zasadzie w całej korze mózgowej. To jest chyba klucz do zasady działania mózgu. Drugą charakterystyczną cechą mózgu jest szybkość. Jako przykład rozważmy stymulację wzrokową. Widzimy nieoczekiwany obiekt. Na ogół nie tracimy czasu, by pomyśleć co to jest – młotek, spodek, ładna dziewczyna, sierżant-szeł, wał z lodami, tygrys szablisył gołow do skoku czy cokolwiek innego – po prostu wiemy, i to wiemy bardzo szybko.

Niemniej mózg musi pobierać impulsy ze świetlnego wzoru na siatkówce oka i coś z nimi robić. Co? Samoobserwacja wskazuje na szereg operacji prób i błędów. Wzory „próbkowe” są porównywane ze stymulującym obiektem dopóty, dopóki nie wystąpi bliska zbieżność. Wtedy wysyłany jest sygnał „Aha!”. Jeżeli w jakiś sposób „Aha!” było wysłane dla złego wzoru próbkowego, to niezbędny był świadomy wysiłek by go wyznaczyć i „zobaczyć” obiekt tak, jak powinien być widziany.

Wciąż próbujemy nauczyć komputery rozpoznawania małej liczby bardzo precyzyjnych narysowanych wzorów, a ja spotkałem wczoraj człowieka, którego nie widziałem od lat, i rozpoznałem go natychmiast. Urabiamy sobie ręce, by nauczyć maszyny tego, co psy i koty robią automatycznie. Gdybyśmy tylko mogli odkryć, jak to się dzieje w mózgu...

Neurolodzy sądzą, że znaleźli właściwe podejście. To tylko teoria, która może okazać się złą

jest jednak wiele dowodów, że mózg człowieka działa jak hologram. Nawet jeśli działa inaczej, to komputer holograficzny mógłby przechowywać informacje w tak zwarty sposób i zapewniać tak szybki dostęp do niej, jak czyni to mózg ludzki. (...) Ciekawą cechą hologramów jest to, że każda z wystarczająco dużych części płyty fotograficznej zawiera cały obraz. Jeżeli chcesz dać przyjacielowi kopię swojego hologramu, po prostu przecinasz go na pół – i oboje, mając po połowie, On oczywiście może zrobić to samo, następny obdarowany również, i tak dalej. W końcu kawałki staną się zbyt małe – obraz będzie niewyraźny, zatracą się ostrość i szczegóły, ale nadal będzie to cały obraz.

Wygląda to dziwnie podobnie do wyników badań osób z poważnymi ubytkami tkanki mózgowej – wspomnienia niewyraźne, ale nadal wszystkie. Hologramy mogą być także stosowane jako filtry rozpoznawcze. Weźmy na przykład hologram słowa „prawda” i popatrzmy przezeń na zadrukowaną stronę. Hologram jest mętny, więc nie możemy odczytać tekstu, lecz jeżeli na tej stronie znajduje się słowo „prawda”, samo lub jako część dłuższego słowa, to dokładnie w tym miejscu zobaczymy bardzo jasną plamę światła. Wydrukowane słowo może mieć zupełnie inny wygląd niż słowo użyte przy sporządzaniu hologramu. Mogą różnić się czcionką i rozmiarem liter. Plama światła będzie wtedy mniej jasna i mniej ostra, ale będzie, ponieważ ważny jest wzór (...).

Zauważmy, że opisana własność hologramów przypomina nieco przeglądanie próbnych wzorów przez mózg, któremu przedstawiono nieznaną obiekty. Spośród wielu wzorów, które mogą być sprawdzone „przez” hologram obiektu-bodźca, wybierany jest jeden.

Fizjologia odkryła jeszcze jedną własność upodobniającą mózg do komputera holograficznego. Otóż wydaje się, że dane docierające do mózgu są poddawane przezeń przekształceniu Fouriera, a transformaty Fouriera mogą służyć do przekazywania hologramów.

Przekształcenie Fouriera jest operacją matematyczną, która rozkłada złożone formy falowe, wzory, sygnały czy cokolwiek innego na nieco dłuższe, ale precyzyjnie ukształtowane sygnały o



Dokończenie ze strony 59

prostszych częstotliwościach. Na przykład bardzo spójna linia może być zamieniona w ciąg liczb, przekazana w tej postaci i następnie do kładnie odwzorowana. Wydaje się że mózg wykonuje właśnie takie przekształcenia danych. Dany w postaci transformaty Fouriera przekaz (lub obraz lub wspomnienie) może łatwo być systematycznie porównywany z innymi przekazami, ponieważ ma strukturę łańcucha liczb. Najpierw ignorując miliony pozostałych przekazów wybiera się te które mają pierwszy człon taki sam jak przekaz zadany. Następnie powtarza się wybór porównując drugie człony i tak dalej dopóki nie znajdzie się identycznego lub bardzo podobnego łańcucha. Jeżeli nasze wspomnienia są przechowywane w postaci transformaty Fouriera lub w innej postaci łatwej do przekształcenia w takie transformaty to znaleźliśmy mechanizm, który tłumaczy naszą szczególną zdolność tak szybkiego rozpoznawania obiektów. Byłoby zatem dogodne, aby nasz mózg umiał wytwarzać hologramy – lecz czy naprawdę umie i czy wytwarza? Czy umie, to znaczy czy możemy przedstawić mechanizm który mógłby w tym celu

wykorzystywać. Czy go wykorzystuje – tego nie wiemy, ale nie wydaje się by jakieś dowiadczanie przeczyły tej teorii całkowicie. () Innymi słowy, opisany model tłumaczy bardzo wiele znanych faktów i nie można stwierdzić nic więcej ponad to że mógłby wykorzystywać hologramy. () Niezależnie jednak od tego czy nasze mózgi wykorzystują hologramy czy nie to komputer holograficzny prawie bez wątpienia będzie działał, a holograficzna technika przechowywania informacji wskazuje nam drogę konstruowania owych samodzielnych robotów na które tak bardzo liczy literatura fantastyki naukowej. Wygląda na to że czas wielkich mózgów może nadejść przed końcem naszego stulecia. () Badania nad tym jak myślimy i jak mogłyby myśleć maszyny – trwają. Weźmy na przykład biologiczne sprężenie zwrotne. Wyniki są już nadzwyczajne, a to dopiero początek. Barbara Brown fizjolog z Veteran's Administration Hospital, której książka „Nowy umysł, nowe ciało” istotnie przyczyniła się do rozwoju zainteresowania biosprężeniem zwrotnym, jest obecnie przekonana, że we wschodnich systemach jogi nie ma nic, czego nie można by się nauczyć w przeciągu tygodnia, najwyżej miesiąca. Pomyslenie – rytmem serca, oddech odprężenie, napięcie mięśni, wydzielanie

hormonów przez gruczoły – to wszystko podporządkowane waszej woli. Dr Brown jest o tym przekonana. () Trzeba jednak zachować ostrożność. W dziedzinie biosprężenia zwrotnego działa wielu szarlatanów którzy bądź sprzedają różny sprzęt bądź głoszą, że są „nauczycielami”. A dziedziną jest zbyt młoda by dysponować wieloma standardami czy to w sprzęcie czy w personelu tak że potencjalny klient powinien być czujny. () Dr Reed wierzy że w przeciągu dziesięciu lat złamamy kod, w którym mózg przetwarza i przechowuje informacje. Jeżeli tak się stanie, to będziemy mogli wprowadzać informacje bezpośrednio do jednostki centralnej mózgu, pomijając względnie powolne urządzenia peryferyjne, jak mi są oczy i uszy. Nie trzeba czytać książki – komputer załaduje jej treść bezpośrednio do umysłu. () Oznacza to całkowitą przebudowę naszego systemu edukacji – jest na to chyba najwyższy czas. Spotkałem niewiele nauczycieli którzy wykładali wiedzę o nowych możliwościach, a nie znam nikogo kto planowałby przyszłość, w której nie musielibyśmy siedzieć w klasach przez pierwsze dwadzieścia lat naszego życia. () Nawiasem mówiąc Reed uważa, że każdy z nas ma inny kod – nie wszystkie mózgi używają tych samych symboli w przetwarzaniu informacji. Zatem każdy potrzebowałby komputera nauczającego jego kodu. To oczywiście nie jest przeszkoda – system komputerowy nie musi być bardzo kosztowny i nie będzie przynajmniej za parę lat. (Jednartuwa, jeżeli każdy z nas używałby innego systemu kodowania, to prawdziwa telepatia należałaby do rzadkości i zdarzałaby się raczej pomiędzy bliźniakami niż pomiędzy innymi ludźmi, co też wydaje się odpowiadać doświadczeniu.) Implikacje tego wszystkiego są szokujące. W bliskiej przyszłości – za życia większości z was – będą tacy ludzie, którzy uzyskawszy wszczepiony przekaznik będą wiedzieć absolutnie wszystko co wie ludzka rasa. Chcesz znać równanie regresji wielowymiarowej wiążącej pogodę zużycie benzyny, produkcję elektryczności i cenę stepów położonych pod budowę statków – ceny przyszłorocznych zbiorów pszenicy i cenę piakotów w Pekinie? Pomyślisz ko to zadanie czeka – odpowiedź powinna pojawić się dość szybko. Według Reeda, wszczepiane przekazniki, którym posługiwałem się w różnych opowiadaniach (np. „High Justice” – „Wysoka sprawiedliwość”, „Exiles to Glory” – „Wygnańcy do sławy”) są całkowicie do zrealizowania, mogłem być zbyt konserwatywny. Na pewno będziemy mieli wszczepiane urządzenia które mówią do nas podając informacje bezpośrednio do nerwów wzrokowych, słuchowych – faktycznie mamy je, dość prymitywne już teraz i używamy by umożliwić ślepiemu widzenie, a głuchym słyszenie. Doład doszliśmy w ostatnich latach. W niebawem, przyszłości zrobimy dla upośledzonych więcej niż to było kiedykolwiek do pomyslenia. Bioniczny człowiek, pozbawiony jedynie tych nerealnych atrybutów które łamą prawa termodynamiki, może stać się rzeczywistością, jeszcze w tym stuleciu. Pójďmy dalej – kiedy system kodowania będzie już całkiem poznany, będzie można rejestrować osobowość człowieka. Jeżeli od tego pójdą się eksperymenty z klonowaniem, to osobowość będzie mogła być przepisywana w młodszym wydanie tej samej osoby – wiedza pięćdziesięciu czy osiemdziesięciu lat życia włożona w dwudziestopięcioletnie ciało. Za daleko? Fantazja naukowa? Nie. Jest bardzo wymierne prawdopodobieństwo że przytrafi się to niektórym z was, i znacznie mniejsze że przytrafić mogłoby się mnie. ()

Przełożył
Krzysztof Rudziński



POD ZNAKIEM VIDEO

Okres między końcem kwietnia a początkiem lipca br. obfitował w wiele ciekawych wydarzeń w polskim Fandomie. W numerze czerwcowym „Fantastyki” pisaliśmy już o wcześniejszych imprezach. O ile w zeszłym roku przeważały seminaria i warsztaty twórcze, o tyle w tym roku absolutny prym wiodą przeglądy filmowe. Sprawcą tego jest coraz bardziej dostępne video, które mimo mniejszego komfortu oglądania, zapewnia rzecz dla miłośników SF najważniejszą – aktualność i dużą różnorodność pokazywanych filmów. Choć jestem wielkim zwolennikiem video, mam jednak nadzieję, że imprezy typu seminaryjnego nie zostaną przez nie całkowicie wyparte.

Dość interesujący zestaw filmów zaprezentowano na imprezie zorganizowanej przez Wrocławski Klub Fantastyki w dniach 4-6.05.84 r. Można tam było obejrzeć oprócz żelaznych pozycji, czyli „Powrotu Jedi” i „Ciemnego kryształu”, takie filmy jak „Błękitny Grom”, „Laserowy młotacz”, „Bramy piekieł” i „Władca Bestii” – obrazy nieczęsto spotykane stanowiące pewien ewenement na tego typu przeglądach. Nie zabrakło także we Wrocławiu spotkania z redakcją „Fantastyki” którą reprezentowali Jacek Rodek i Dariusz Toruń. Do spotkania organizacyjnych należy zaliczyć przede wszystkim kompletny brak informacji o programie, jak również rozrzucone miejsc posilków po różnych częściach miasta co wprowadziło pewne zamieszanie. Całość mogła jednak sprawić sympatyczne wrażenie i imprezę należy zaliczyć do udanych.

Impreza Poznańskiego Klubu Filmowego „NO-STROMO” (18-20.05.84 r.), mimo że również była przeglądem filmowym, nosiła nieco odmienny charakter. Nie królowało tu wszechwładne video. Wszystkie filmy były prezentowane z taśmy 16 mm. Oprócz bardzo starych już obrazów w rodzaju „Miożęcej gwiazdy” czy „Sygnałów MMXX” organizatorzy zapewnił absolutną nowość „Shining”. Już choćby ze względu na ten film poznańską imprezę należy zaliczyć do interesujących.

Filmy, filmy, filmy – tak chyba można określić imprezę zorganizowaną w Starej Miśnie pod Warszawą w dniach 25-27.05.84 r. przez Warszawski Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Organizatorzy okazali się prawdziwie bezlitosni dla przybyłych fanów. Przegląd był maratonem, który mogli wytrzymać jedynie zagoniani miłośnicy X Muzy. Pokazy rozpoczynały się rano tuż po śniadaniu i trwały z przerwami na puszkę nieraz do drugiej w nocy. W ciągu nie całych trzech dni pokazano 12 filmów, co dało łącznie około 24 godzin projekcji.

Oprócz standardowych na tego typu imprezach filmów, takich jak „Powrót Jedi”, „TRON”, „Conan” czy „Ciemny kryształ” – można było obejrzeć m.in. rozpowszechnione obrazy „Blade Runner”, „Władca Pierścieni” wg Tolkiena, „Rollerball” i „The Thing”.

Nie obeszło się niesfety bez małych potknięć technicznych ze sprzętem, ale mimo wszystko myślę, że ci, którzy wytrzymali te kłopotliwe godziny projekcji, nie żałują swojego przyjazdu na imprezę.

W tych samych dniach, w których odbywała się impreza warszawska, Rada Uczelniana ZSP Politechniki Łódzkiej przy pomocy Łódzkiego Klubu Fantastyki zorganizowała spotkanie pod nazwą „Dni Fantastyki”. Tutaj nie zabrakło filmów. Fanowie mieli możliwość obejrzeć tam między innymi: „Powrót Jedi”, „Ciemny kryształ”, „Przeskok w czasie”, „Conan”. Oprócz tego odbyła się giełda książek SF, prezentacja nagrań magnetofonowych, dyskoteka oraz wspólne posiedzenie przedstawicieli niektórych klubów miłośników fantastyki, na którym postanowiono fundować nagrodę dla najlepszego polskiego pisarza roku w dziedzinie SF. Nagrodę ma stanowić statuetka o nazwie „Sinks”, na której projekt plastyczny rozpisano konkurs.

Nie mogę się tu powstrzymać od pewnej refleksji. Myślę, że warto, aby na przyszłość organizatorzy poszczególnych imprez uzgadniali między sobą ich terminy. Pozwoli to uniknąć jednoczesnego przeprowadzania spotkań o charakterze ogólnopolskim, tak jak było w przypadku Warszawy i Łodzi.

Wspomniane tu imprezy to oczywiście tylko część tegorocznych zamierzeń. Trudno jest pisać artykuł informacyjny z 3,5-miesięcznym wyprzedzeniem. To co dla mnie jest jeszcze przyszłością, dla czytelnika będzie w chwili ukazania się tego numeru, w części przynajmniej dość odległą przeszłością. Dlatego też wypunktuję jedynie poszczególnie zamierzenia, bez większego zagłębiania się w ich treść merytoryczną.

● W ramach corocznej studenckiej „Famy” Oddział PSMF w Świnoujściu i Rada Główna mają prowadzić przez tydzień (9-16.07.84 r.) klub SF. Przewidziano liczne spotkania autorskie, pokazy filmowe, zabawy, jak również stałe stoisko z wydawnictwami wewnątrzorganizacyjnymi, znaczkami, pamiątkami, itp.

● W „Fantastyce” nr 2/84 pisaliśmy o Dniach Fantastyki przygotowanych przy współudziale naszego miesięcznika i PSMF. I znowu przy okazji czerwiec „Fantastyki” i Stowarzyszenia zostanie zorganizowane na początku października seminarium poświęcone czterdziestolecu powojennej science fiction w Polsce. Tym razem miejscem spotkania profesjonalistów i fanów z całej Polski stanie się Staszów w woj. łódzkiej. Trzeba w tym miejscu podkreślić ogromną pomoc organizacyjną i finansową tamtejszych ośrodków kultury i Staszowskiego Klubu Fantastyki.

● Kolejna impreza jest przygotowywana na początek listopada. Będzie to Konwent Klubów Organizatorów jest Oddział Częstochowski i Rada Główna PSMF. W programie dyskusje i spotkania z zaproszonymi gośćmi, pokazy filmowe wspólnie na dyskotekę i wiele niespodzianek.

● Ostatnie tegoroczne spotkanie ma charakter czysto rozrywkowy. Będzie to przygotowany przez Poznański Oddział PSMF Ogólnopolski Kostiumowy Bał Sylwestrowy. W programie między innymi konkurs na najciekawsze przebranie w konwencji SF.

● Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki rozpoczyna wydawanie dwóch periodyków: dwumiesięcznika „Sfera” (format A-3, objętość 16 stron) i kwartalnika „Fenks” (format A-5, objętość 120 stron). Na treść obu czasopism złożą się opowiadania krajowe i zagraniczne, krytyka, publicystyka, przedruki z fanzinów i prasy, zapowiedzi wydawnicze, informacje o ruchu miłośników SF, grafika. Oba periodyki z racji swojego niskiego nakładu (300 egz.) będą rozprowadzane głównie na zasadach prenumeraty. Bliższe szczegóły będzie można uzyskać pisząc pod warszawskim adresem PSMF. Pierwsze numery „Sfery” i „Fenksa” powinny się ukazać na początku października.

Maciej Makowski

KLUBY SF W POLSCE

Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki

- Rada Główna: 00-973 WARSZAWA, ul. Zwirki i Wigury 30, skr. pocz. 77
- oddz. białostocki: Śródmiejski Klub Fantastyki „UBIK” 15-872 BIAŁYSTOK, ul. Dąbrowskiego 3
- oddz. bydgoski: Klub „BEANUS” BYDGOSZCZ, ul. Chodkiewicza 30a, Klub Miłośników SF przy Pałacu Młodzieży, BYDGOSZCZ, ul. Jagiellońska 21
- oddz. częstochowski: 42-200 CZĘSTOCHOWA, ul. Racławicka 2 (SKS „Wakans”)
- oddz. gdański: 80-395 GDANSK PRZYMORZE, ul. Olsztyńska 8/12
- oddz. lubelski: Lubelski Klub Fantastyki 20-010 LUBLIN, ul. Podgrodzie 3
- oddz. piotrkowski: 97-300 PIOTRKÓW TRYBUNALSKI, ul. Bełzacka 66
- oddz. poznański: ORBITA, 61-641 POZNAN Os. Kosmonautów 118
- oddz. szczeciński: Klub „WAZ MORSKI” 72-600 ŚWINOUJSCIE, ul. Batalionów Chłopskich 2
- oddz. warszawski: Klub „SFERA”, 00-973 WARSZAWA, ul. Zwirki i Wigury 30, skr. pocz. 77
- oddz. zielonogórski: ZIELONA GÓRA, ul. II Armii 36/38
- Klub PSMF w Pruszkowie: „SFINKS”, PRUSZKÓW ul. Prusa 8
- Klub PSMF w Staszowie: 29-200 STASZÓW ul. Parkowa 6
- Klub PSMF w Żyrardowie: 96-300 ŻYRARDÓW ul. Marchlewskiego 18/3

Kluby nie zrzeszone w PSMF

- Gliwicki Klub Miłośników Fantastyki: 44-100 GLIWICE ul. B. Bieruta 14b/11
- Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej: 66-409 GORZÓW WLKP 12 ul. Chęłmońskiego 6
- Klub Fantastyki: 31-002 KRAKÓW, ul. Poselska 9 (przy klubie środowiskowym „Zaułek”)
- Klub Fantastyki „PHOENIX”: 91-471 ŁÓDŹ, ul. Łagiewnicka 116c
- Klub Miłośników Fantastyki „SOKIBUS-F”: 45-064 OPOLE ul. Str. 600w Bytomskich 8 (WDK Opole Dział środowiskowy)
- Śląski Klub Fantastyki: 40-956 KATOWICE, ul. Maracka 17a, skr. pocz. 592
- Wrocławski Klub Fantastyki: 50-306 WROCŁAW ul. Parmota 18/7

Pod koniec kwietnia br. w nadmorskiej miejscowości Brighton (Wielka Brytania) odbyły się trzy imprezy o dużym znaczeniu dla miłośników science fiction: World SF (zjazd profesjonalistów) i w trzy dni później IX Eurocon, połączony z Seaconem brytyjskim. W imprezach tych wzięło udział około 2000 ludzi z całego świata, w tym także delegacja z Polski.

Tak się złożyło, że miałem sposobność uczestniczenia od 1976 roku we wszystkich Euroconach, począwszy od Poznania, przez Brukselę, Słone, Monchengladbach – aż do Brighton. Ojciec zadana poprzednich imprez nie może się równać z ostatnią pod względem organizacji, programu, frekwencji i atmosfery spotkania

W Poznaniu była wprawdzie bardzo dobra organizacja, przybyło około 60 pisarzy, lecz właściwie – z nielicznymi wyjątkami – brak było reprezentacji Fandomu. Całość była utrzymana w spokojnej, niemal dostojnej atmosferze. Posiedzenia plenarne, referaty, spotkanie z władzami województwa bankiety itp. Miało to oczywiście swoje dobre strony, ale brak było – moim zdaniem – jakiegoś

co zapamiętałem z tego zjazdu. To przegląd filmów SF i ciągłe zmiany w programie. W Słone było już znacznie lepiej i pod względem organizacyjnym i programowym liczyliśmy się na arenie międzynarodowej, więc skład polskiej delegacji był dość liczny. Pionem pobytu było przywiezienie 3 nagród Euroconu dla najlepszego pisarza wschodnioeuropejskiego (A

SPOTKANIE NA LUZIE

spontaniczność, pewnego luzu, wszystko było śmiertelnie poważne. W Brukseli panował totalny bałagan. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, nie było wiadomo, gdzie odbywa się konwent, a w informacji turystycznej powiedziano nam, że impreza została odwołana. Dopiero po telefonie do organizatora dowiedzieliśmy się, że jednak konwent się odbywa. Jedyne,

Wiśniewski-Snerg), dla najlepszego wydawnictwa profesjonalnego (KAW) i dla najaktywniejszego fana (A. Pruszyński).

Następny Eurocon odbył się w 1982 roku w RFN. Ruch miłośników fantastyki i SF w Polsce przeżył tymczasem sporo wstrząsów. Miejsce dawnego OKMFISF zajęło Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki i Science Fiction, na terenie kraju powstały samodzielne Kluby Miłośników Fantastyki. Po wielu latach starań powołano także do życia pierwszy, i jak na razie jedyny profesjonalny magazyn SF „Fantastyka”. Na temat tego i następnego Euroconu, który odbył się w Lublinie, nie będę tutaj pisać, ponieważ w naszym piśmie zamieściliśmy sprawozdania z tych spotkań.

Przejdę teraz do Brighton. Pierwsza z organizowanych tam imprez – World SF – miała przebieg bardzo spokojny. Powiedziałbym nawet, cichy. Były to przede wszystkim kuluarowe spotkania wydawców i pisarzy, wspólny obiad, podczas którego rozdano nagrody World SF, kilka referatów, dwa przyjęcia. Kiedy zapytałem Brana Aldissa, co będzie na „Seaconie”, odpowiedział z uśmiechem: „Zobaczysz, pojutrze zjedzie się tu cały tłum „crazy people” (zwanowanych ludźmi). I wcale nie przesadziłem. Impreza przerodziła się w najśmielsze oczekiwania. Nie tylko dlatego, że przyjechało tak dużo osób, ale także ze względu na



Rozmowa z Rogerem Zelaznym

Jacek Rodek: – Uważany Pan jest, obok takich pisarzy jak Philip Dick czy J. G. Ballard, za jednego z głównych inicjatorów i przedstawicieli tak zwanej „nowej fali” w science fiction. Czy mógłby nam Pan powiedzieć, jak zrodziła się nowa fala?

Roger Zelazny: – Nazwę „nowa fala” oczywiście wymyślili krytycy, kiedy ja i wielu innych pisarzy na początku lat sześćdziesiątych doszliśmy do wniosku, że należy pisać inaczej. Nigdy nie miało to charakteru jakiegoś zorganizowanego ruchu. Po prostu uznaliśmy, niezależnie od siebie, że pisarstwo SF stoi na bardzo niskim poziomie literackim. W przeważającej większości było to powielanie tych samych schematów, rysy charakterystyczne bohaterów były proste, bez żadnej głębi wewnętrznej. A przede wszystkim, człowiek był tutaj traktowany jak przedmiot. Bardzo mi się to wszystko nie podobało i dlatego starałem się tak pisać, aby utwór spełniał wszystkie wymogi literackie, z pełną podmiotowością bohatera, z pogłębieniem warstwy psychologicznej, dbałością o konstrukcję języka i wielowymiarowość fali.

– Którą ze swoich książek uważa Pan za najlepszą, która najbardziej Panu „wyszła”?

– Myślę że „Lord of Light” (Pan światła).

– Ale jest to chyba jedna z Pana książek trudniejszych w odbiorze.

– Nawetpiewnie tak, jednak mam do niej duży sentyment. Była to przy tym jedna z moich najtrudniejszych warsztatowo książek. Jednocześnie sprawiała mi największą przyjemność przy pisaniu. A starałem się w niej połączyć wszystkie dotychczasowe trendy SF: technikę, fantasy i psychologię.

A co uważa Pan za swoją najgorszą rzecz?

– „To die in Italbar”. Nie podoba mi się jej zakończenie. Pisałem ją w pośpiechu, bo potrzebowałem pieniędzy. Było to wówczas, kiedy zdecydowałem się przejść na zawodowe pisanie i porzuciłem moją dotychczasową pracę. Gdybym mógł sprawić, żeby jakaś książka zniknęła, to chyba właśnie ta.

– Czy nie macie w zwyczaju poprawiać książek w ich nowych wydaniach?

– Na ogół w USA się tego nie robi. Zdarzają się takie przypadki, są one jednak bardzo rzadkie. Wydawcom nie opłaca się robić jeszcze raz skła-



program. Organizatorzy przygotowali imprezy trwające praktycznie 24 godziny na dobę przez trzy dni. Co najmniej kilka imprez odbywało się jednocześnie. Nie sposób wymienić wszystkich. Spotkania z autorami, przeglądy filmów video i oddzielny repertuar na taśmach 16 milimetrów, inscenizacje teatralne, salon komputerowy, wystawy malarstwa i grafiki SF połączone z aukcją, olbrzymi salon książek, gdzie od liczby tytułów i okładek, a także najprzeróżniejszych gier i zabawek można było dostać oczopląsu. Jedną z większych atrakcji była maskarada –

duża grupa uczestników wystąpiła w strojach najpopularniejszych bohaterów z książek i filmów fantastycznych. Można było spotkać Lorda Vadera, Luke'a i księżniczkę Lee z „Gwiezdnych wojen”, Conana oraz wiele innych postaci z pantheonu SF i fantasy. Na koniec odbył się wielki konkurs na najciekawsze przebranie. Przyznano wiele nagród w różnych kategoriach: za pomysł, wierność postaci, inscenizację jakiegoś wybranego epizodu z filmu bądź książki. Wszystko odbywało się w bardzo swobodnej i pogodnej atmosferze. Zresztą cały konwent miał charakter

festynu i zabawy, wieczorami odbywały się różnego rodzaju bale i dyskoteki, odbył się nawet koncert zespołu uprawiającego muzykę SF. Chciałbym podkreślić, że mimo tego całego luzu właściwie nie było większych wpadek organizacyjnych.

Była to niewątpliwie jedna z tych imprez międzynarodowych, które na długo pozostają w pamięci.

Jacek Rodek

W spotkaniu w Brighton uczestniczyło wielu znanych autorów SF. Przybyli m.in.: Brian Aldiss i John Brunner z W. Brytanii, Pierre Barbet z Francji, Jeremie Parnow ze Związku Radzieckiego, Marion Zimmer Bradley, Joe Haldeman, Julian May, Frederik Pohl, Donald A. Woolheim i Roger Zelazny ze Stanów Zjednoczonych, Wolfgang Jeschke i Uwe Luserke z RFN, Josef Nesvadba z Czechosłowacji, Sam Lundwall ze Szwecji i Harry Harrison z Irlandii.



BRIAN ALDISS



JOE HALDEMAN



du. A poza tym, łatwiej jest napisać zupełnie nową książkę niż zmieniać już raz napisaną.

– Na podstawie jednej z Pana powieści nakręcono film. Proszę nam powiedzieć jak to się stało, że z tak dobrej książki zrobiono film tak zły?

– Ma Pan na myśli „Aleję potępienia”? To fakt. Wytwórnia filmowa, bodajże „Paramount”, zwróciła się do mnie o napisanie scenariusza. Zrobiłem to i wystawiłem go zgodnie z umową – po jakimś czasie otrzymałem go z powrotem wraz z naniesionymi poprawkami i uwagami reżysera. Przerobiłem go jeszcze raz i odesłałem. Potem przez długi okres była cisza. Aż do pojawienia się filmu. Jakże było moje zaskoczenie, gdy zobaczyłem gotowy film, który prawie zupełnie odbiegał od tego, co było w scenariuszu napisanym przeze mnie. Okazało się, że zmienił się reżyser, który jeszcze raz przerobił mój scenariusz po swojemu, zachowując właściwie tylko motywy wędrowki pochodzący z mojego tekstu. W efekcie powstał zupełnie inny film.

– Czy studiował Pan kiedyś religioznawstwo? W wielu Pana książkach daje się zauważyć silne zainteresowanie religią, a zwłaszcza religiami Wschodu.

– Już w szkole interesowałem się książkami z tej dziedziny. Innych interesowały wtedy książki przygodowe, ja czytałem całe mnóstwo książek o religiach. Pozostało mi to do dziś.

– Czy SF może ukrywać braki warsztatowe pisarza? Jeżeli pisarz SF zechce napisać książkę współczesną, to czy będzie to dobra książka?

– Chyba tak. Nawet mnie się coś takiego zdarzyło. Wydałem dwa tomiki poezji i dwa duże opowiadania dla dzieci. Tu choć nawiązałem do początku naszej rozmowy. Do tego, co mówiłem o przełomie lat sześćdziesiątych. Wtedy naprawdę polepszył się poziom warsztatowy prozy SF. Poza tym lubię w SF to, że można tu użyć pewnych postaci i zdarzeń, które są nie do przyjęcia w prozie współczesnej.

– Jaki jest Pana zawód? Ten prawdziwy?

– Byłem urzędnikiem w zakładzie ubezpieczeń społecznych. Zajmowałem się zapomogami. To była głównie papierkowa robota.

– Czy w najbliższej przyszłości uda się, według Pana, zmienić ogólne zdanie o SF, że jest to literatura drugorzędna?

– To już się staje. W USA może nawet bardziej niż w Europie. Szczególnie w ostatnich dziesięcioleciach, od kiedy książki SF weszły na listy przebojów czytelników.

– Ale w ostatnim wydaniu „Publishers Weekly” na ponad sto pozycji znalazły się zaledwie trzy pozycje SF.

– Proszę nie zapominać, że w „SF Writers of America” jest tylko 500 członków, a inne książki pisują tysiące ludzi.

– Co się w Stanach cieszy największą popularnością wśród czytelników?

– Na pierwszym miejscu znajdzie się z pewnością książka kucharska, potem podręczniki dla majsterkowiczów, książki o aerobiku, thrillerzy...

– Czy czyta Pan innych autorów SF?

– Zawsze. Kilkadziesiąt tomów rocznie. Spośród nich staram się wybierać książki różne tematycznie.

– A Lema?

– Bardzo lubię, na przykład „Solaris”.

– D. Woolheim mówił, że tylko 2% Amerykanów czyta regularnie literaturę SF, niektóre książki idą jednak w milionach egzemplarzy. Jaki jest największy Pana nakład?

– Chyba seria „Embruck”, której sprzedałem około miliona kopii. Na drugim miejscu jest chyba „Lord of Light” – około pół miliona, ale to było kilka lat temu. Teraz nie sprawdzałem ostatnich sprzedaży.

– Podobno w Stanach książka jest dodrukowywana przez cały czas, poki się sprzedaje. Dobra powieść SF utrzymuje się w księgarniach do dwudziestu pięciu lat.

– Dlatego właśnie pisarze mogą żyć z książek. Nawet te pozycje, które napisali przed wielu laty, często są do dziś w sprzedaży i wciąż przynoszą dochody. Kiedy ktoś ma dwadzieścia, dwadzieścia pięć dobrych książek, to może już utrzymać się z samego pisania. A wydawcy amerykańscy, cokolwiek by o nich mówić, mają bardzo dobre wyczucie rynku.

– Dzięki Panu za informację i czas, który poświęcił Pan na rozmowę. Niedługo przedstawimy ją wszystkim naszym Czytelnikom, choć Pańskiej popularności wśród nich utwierdzać, jak sądzę, nie trzeba.

Sylwetkę Rogera Zelazny'ego przedstawiliśmy w „Fantastyce” nr 5/83

Tadeusz Miciński

„Ja wybierając los mój – wybrałem szaleństwo”

Tadeusz Miciński – prozaik i dramaturg, prekursor nowoczesnej poezji polskiej – urodził się 9 listopada 1873 r. w Łodzi. Pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej: jego ojciec – Rudolf – był geometrą, matka – Wanda Pruska odziedziczyła majątek w Lubelskiem, ale był to odłamek dawno minionej świetności. Na życiu młodego poety zaciążyły tragiczne wypadki dzieciństwa, które urosły do miana okrutnego, tajemniczego fatum, zapowiedzi nieuchronnego przeznaczenia. Uduśniony w czasie porodu – cudem przywrócony do życia, w kilka lat później wypada z okna trzypiętrowej kamienicy na leżące poniżej szyny i kamienie. Jakby nie dosyć było tych ostrzeżeń – zapada na ciężką chorobę – krup toczącą beznadziejną walkę ze śmiercią. Silny organizm zwycięża. Pozostaje jednak głęboki uraz, bolesna pamięć przeszłości, kłopoty z wymową, nieznaczne zniekształcenie twarzy, które trzeba zastąpić zarostem. Krótkie, burzliwe życie Micińskiego obfituje w bogactwo podróży, dalekich wypraw po wiedzę. Jest początkowo nauczycielem domowym na Polesiu, mieszka w Warszawie, Zakopanem, kończy studia w Krakowie i Lipsku. Później podróżuje po Rosji – interesuje się teatrem Stanisławskiego, współpracuje z tygodnikiem „Głos Polski”. Wchodzi w skład Zarządu Towarzystwa Kultury Słowiańskiej w Moskwie. Ginie w nie wyjaśnionych okolicznościach w lutym 1918 roku w czasie rozruchów chłopskich w guberni Mohylowski.

Dla wielu współczesnych jest Miciński poetą niezrozumiałym, nazbyt trudnym, po norwidowsku lekceważonym i niedocenianym. Debiutuje zbiorem wierszy „W mroku gwiazd” (1902). Później przychodzą dramaty: „Książ Piatomkin” (1906) – podejmujący dzieje rewolucji 1905 roku, „W mrokach złotego pałacu, czyli Bazyliśsa Teofanu” (1909) – osnuty na losach Bizancjum X wieku; powieści: „Nietola. Księga tajemna Tair” (1910), „Książ Faust” (1913), „Wita” – historia z czasów Stanisława Augusta, wydana pośmiertnie w roku 1926; nowela: „Deby Czarnobylskie” (1911); publicystyka: „Do źródeł duszy polskiej” (1906). O „popularności” tych utworów świadczy wypowiedź Micińskiego z roku 1909. Świadom własnego talentu autor „Nietoli” stwierdzał z głęboką urazą: „Niewytłumaczalna krytyka oraz niedbałość publiczna zagłuszyły mój utwór dramatyczny „Książ Piatomkin”; poezje „W mroku gwiazd” po siedmiu latach nie pokryły nawet kosztów wydania autorskiego, podczas gdy bredy purchawkowe a pieprzne rozrzucone są przez wydawców w dziesiątkach tysięcy”.

Poetycki debiut Micińskiego przypada na okres rozkwitu liryki młodopolskiej. Skromna, niepozorna edycja „W mroku gwiazd” ilustrowana przez Stanisława Wyspiańskiego, zbiega się z triumfami nastrojowych, modernistycznych wierszy Kazimierza Przerwy-Tetmajera („Poezje”, 1894), obrazoburczymi hymnami Kasprzowicza („Gaspacemu światu”, 1901), młodzieńcymi „Snami o potęgze” (1901) Leopolda Staffa. Cóż może ten nieznany nikomu poeta przeciwstawić gwiazdom pierwszej wielkości, autorom czepiącym pełnymi garściami z wieloletniej tradycji obrazowania, wersyfikacji, instrumentacji gatunkowej? Przede wszystkim – nowatorstwo. Miciński, podobnie jak Leśmian, zaścynowany jest symbolizmem, ale na dobrą sprawę on właśnie wprowadza do polskiej poezji założenia europejskiego ekspresjonizmu i surrealizmu. Jego liryka stanowi niewiarygodne połączenie manierystycznych technik młodopolskich i prekursorskich rozwiązań poetyckich. Autor „Nietoli” rzuca skojarzenia, asocjacje, burzy symetrię składni, dokonuje przeskoków czasowych opisując chwilowe doznania, emocje, stany wewnętrzne kształtowane przez nadrealną wyobraźnię. To właśnie sen ujawnia dążenia i marzenia człowieka – sztuka powinna zatem wyrażać podświadome treści, zagadki wieloznacznych, niedopowiedzianych sytuacji. W Kosmosie, naturze, przyrodzie – wiecznie skłóconej i pełnej dramatycznych napięć – istnieje ciągły ruch, walka niejasnych, wrogich, sprzecznych sił. Bohaterowie Micińskiego szamocą się ze swym losem jak w okrutnej fantastycznej baśni. Porażeni dziwną niemocą nie potrafili opowiedzieć się po stronie dobra, pokonać świata i własnych słabości, grzeszną w licytacyjnym piekle upadku, klęski, niespełnienia. Towarzyszą im stałe, wszechobecne symbole, nieuchronne znamiona wyroku: motywy żeglowania ku tajemniczemu przeznaczeniu, labiryntu, grobu, sarkofagu, podziemnych, zaklętych, klaustrofobicznych przestrzeni, chłodu, wilgoci, lodu.

Skąd te wszystkie obsesje, przecucia, niepokoje? Jaka jest ich geneza, gdzie bije prawdziwe źródło poezji Micińskiego? „Dni moje – jako borów pałacy się szum Noce ma – to zblakana kometa w niebiosach Miłość ma – jak przez widma opętany łum Piesni me – niby krole ginące na stosach” – pisze autor „Nietoli”. Tragiczna biografia? Nie tylko. Sięgnijmy do lektur polskiego modernizmu: Słowacki odczytany na sposób młodopolski, inspiracje okultystyczne, mistyka subtelna i hiszpańska, która Miciński chętnie przekładał (twórczość Dżaleddina Rumi, Jana od Krzyża, cykl „Noce tormentum”), symboliczne doświadczenia Maeterlincka. Lektury nie tłumaczą



W. Blake

czą jednak wszystkiego. U podstaw tej poezji tkwi rozpoznanie prawdziwej sytuacji człowieka, odkrycie dokonane w drugiej połowie XIX stulecia przez Eduarda von Hartmana. Jego „Philosophie des Unbewussten” (1896) ujmowała duszę ludzką jako otwarty kosmos sprzeczności, walkę skłóconych żywiołów i sił. Świadomość niepokoju, niewspółmierności marzeń i działań towarzyszyła już autorom romantyzmu, ale dopiero scjentyzm XIX wieku zakwestionował rolę systemów religijnych, które – powtorzmy za Carlem Jungiem – „stanowiły ekran przestaniający i rozkładujący wewnętrzny dramat, projektujący to, co się burzy wewnątrz psychiki w obraz zewnętrznej zmagania: walki aniołów i szaleńców”. Ekran został rozdarty – gwałtownie i nieodwołalnie. Człowiek stanął naprzeciw własnego odbicia, samotny, nieuzbrojony, pozbawiony oręża ekspiacji i usprawiedliwienia, odpowiedzialny za losy świata, wolny – tragiczną, rozpaczliwą, niewyobrażalnie bezkresną wolnością. W tym rozległym, jakże obcym Kosmosie zmieniła się gwałtownie koncepcja sztuki, która przestała zapewniać bezpieczeństwo, oswajać grozę nieznanego. Postęp techniczny zadrdził gorzko z Natury prowadząc do stopniowej degeneracji, osłabienia energii życiowej. Stał się świadomości rozkład, upadek, schyłku cywilizacji głoszonej przez Baudelaire’a i jego następców. Stał również nadrealistyczny krajobraz de Chirico, Delvaux, Salvadora Dali; zaścynowanie ciemnością, strachem, grozą nieznanego przestrzeni w utworach Lautreamonta i Nerval’a, wybuchające z ogromną siłą w poezji Micińskiego. Autor „Nietoli” nie doczekał się nigdy oficjalnego uznania, nobilitacji, o której marzył skrycie rzucając wyzwanie światu. Dopiero w 20-lecie międzywojennym (1918–1939) nastąpił – nikły zresztą – renesans jego twórczości. W roku 1925 ukazał się specjalny numer „Wiadomości Literackich” (12) ze szkicami krytycznymi Stefana Żeromskiego, Juliusza Kadłuna-Bandrowskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza i Wilama Horzycy. Leon Schiller wystawił „Książ Piatomkina”, a muzykę do tego dramatu napisał Karol Szymanowski. Wacław Borowy w antologii „Od Kochanowskiego do Staffa” wyeksponował wiersze polskiego modernizmu. W roku 1931 wyszedł nawet pierwszy i – ostatni tom jego „Pism pośmiertnych” – „Lucyfer”. Do najwierniejszych uczniów dramaturgisty należał Stanisław Ignacy Witkiewicz.

Profesjonalne zainteresowanie liryką Micińskiego nie ostatecznie powojennym. Pisali o nim: Mieczysław Jastrun, Edward Balcerzan, Piotr Kuncewicz. Miesięcznik „Poezja” wydał numer poświęcony jego twórczości (1974/5). Ukoronowaniem rozważań krytycznych stały się książki ostatniej dekady: J. Tymieckiego („Inicjacje mistyka”, 1976), E. Rzewuskiej („O dramaturgii Tadeusza Micińskiego”, 1977), J. Prokopa („Żywot wywołany”, 1978).

A jednak autor „Korsarza” wciąż pozostaje poetą nieznanym, znajdującym oparcie w opowiadaniach lekturach polonistów. Czy tak być musi naprawdę? Czy jego okrutne, nadrealistyczne baśnie nie są nam dzisiaj bliższe niż kiedykolwiek? Czy jego tajemnicza, pełna bólu i niespełnienia fantastyka nie może pojawić się na szlankach naszej epoki?

Andrzej Niewiadowski

poezja i fantastyka

W MROKU GWIAZD

Tadeusz
Miciński

Korsarz

Rycz burzo! wicherze potargaj te sznury,
w których mię dławi niedzny karzeł – ziemia
i rzuć na przestwór, gdzie duch się oniemia
w kabalistyczny poemat natury.

Mroku podziemny! Twe głuche urwiska
wiodą mnie w grobów zapomniany szpaler –
ja – Prometeusz przykuty do galer –
lękam się zimnych gwiazd uragowiska.
Ogień tajony serce moje kruszy
jako lodozwał granitową skałę
Pelion na Osse! morza rozszalałe,
wulkany, słońca na zdobycie duszy –
i cóż posiadłem? kwiat z niebieskich pól
cichy, bezkresny – niepojęty ból.

(z cyklu „Strącenie z niebiosów”)

Ananke

Gwiazdy wydały nade mną sąd
– wieczną jest ciemność, wiecznym jest błąd
– Ty budowniku nadgwiezdnych wież
– będziesz się tulał jak dziki zwierz
– zapadnie każdy pod tobą ład
– wśród ognia zmarzniesz – stłisz się jak lont

A gwiazdom odparł królewski duch:
Wam przeznaczono określony ruch,
mojej wolności dowodem błąd,
serce me dźwiga w głębinach ład.
Poszumy płaczą mogiłnych drzew,
lecz w barce życia płynie mój śpiew.
Ja budowniczy nadgwiezdnych miast
szydłem z rozpacz gasnących gwiazd.

(z cyklu „Strącenie z niebiosów”)

★ ★ ★
W mym sercu baśni o jutrzence
i fantastyczne kwiaty szronu,
w mym sercu jakby echo dzwonu;
w mym sercu zakrwawione ręce
grają na strunach miesiąca
odwieczny ciemny
hymn
schodzę w labirynt podziemny
u stóp mych morze się roztrąca.

(z cyklu „Noce polarne”)

★ ★ ★
Nade mną leci w szafir morza
obłok, pojony mlekiem gór –
nade mną śpiewa płaków chór –
motyl, kochanek lilij łoża...

A ja pod mrokiem lży – kamienia
sączę swój ciemny jad, –
lecz śmiać się będę z przerażenia
tego, kto zerwie kwiat.

(z cyklu „Strącenie z niebiosów”)

★ ★ ★
O, nocy cicha, nocy błękitna,
u stóp Twych leżę, całując Cię
warkoczy Twoich gąszcz aksamitna
po wzgórzach gwiezdnych w niebo się pnie

Srebrzą się stawy, szumią potoki
i tylko serce w płomieniu burz –
ide w puszcze leśnych ciemne wyroki –
nocy błękitna – żegnam Cię już.

(z cyklu „Zatoka łez”)

Wybor z tomu: W mroku gwiazd. Poezje Tadeusza Micińskiego nakładem autora z trzema rysunkami Stanisława Wyspiańskiego odbił w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego Bronisław Tobiasz w lutym 1902. Skład główny w księgarni Gebethnera.



JEZDZĄCY SMOKOWI

Anne Inez MCCAFFREY

R. WOJTYŃSKI

fantastyka

